

PLUTARCH Z CHERONEI



ŻYWOTY SŁAWNYCH MĘŻÓW

Edycja komputerowa: www.zrodla.historyczne.prv.pl

Mail: historian@z.pl



MMIII ®

ŻYWOTY OBJĘTE NINIEJSZYM TOMEM:

- LIZANDER

- SULLA

- DEMOSTENES

- CYCERON

- MARIUSZ

LIZANDER



Rozdział pierwszy

Skarbiec wotywny, który miasto Akantos ufundowało w Delfach, ma taki napis: „Brazydas i mieszkańcy Akantos za zwycięstwo nad Ateńczykami”. Stąd to panuje wśród ogółu przekonanie, że ustawiony tam koło bramy posąg kamienny wyobraża właśnie Brazydasa. Tymczasem przedstawia on Lizandra z bardzo bujną fryzurą, jaka dawniej była w zwyczaju, oraz z piękną, opadającą w dół brodą. Nieprawdą bowiem jest to, co opowiadają, że Argiwczycy po owej wielkiej klęsce strzygli włosy na znak żałoby, a Spartanie w przeciwieństwie do nich zapuścili sobie długie włosy, aby w ten sposób wyrazić swą radość z osiągniętych sukcesów. Podobnie też nie jest prawdą to, że zapuszczanie długich włosów stało się modne u Spartan wtedy, kiedy Bakchiadzi uciekli z Koryntu do Sparty i z powodu ostrzyżonych głów mieli wygląd nędzarzy. Zwyczaj ów pochodzi od samego Likurga. On to miał powiedzieć, że włosy ludziom pięknym dodają jeszcze przystojniejszego wyglądu, a ludzi brzydkich czynią groźnymi.

Rozdział drugi

Ojciec Lizandra, Arystoklejtos, z domu królewskiego podobno nie pochodził, niemniej jednak należał do rodu Heraklidów. Sam Lizander wychowany był w ubóstwie i w ogóle obyczajów ojczystych przestrzegał z taką sumiennością jak rzadko kto inny. Wyrobił więc w sobie charakter męski i wyższy ponad wszelkie używanie przyjemności prócz tej jednej tylko, którą człowiekowi przy-

noszą ze sobą piękne czyny w postaci zaszczytów i powodzenia. Tej przyjemności nie wstydzą się ulegać młodzież spartańska! Bo pragnieniem Spartan jest wyrobić w swoich dzieciach wrażliwość na uznanie i pochwałę, i to od pierwszych lat życia, tak żeby ich martwiły nagany, a odbierane wyróżnienia napępiały dumą. Kto nie jest na to czuły i na kim nie robi to wrażenia, żyje u nich w pogardzie jako człowiek bez ambicji i poczucia męstwa, a więc niepożyteczny.

Przeto i w Lizandrze tkwiąca nieustanna żądza sławy i zwycięstw była zakorzeniona przez to właśnie wychowanie spartańskie i nie ma bynajmniej powodu szukać jej przyczyn w charakterze Lizandra. Z natury natomiast, zbyt chętnie jak na Spartiatę, gotów był służyć moźnym i w razie potrzeby z uległością ponosić ciężary nałożone przez państwo. Niektórzy uważają to za ważny współczynnik mądrości politycznej.

Arystoteles wykazując, że charaktery wielkich ludzi są melancholijne, jak np. wrodzone usposobienie Sokratesa, Platona czy Heraklesa, zauważa, że i Lizander, wprawdzie nie od razu, ale w starszym wieku, stał się z usposobienia melancholikiem.

Osobistą zasługą Lizandra jest przede wszystkim to, że tak chwalebnie znośił życie w ubóstwie i nigdy sam nie uległ pokusie wzbogacenia się, nie dał się pieniądzem przekupić. Natomiast napełnił bogactwem ojczyznę i wpoił w nią zarazem żądzę posiadania, i tak sprawił, że Sparta przestała w innych narodach budzić podziw właśnie swym brakiem podziwu dla bogactw. Przyniósł jej w zysku po wojnie attyckiej dużo złotych i srebrnych kosztowności, a sobie nie zostawił z tego ani jednej drachmy. Kiedy tyran sycylijski Dionizjos przysłał raz jego córkom bogate szaty tamtejsze, nie przyjął ich mówiąc, że boi się, by w nich nie wyglądały gorzej niż brzydtko. Chociaż — posłując w jakiś czas później do tego samego tyrana i z tego samego miasta, gdy tyran przysłał mu dwie suknie i kazał wybrać sobie którą zechce i zawieźć swojej córce, powiedział, że ona sama lepiej wybierze, i odjechał zabrawszy obie suknie.

Rozdział trzeci

W czasie przewlekłej wojny peloponeskiej zdawało się Ateńczykom, że po niepowodzeniach na Sycylii lada chwila będą musieli najpierw ustąpić na morzu, a niedługo potem zupełnie skapitulować. Lecz wtedy odwołany przez nich z wygnania Alkibiades całkowicie zmienił sytuację i przywrócił równowagę sił w walkach na morzu. Napęliło to Spartan wielkim niepokojem i zarazem wzbudziło w nich nowy zapał do wojny. Potrzebowali jednak dzielnego wodza, a równocześnie wzmocnienia wojennego aparatu technicznego. Wtedy to wysłali ze Sparty Lizandra, by objął główne dowództwo ich sił zbrojnych na morzu.

W tym celu Lizander zjawił się w Efezie. Miasto zastał życzliwie do siebie usposobione i pełne zapału dla sprawy lakońskiej, jakkolwiek znajdowało się ono wówczas w bardzo przykrym położeniu: groziło mu niebezpieczeństwo całkowitej barbaryzacji pod wpływem obyczajów perskich i stałych z Persami stosunków. Dokoła tego miasta rozciągała się przecież Lydia i tamtejsi dowódcy króla perskiego często w tym mieście przebywali.

Lizander, ustanowiwszy tam swoją bazę wojenną, wydał rozporządzenie, by do tego miasta ściągaly zewsząd okręty transportowe. Nadto założył tam warsztaty dla budowy okrętów wojennych i w ten sposób podniósł na nowo miejscowe porty przez ruch handlowy, rynek ożywił przemysłem, domy i rzemiosło tamtejszych ludzi wzbogacił wysokimi dochodami. Odtąd dopiero, właśnie dzięki Lizandrowi, miasto zaczęło na nowo prosperować i dochodzić do tego rozkwitu i tej wielkości, jaką ma obecnie.

Rozdział czwarty

Tam się dowiedział, że do Sardes przybywa syn królewski Cyrus. Udał się więc do niego na naradę oraz ze skargą na Tyssafernesa, który miał rozkaz pomagać Lacede-

mończykom w likwidacji sił ateńskich na morzu, a tymczasem widać było, że prawdopodobnie pod wpływem Alkibiadesa stał się w tym względzie mniej gorliwy i przez skąpe przydzielanie odpowiednich funduszków na flotę doprowadzał ją do ruiny.

Było to właśnie po woli i myśli Cyrusa, żeby na Tyssafersa padały skargi i psuły mu opinię, bo był to człowiek niegodziwy, a do tego z Cyrusem osobiście poróżniony. Dzięki temu wszystkiemu i dzięki innym jeszcze okolicznościom tej wizyty Lizander zdobył sobie sympatię królewicza. Przede wszystkim zaś pozyskał go sobie swoim zachowaniem pełnym uniżoności i mocno zachęcił do dalszej wojny. Potem, kiedy miał już stamtąd odjeżdżać, zaprosił go Cyrus jeszcze do stołu i przekonywał, by nie odrzucał tych wyrazów jego życzliwości, ale żeby otwarcie powiedział, jakie ma teraz konkretne życzenie, a on zgoła niczego mu nie odmówi. Na to Lizander: „Skoro jesteś, Cyrusie, dla mnie tak łaskawy, proszę cię i radzę ci, dodaj marynarzom do żołdu obola, żeby mogli otrzymywać odtąd cztery obole zamiast trzech.”

Cyrus ucieszył się jego wspaniałomyślnością i dał mu na to dziesięć tysięcy daremków. Z tych to pieniędzy Lizander podwyższył swoim marynarzom żołd o jednego obola i tym doskonałym pociągnięciem w krótkim czasie ogołocił z ludzi okręty nieprzyjacielskie. Załogi bowiem po największej części przechodziły do tego, kto więcej dawał. Ci zaś, którzy pozostali na dawnym miejscu, byli niechętni do pracy i buntowali się, przynosząc swoim dowódcom dzień w dzień jakieś kłopoty.

Ale Lizander, chociaż odciągnął ludzi od nieprzyjaciela i przyprawił go o poważne szkody i straty, bał się przecież otwartej bitwy na morzu. Bał się przedsiębiorczości Alkibiadesa, który go przewyższał liczbą okrętów, a oprócz tego z bitew, które stoczył na lądzie i na morzu, zawsze dotychczas wychodził bez porażki.

Rozdział piąty

Tymczasem Alkibiades przepłynął z wyspy Samos do portu Fokaja, a flotę na Samos pozostawił chwilowo pod okiem sternika Antiochosa. Ten zaś, jakby sobie chciał zakpić z Lizandra, podpłynął zuchwale z dwiema trierami pod port efeski i z wielkim śmiechem i hałasem wiosłował po junacku tuż koło stacji okrętowej przeciwnika. Oburzony tym Lizander ściągnął najpierw kilka swoich trier na wodę i kazał go ścigać. Ale gdy zobaczył, że Ateńczycy z flotą wypłynęli mu na pomoc, obsadził załogami również resztę okrętów i w końcu doszło do bitwy na morzu. Lizander zwyciężył. Wziął piętnaście okrętów nieprzyjacielskich i postawił z tej okazji pomnik zwycięstwa.

W Atenach zaś lud, rozgniewany z tego powodu na Alkibiadesa, odebrał mu naczelne dowództwo floty. Wobec tego Alkibiades, doznawszy zniewagi również ze strony żołnierzy na Samos i nasłuchawszy się od nich obelżywych słów, opuścił obóz i odpłynął na Chersones. Zresztą cała ta bitwa morska w istocie nie była niczym wielkim. Rozgłosu dodał jej los tylko przez Alkibiadesa.

Lizander zaprosił teraz do Efezu z różnych miast ludzi, o których wiedział, że górują nad innymi odwagą i ambicją, i rzucił myśl tych dziesięcioosobowych kolegów i innych zmian politycznych, które się później pod jego kierunkiem urzeczywistniły. Zachęcał gorąco tych ludzi do tworzenia odpowiednich klubów, radził im zwracać baczniejszą uwagę na wypadki polityczne i obiecywał, że z chwilą obalenia Aten nastąpi obalenie demokracji, a wtedy oni zostaną panami sytuacji w miastach ojczystych. Następnie czynem starał się utwierdzić ich wiarę w to wszystko i tych, którzy już przedtem byli jego przyjaciółmi i znajomymi, wyniósł na wysokie stanowiska i godności wojskowe, używał ich do najważniejszych spraw, a nawet brał udział w ich nadużyciach i przestępstwach, którymi się wzbogacali. Toteż wszyscy oni mocno się go trzymali i byli mu najgłębiej zobowiązani i oddani, żywiąc przeko-

nanie, że gdy tylko on zwycięży, niczego już z najśmielszych nawet marzeń los im nie odmówi.

Z kolei jednak jako naczelny dowódca floty spartańskiej zjawiał się tam Kallikratydas. Nic więc dziwnego, że ci ludzie od razu patrzyli na niego niechętnym okiem. Ale i później, choć dał im dowody, że jest człowiekiem uczciwszym niż ktokolwiek inny i bardzo sprawiedliwym, nie podobał się im jego sposób dowodzenia, mający coś z surowego, doryckiego ducha i pozbawiony obłudy. Cnotę jego podziwiali tylko jakby piękno bohatera w jakimś posągu. Równocześnie jednak odczuwali w nim brak tego zapału, tej życzliwości dla ich stronników i tych korzyści, jakie im zapewniał Lizander. Toteż kiedy Lizander stamtąd odjeżdżał, żegnali go z wielkim smutkiem i łzami.

Rozdział szósty

Zresztą całą tę ich niechęć do Kallikratydasasa on sam postępowaniem swoim stawał się jeszcze bardziej pogłębić. Odesłał więc do Sardes resztę pieniędzy, które otrzymał na utrzymanie floty, a Kallikratydasowi kazał samemu, jeżeli zechce, starać się o nie i martwić, żeby utrzymać załogi wojskowe. A w końcu odjeżdżając oświadczył, że przekazuje mu flotę, która przecież panuje teraz już nad całym morzem.

Na to jednak Kallikratydas chcąc mu pokazać, że takie powiedzenie to tylko wyzywająca i pusta przechwałka, odrzekł: „To płyn wkoło do Miletu, tak żebyś wyspę Samos miał po lewej stronie, i tam mi pokaż tę flotę! Bo jeżeli jesteśmy rzeczywiście panami na morzu, to nie potrzebujemy się nikogo bać i możemy sobie płynąć koło nieprzyjaciela, który znajduje się teraz na Samos!” — Na to znowu Lizander odpowiedział mu krótko, że już nie on, lecz Kallikratydas jest dowódcą tej floty, i odpłynął na Peloponez pozostawiając tamtego w wielkich kłopotach. Kallikratydas nie przywiózł bowiem ze sobą żadnych pieniędzy ze Sparty ani też nie był w stanie zebrać ich w mia-

stach przemocą, zwłaszcza że i położenie tych miast było ciężkie.

Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak tylko za przykładem Lizandra pukać do drzwi dowódców królewskich i prosić. Ale do tego z natury swojej był zupełnie niezdolny. Jako człowiek wolnourodzony, z głębokim poczuciem osobistej godności, uważał, że każda klęska zadana Hellenom przez Hellenów jest mniej hańbiąca niż pochlebstwo i żebranie u drzwi cudzoziemców, którzy mają wprawdzie dużo złota, poza tym jednak wyzuci są ze wszystkiego, co szlachetne.

W końcu przyciśnięty położeniem bez wyjścia poszedł w głąb Lydii, udał się do pałacu Cyrusa i kazał mu zameldować, że przybył dowódca floty Kallikratydas i chce z nim rozmawiać. Na to jeden z królewskiej straży przybocznej rzekł: „Cyrus w tej chwili gości nie przyjmuje. Teraz pije”.

„To nic nie szkodzi. Postoję tu i zaczekam, aż wypije” — odrzekł Kallikratydas z największą prostotą, a barbarzyńcy odnieśli wrażenie, że to jakiś zwykły prostak, i zaczęli się z niego naśmiewać. Wtedy Kallikratydas odszedł.

Potem przybył tam po raz drugi, ale i tym razem nie został dopuszczony przed Cyrusa. Odszedł więc stamtąd z wielkim oburzeniem i powrócił do Efezu. Przeklinał tych, którzy pierwsi przyjmowali takie upokorzenia i nauczyli barbarzyńców kpić sobie dzięki bogactwom z innych ludzi. Zaklinał się potem wobec otoczenia, że skoro wróci znów do Sparty, zrobi wszystko, by Hellenów między sobą pojednać, żeby oni sami stali się postrachem barbarzyńców, a zaprzestali wzajemnie przeciw sobie szukać u nich pomocy.

Rozdział siódmy

Lecz Kallikratydas, który myślał tak, jak przystało na Spartiatę, który poczuciem sprawiedliwości i wielkoduszności i swoim męstwem dorównywał najznakomitem-

szym ludziom Hellady, zginął wkrótce potem po przegranej bitwie morskiej pod Arginuzami.

Sytuacja zaczęła się psuć i miasta sprzymierzone wysłały do Sparty poselstwo żądając na stanowisko głównego dowódcy floty Lizandra. Miały bowiem nadzieję, że pod jego rozkazami wszyscy przystąpią do dzieła o wiele różnej. To samo życzenie wyraził Cyrus w swoim liście.

Istniała jednak ustawa zabraniająca jednemu człowiekowi piastować dwa razy godność dowódcy floty. Spartanie pragnąc zadość uczynić sprzymierzeńcom, wyznaczyli tytularnie na głównego dowódcę floty niejakiego Arakosa, a Lizandra wysłali pozornie jako jego zastępcę. Faktycznie jednak był on panem wszystkiego. Zaraz też bardzo wielu ludzi, którzy w poszczególnych miastach zajmowali silne pozycje polityczne, przywitało go jako naprawdę od dawna upragnionego, spodziewali się bowiem, że dzięki niemu jeszcze bardziej wzrosną ich wpływy, gdy tylko wszędzie upadną rządy demokratyczne. Ale innym, którzy u swych wodzów chętnie widzieli tylko prostolinijność i czysty charakter, Lizander w porównaniu z Kallikratydasem wydawał się człowiekiem zdolnym do wszystkiego, chytrym sofistą, co wszystko robi na wojnie drogą intryg, a sprawiedliwość ceni jedynie według jej popłatności lub inaczej: korzyść bierze za uczciwość, a prawda według niego nie jest z natury lepsza niż kłamstwo, gdyż granice wartości w obu wypadkach wyznacza użyteczność. Ludzi, którzy głosili, że potomkom Heraklesa nie godzi się prowadzić wojny podstępem, Lizander kazał wyśmiewać i mówił przy tym: „Dokąd nie dotrzesz w skórze lwa, tam trzeba się ubrać w skórę lisa”.

Rozdział ósmy

W ten sposób właśnie postąpił, jak piszą, z Miletem. Kiedy mianowicie jego przyjaciele i znajomi, którym obiecywał pomoc przy obaleniu tamtejszych rządów demokratycznych i usunięciu przeciwników, zmienili swe zapatry-

wanie i pojednali się z partią przeciwną, on na zewnątrz udawał radość z tego powodu, jakby się rzeczywiście godził z istniejącym stanem rzeczy. Potajemnie jednak szydził z nich i robił im przykre wymówki, podjudzając ich w ten sposób do wystąpienia przeciw demokratom. Kiedy zaś spostrzegł, że w mieście wszczynają się już rozruchy wewnętrzne, natychmiast wtargnął tam z pomocą, a równocześnie na przywódców przewrotu, których spotkał na samym wstępie, wpadł z głośnym krzykiem i wystąpił przeciw nim w sposób gwałtowny grożąc im nawet karą. Przez innych zaś ludzi dodawał im bodźca do walki i zapewniał ich, że w jego obecności nie potrzebują się niczego złego obawiać. Bo cała ta jego gra i intryga prowadziła do tego, by najbardziej zażarci i wpływowi demokraci nie uciekali z miasta, lecz żeby pozostali na miejscu i tam mogli być wymordowani. I to mu się udało: wszyscy, którzy mu uwierzyli, zginęli.

Poza tym Androklejdes wspomina pewną wypowiedź Lizandra, która znowu rzuca bardzo złe światło na jego lekkomyślne traktowanie przysięgi. Opowiada bowiem, że Lizander głosił zasadę, iż dzieci należy oszukiwać grą w kości, a dorosłych przysięgami. Szedł więc tutaj po prostu za przykładem Polikratesa z Samos. On, dowódca wojsk Sparty, brał sobie wzór z niegodziwego tyra! Nie jest to po spartańsku traktować bogów jak nieprzyjaciół — co więcej, jest to największe bluźnierstwo! Bo kto krzywoprzysięga wobec wroga, okazuje, że go się boi, a kto wobec bogów — że ich lekceważy i pogardza nimi.

Rozdział dziewiąty

Cyrus zaprosił znowu Lizandra do Sardes. Tam jedno mu dał, drugie obiecał, zapewniając go w swym młodzieńczym zapale ku jego zadowoleniu, że nawet gdyby ojciec nie dał mu żadnych pieniędzy, on sam z własnych funduszków pokryje wszystkie koszty. Twierdził przy tym, że jeśli mu tych funduszków nie starczy, to swój tron ze złota

i srebra (na którym zasiadał sprawując czynności urzędowe) rozbierze na kawałki. W końcu wybierając się w podróż do ojca swego do Medii, polecił Lizandrowi pobór podatków z miast i powierzył mu urzędowanie w swoim zastępstwie. Przy pożegnaniu zaś prosił go, by przed jego powrotem nie rozpoczynał na morzu walki z Ateńczykami; wróci bowiem z wielką ilością okrętów z Fenicji i Cylicji. Potem wyruszył w drogę do ojca.

Lizander nie mogąc ani bić się na morzu z braku zdecydowanej ilościowej przewagi w okrętach, ani też siedzieć beczynnie w jednym miejscu z tak wielką flotą, wypłynął na wody, podbił kilka wysp, podpłynął nawet pod Salaminę i Ajginę i spustoszył te wyspy. Potem przybił do Attyki i spotkał się tam z królem Agisem, który sam przyszedł do niego z Dekelei. Tam też wobec zebranych wojsk urządził defiladę swej floty, by pokazać jej siłę, dzięki której panuje nad morzem i może płynąć wszędzie, dokąd tylko zechce. Ale na wiadomość, że Ateńczycy płyną za nim w pościgu, ominął ich mimo wszystko innym szlakiem pomiędzy wyspami i uszedł do Azji.

W Azji zastał Hellespont nie obsadzony. Rozpoczął więc zaraz oblężenie miasta Lampsakos — on z flotą od strony morza, a Toraks z armią lądową, współdziałając z nim i szturmując na mury. Miasto zostało zdobyte i wydane żołnierzom na łup.

Flota ateńska, która w składzie stu osiemdziesięciu okrętów wojennych zawinęła właśnie do portu Elajus na Chersonesie Trackim, na wiadomość o upadku Lampsakos natychmiast posunęła się pod miasto portowe Sestos. Stamtąd zaś zaopatrzywszy się w żywność udała się dalej ku Ajgos Potamoj, czyli ku Kozim Rzekom, leżącym naprzeciw Lampsakos, gdzie nieprzyjaciel stał jeszcze ze swoją flotą. Wśród dowódców ateńskich znajdował się także Filokles, ten sam, który swego czasu skłonił lud do powzięcia uchwały, aby w tej wojnie każdemu jeńcowi odcinano wielki palec u prawej ręki, by nie mógł władać włócznią, ale był zdatny do wiosła.

Rozdział dziesiąty

Na razie wszystko stało w spokoju. Oczekiwano bitwy na morzu następnego dnia. Ale Lizander powziął wtedy inny plan. Jak gdyby bitwa miała się rzeczywiście z braskiem dnia rozpocząć, wydał on swym marynarzom i sternikom rozkaz, aby o świcie zajęli miejsca na okrętach i, siedząc spokojnie w pogotowiu, czekali na jego hasło. Tak samo piechocie kazał w szeregach i w zupełnym spokoju stać na wybrzeżu.

Ze wschodem słońca Ateńczycy z wszystkimi okrętami podpłynęli zwartym frontem ku nieprzyjacielowi i wyzywali go do walki. Ale Lizander, choć jeszcze w nocy ustawił swą flotę przodem do nich i obsadził ją załogami, teraz wcale się z miejsca nie ruszył. Do dowódców okrętów pierwszej linii wysłał łodzie służbowe z rozkazem, aby zachowując spokój utrzymali się w szyku, nie dali się wyprowadzić z równowagi i nie płynęli na nieprzyjaciela. Pod wieczór Ateńczycy się cofnęli, ale Lizander nie pozwolił swoim załogom opuszczać stanowisk na okrętach, dopóki dwie czy trzy jego triery, wysłane za tamtą flotą na zwiady, nie powróciły stwierdziwszy naocznie, że nieprzyjaciel rzeczywiście zeszedł z okrętów.

Następnego dnia powtórzyło się to samo. To samo dnia trzeciego i czwartego, aż Ateńczycy nabrali zbytnej pewności siebie i zaczęli nawet lekceważyć przeciwnika sądząc, że stchórzył i nie ma odwagi się bić. Tymczasem przybył do obozu Ateńczyków Alkibiades. Przyjechał na koniu ze swego warownego zamku na Chersonesie, w którym wówczas przebywał, i zaraz zganił dowódców przede wszystkim za to, że rozłożyli się obozem na tym wybrzeżu w nieodpowiednim i niezabezpieczonym miejscu, gdzie brak należytej przystani i osłony. Drugi ich błąd polegał na tym, że wszelkie środki zaopatrzenia musieli sprowadzać z daleka, ze Sestos. Należy wzdłuż wybrzeża, okręt za okrętem, odpłynąć do portu i miasta Sestos i w ten sposób oddalić się nieco od nieprzyjaciela; czatuje on na nich z wojskiem, które poddane jednemu dowódcy i trzy-

mane w surowej dyscyplinie, natychmiast spełnia każdy jego rozkaz. Ale te pouczenia ze strony Alkibiadesa nie znalazły u nich posłuchu. Tydeus odpowiedział mu z obraźliwą zuchwałością, że nie Alkibiades, lecz inni już teraz rozkazują.

Rozdział jedenasty

Wobec tego Alkibiades oddalił się stamtąd odniósłszy wrażenie, że wśród nich kryją się jacyś zdrajcy. I znowu piątego dnia Ateńczycy podpłynęli z flotą, i znowu cofnęli się stamtąd z pogardą i lekceważeniem dla nieprzyjaciela. Teraz jednak Lizander, wysyłając za nimi okręty wywiadowcze, dał rozkaz kapitanom, by po stwierdzeniu, że Ateńczycy zeszli z okrętów na ląd, natychmiast zawrócili i z całą szybkością płynęli z powrotem; kiedy zaś będą w połowie drogi, niech dadzą reszcie znak do wyjazdu przez podniesienie spiżowej tarczy na przodzie okrętu. Sam tymczasem podpływał jeszcze do poszczególnych okrętów i wzywał dowódców i sterników, by każdy z nich trzymał w zwartym porządku obsadę okrętową, zarówno marynarzy, jak i uzbrojone wojska, a na dany znak posuwał się z całą siłą i odwagą na nieprzyjaciela.

I rzeczywiście, gdy tylko pojawiła się tarcza na przodzie owych okrętów, a trąbka z okrętu admirałskiego dała sygnał do wyjazdu, ruszyła flota spartańska naprzód. Na wybrzeżu zaś w tym samym tempie zdążała już ku wskazanemu przylądkowi piechota. Przestrzeń między lądami wynosi w tym miejscu piętnaście stadiów i przy pośpiechu i zapale żołnierzy i wiosłarzy została bardzo szybko pokonana.

Dowódca Konon był pierwszym Ateńczykiem, który zobaczył z brzegu nadpływającą niespodzianie flotę nieprzyjacielską. Natychmiast dał głośny rozkaz do wsiadania na okręty i zdenerwowany grożącym nieszczęściem zachęcał, prosił, zmuszał do zajmowania miejsc na trierach. Ale na niewiele się już przydały jego wysiłki. Ludzie byli w rozpęce. Bo gdy zeszli z okrętów, nie przewidywali niczego

podobnego i zaraz udali się gdzieś na zakupy, rozeszli się po okolicy, pokładli się do snu w namiotach, jedli, nieświadomi, co ich czeka, a wszystko to z winy niedoświadczonego dowództwa.

Już było słychać wrzawę z okrętów zbliżającego się nieprzyjaciela, a nawet szum jego wiosła, gdy Konon zdażył wymknąć się stamtąd z ośmiu okrętami i uszedł z nimi na Cypr do Euagorasa. Resztę floty zaskoczyli Peloponezyjczycy, część okrętów zajęli, zanim w ogóle zostały obsadzone, część zaś w czasie ich obsadzania zatopili. Ludzie zaś poginęli albo przy okrętach, kiedy pojedynczo i bez broni biegli tam na pomoc, albo jeżeli starali się uciekać gdzieś na lądzie, zostali tam wymordowani przez nieprzyjaciela, który za nimi popędził z okrętów. Trzy tysiące ludzi wziął Lizander do niewoli razem z grupą dowódców i z całą flotą, wyjąwszy okręt zwany Parałós i te, na których udało się uciec Kononowi. Spustoszył potem cały obóz nieprzyjacielski, a następnie, holując na linach zdobyte okręty przywiązane do jego okrętów, odpłynął wśród muzyki i peanów z powrotem do Lampsakos, dokonawszy olbrzymiego dzieła najmniejszym wysiłkiem.

Tak więc w ciągu jednej godziny zakończył Lizander długą wojnę, która obfitowała jak żadna poprzednia w przeróżne wypadki i najbardziej zmienne koleje losu. W wojnie tej próbowano tysiąca sposobów walki, tysiące razy zmieniała się w niej sytuacja ogólna. Wodzów zużyła ona tylu, że liczba ich przekroczyła ilość wszystkich dotychczasowych wodzów Hellady. A teraz położył jej kres jeden jedyny człowiek przez swój celowy plan i zręczny manewr. Niektórzy nawet dopatrywali się w tym dzieła jakiejś wyższej siły.

Rozdział dwunasty

Byli więc ludzie, którzy twierdzili, że w momencie gdy Lizander ruszył ze swego portu przeciw nieprzyjacielowi, z obu stron jego okrętu pojawili się przy sterze Dioskurowie w postaci świecących gwiazd. Inni znowu podają,

że kamień, który wtedy spadł na ziemię, zapowiadał tę klęskę. Właśnie bowiem na owe Ajgos Potamoj spadł z nieba, według powszechnego wierzenia, głaz olbrzymich rozmiarów, który jeszcze dzisiaj tam pokazują jako wielką świętość mieszkańców Chersonezu.

Tymczasem już Anaksagoras pierwszy miał mówić, że jeżeli wśród ciał niebieskich nastąpi jakieś zachwianie równowagi albo jakiś wstrząs, jedno z nich może się wtedy oderwać i spaść gwałtownie w dół. Twierdził poza tym, że żadna z gwiazd nie tkwi niewzruszenie w pierwotnym swoim miejscu, że są to ciężkie głazy, które rozżarzają się pokonywając opór przy przecinaniu eteru. Poruszają się one utrzymywane w przestworzach siłą obrotu i panującą we wszechświecie siłą przyciągania. I to właśnie było najprawdopodobniej pierwotną przyczyną, dla której te zimne i ciężkie ciała w chwili odrywania się od jednolitej masy we wszechświecie nie pospadały na ziemię.

Ale istnieje tutaj jeszcze inna dość przekonywująca teoria tych, którzy twierdzą, że gwiazdy spadające nie są wylewem ani odpryskiem ognia eterycznego, który w powietrzu błysnie i natychmiast gaśnie, nie są też żadnym procesem zapalania i spalania się wyrzuconych w górny rejon nadmiernych mas powietrza; są one wynikiem odrywania się i spadania w dół ciał niebieskich, gdy na przykład przez ustąpienie siły przyciągania czy też przez inne jakieś zaburzenia w ich ruchu zostaną te ciała ze swego toru wytracone. Spadają one wtedy także na zamieszkałe lądy ziemi, ale po największej części poza ich obrębem do olbrzymich oceanów, skutkiem czego dla naszych oczu bywają niedostępne.

Za Anaksagorasem przemawia jeszcze to, co pisze Daimachos w swej rozprawie o pobożności, mianowicie, że przed upadkiem tego kamienia na ziemię przez siedemdziesiąt pięć dni bez przerwy widać było na niebie ogromne zjawisko ogniste, podobne do płomiennego obłoku. Nie stało ono na miejscu, lecz poruszało się ciągle po różnych łamanych liniach, tak że przy tym gwałtownym ruchu odrywały się od niego ogniste cząsteczki, rozpryskujące się z błyskiem w różne strony jak spadające gwiazdy,

wreszcie runęło na ziemię. Ludność miejscowa uwolniona od trwogi i osłupienia zbiegła się zaraz gromadnie, ale nie zobaczyła żadnych skutków ani śladów tak wielkiego ognia. Leżał głaz, sam przez się wielki, ale w stosunku do wielkości swej ognistej masy znikomo mały.

Oczywiście to, co pisze Daimachos, trzeba czytać z pewną ostrożnością. Gdyby jednak jego opowiadanie miało być prawdziwe, musiałaby przed nim ustąpić hipoteza tych, którzy twierdzą, że to skała, oderwana gwałtownym wichrem burzliwym od jakiegoś szczytu górskiego, została przez tenże wicher porwana w powietrze jakby jakiś wirujący bąk i niesiona aż do miejsca, gdzie jej siła obrotowa zmalała i znikła, a ona sama zaczęła nagle spadać i wreszcie runęła na ziemię w postaci tego głazu. A może owo zjawisko na niebie trwające przez szereg dni było rzeczywiście ogniem, którego zapalenie się i gaśnięcie wywołało w powietrzu zmiany powodujące te gwałtowne wichry i burze; one być może oderwały od szczytu i porwały z sobą ową skałę. Ale pisać o tym dokładniej wypadałoby już w księgach o innym temacie.

Rozdział trzynasty

Wracając do Lizandra dowiadujemy się, że kiedy sąd wojenny skazał na śmierć owych Ateńczyków wziętych do niewoli w liczbie trzech tysięcy, on zwrócił się do ich dowódcy Filoklesa z zapytaniem, jaką by sobie sam wyznaczył sprawiedliwą karę za to, że dawał swym współobywatelom takie rady przeciw Hellenom. Lecz Filokles, mimo klęski nieugięty, oświadczył, że nie można oskarżać w sprawach, dla których nie ma sędziego: tutaj zwycięzca niech robi to, co można zrobić z pokonanym. Następnie obmył się, wdział wspaniały strój wojskowy i pierwszy szedł na czele swych współobywateli na śmierć. Tak pisze o tym Teofrast.

Lizander zaś płynął potem od miasta do miasta i wszystkim spotkanym Ateńczykom kazał wracać do Aten, zapowiadając im równocześnie, że bez litości zabije każdego,

kogo schwyta poza tym miastem. Akcję spędzania wszystkich Ateńczyków do ich stolicy przeprowadził po to, by rychło wywołać w mieście wielki głód i nędzę i żeby potem, gdy przystąpi do ich oblężenia, nie spotkać się z oporem, jaki by mogli mu stawić, gdyby byli dobrze zaopatrzeni w żywność.

Wszędzie też w owych miastach znosił rządy demokratyczne i inne formy ustrojowe, zostawiając w zamian jednego pełnomocnika lacedemońskiego i dziesięciu członków rządu, wybranych z tych właśnie klubów, które wszędzie już dawno utworzył. Przeprowadzał te zmiany zarówno w miastach, które stały po stronie nieprzyjaciela, jak i w tych, które były z nim sprzymierzone. Płynął więc systematycznie od miasta do miasta, przygotowując sobie niejako hegemonię nad Helladą. Bo owych członków nowych rządów nie wyznaczał na podstawie ich urodzenia czy też umiejętności, lecz rozdawał te stanowiska towarzyszom swego stronnictwa i najbliższym zaufanym ustanawiając ich szafarzami nagród i kar.

Sam także bywał obecny przy wielu egzekucjach, współdziałał przy usuwaniu osobistych przeciwników swoich przyjaciół, dając w ten sposób Hellenom próbkę tej bynajmniej niewesołej dla nich hegemonii spartańskiej. Do tego, jak się zdaje, robi też aluzje komediopisarz Teopompos, porównując Lacedemończyków z szynkarzami, ponieważ najśłodsze wino — napoju wolności — dali Hellenom tylko skosztować, a do picia nalali im zaraz cierpkiego octu! I ten bowiem poczęstunek stał się niebawem przykry i gorzki, gdy Lizander nie tylko nie zezwolił na rządy ludowe, ale nadto władzę w miastach oddał najbutniejszym i najbardziej żądnym zwycięstwa arystokratom.

Rozdział czternasty

Poświęciwszy na to wszystko niewiele czasu, wysłał do Sparty ludzi z zawiadomieniem, że płynie do kraju z dwustu okrętami. Potem połączył się koło Attyki z obu królami spartańskimi, Agisem i Pauzanasem, z których po-

mocą chciał w krótkim czasie zająć Ateny. Lecz Ateńczycy stawili mu wtedy silny opór, wobec czego przeprowił się wraz z flotą z powrotem do Azji.

W Azji nadal rozwiązywał istniejące rządy miast i ustanawiał w nich rządy owych dziesięciu, przy czym wszędzie ginęło wielu ludzi, wielu szło na wygnanie. Z wyspy Samos wypędził nawet wszystkich mieszkańców, a miasta ich przeznaczył na mieszkanie dla tych, którzy dotychczas przebywali na wygnaniu. Również Sestos odebrał Ateńczykom i nie pozwolił w nim pozostać dotychczasowym mieszkańcom, lecz całe miasto wraz z okolicą przydzielił byłym swoim sternikom i marynarzom. To zarządzenie spotkało się jednak jako jedno z pierwszych ze sprzeciwem Sparty. Skutkiem tego mieszkańcy Sestos wrócili znowu na ziemię ojczystą. Natomiast wszyscy Hellenowie z radością powitali te decyzje Lizandra, na mocy których po długim czasie odzyskali znowu swe miasto Ajgineci, a także mieszkańcy wyspy Melos i miasta Skione wrócili do swoich gmin, przy czym usunięci stamtąd Ateńczycy musieli odnośne tereny oddać tym ludziom z powrotem.

Teraz doszły do niego słuchy, że Ateny są już w ciężkim położeniu i grozi im głód. Popłynął więc do Pireusu i zmusił Ateńczyków do poddania się na warunkach, jakie on sam podyktuje. Wtedy to właśnie posłał Lizander — tak przynajmniej jeszcze dzisiaj można słyszeć z ust Lacedemończyków — pismo do eforów z następującymi słowami: „Ateny zajęte”. Eforowie zaś mieli mu na to odpisać: „Zajęcie ich wystarczy”. Ale opowiadanie to wymyślono celem nadania przyzwoitszej formy temu, co zrobiono. Bo prawdziwa decyzja eforów brzmiała: „Rząd lacedemoński postanawia, że macie zburzyć Pireus i długie mury, opuścić inne miasta i ograniczyć się do własnego kraju. Jeśli pragniecie pokoju, przyjmijcie te warunki. Nadto musicie odwołać ludzi, którzy są na wygnaniu. Co do ilości okrętów musicie spełnić to wszystko, co tam na miejscu będzie postanowione”.

Taką treść oficjalnego pisma spartańskiego przyjęli wtedy Ateńczycy za radą Teramenesa, syna Hagnona. Zapisał go wówczas jeden z młodszych polityków demokra-

tycznych, niejaki Kleomenes, czy ma odwagę występować i mówić przeciw temu, co zrobił Temistokles, i oddawać Lacedemończykom mury, które tamten zbudował właśnie wbrew ich woli! Na to otrzymał odpowiedź: „Ależ, młodzieńcze, ja nie robię niczego, co by się sprzeciwiało Temistoklesowi: mury, które on wznosił dla ratowania obywateli, my z tego samego powodu burzymy. A jeżeli mury uszczęśliwiają miasta, to Sparta nie mając ani kawałka muru obronnego musiałaby być najniezwyklejszym miastem na świecie!”

Rozdział piętnasty

Lizander przejąwszy mury i całą flotę ateńską oprócz dwunastu okrętów — a było to szesnastego dnia miesiąca Munichiona, czyli w kwietniu, tego samego dnia, w którym Ateńczycy pobili niegdyś wojska perskie w bitwie morskiej pod Salaminą — postanowił natychmiast wprowadzić zmianę ustroju. Ale Ateńczycy w sposób nieustępliwy nie chcieli się temu podporządkować. Wysłał więc delegatów na ich zgromadzenie ludowe z oświadczeniem, że ma ich w swoich rękach, ponieważ nie wypełnili zobowiązań: stoją mianowicie mury miasta, chociaż minęły już dni przeznaczone na ich rozebranie. Groził im, że zarządzi inne co do nich postępowanie, ponieważ złamali warunki umowy. I rzeczywiście powstała — jak twierdzą niektórzy — wśród sprzymierzeńców Sparty myśl, by wszystkich zaprzedać w niewolę. A Tebańczyk Eriantes postawił nawet wniosek, by miasto zburzyć doszczętnie, a teren jego oddać na pastwisko dla bydła.

Potem jednak, gdy dowódcy zebrali się przy winie i jakiś Fokejczyk zaśpiewał im wtedy parodos z Eurypidesowej „Elektry”, zaczynający się od słów:

O, córo Agamemnona, Elektro!

Oto do twojej wiejskiej przybyłem chałupy...

wszyscy wzruszyli się tą pieśnią i wydało się im czynem okrutnym burzyć i do zagłady doprowadzać miasto

tak sławne, które takich wydawało ludzi. Wobec tego Lizander — zwłaszcza że Ateńczycy i tak we wszystkim ustąpili — wezwał tylko wielką ilość fletnistek z miasta, zebrał też wszystkie te, które miał w swoim obozie, i przy dźwiękach muzyki mury zburzył, a okręty spalił. Sprzymierzeńcy zaś uwieńczyli sobie głowy i cieszyli się, że dzień ów jest pierwszym dniem ich wolności.

Niezwłocznie potem zabrał się Lizander do spraw politycznych i ustanowił w Atenach trzydziestu członków rządu, a w Pireusie dziesięciu. Nadto osadził na Akropolu ateńskiej załogę wojskową z Kallibiosem na czele jako komisarzem spartańskim, ów Kallibios zamierzył się raz kijem na atletę Autolikosa (na jego cześć wydaną ucztę opisał Ksenofont), Autolikos zaś chwycił tamtego za nogi i położył go na ziemi. Kallibios był tym oburzony, ale Lizander nie podzielał wówczas jego zdania: przeciwnie, robił mu nawet wyrzuty, że nie umie sprawować władzy nad wolnymi. Niemniej jednak Autolikos został niedługo potem skazany na śmierć przez owych trzydziestu członków rządu, którzy chcieli dać satysfakcję Kallibiosowi.

Rozdział szesnasty

Po załatwieniu tych wszystkich spraw Lizander wypłynął na morze w kierunku Tracji. Pieniądze, które mu jeszcze zostały, jak również dary i wieńce, które osobiście otrzymał (bo wielu mu je ofiarowywało jako najznacznieszemu mężowi i poniekąd panu Hellady), odesłał do Sparty przez byłego komendanta floty na Sycylii, Gylipposa. Podobno jednak Gylippos rozpruł od spodu szwy worków, zabrał z każdego worka sporą sumę i znowu je pozaszywał, nie wiedząc, że we wszystkich workach jest tabliczka z wykazem ich zawartości. Kiedy przybył do Sparty, ukrył podebrane pieniądze w swym domu pod dachem, a worki oddał eforom i pokazał, że są zapieczętowane. Po otwarciu worków i po przeliczeniu pieniędzy okazało się, że zawartość nie zgadza się z załączonymi wykazami. Eforowie byli w kłopotcie. Sprawa się wyjaśniła, gdy słu-

zacy Gylipposa zrobił do nich zagadkowe doniesienie: pod Keramejkiem gnieździ się wiele sów! A wiadomo, że Ateńczycy wybijali w tych czasach na swych pieniądzach przeważnie sowę.

Rozdział siedemnasty

Tak zatem ów Gylippos, dopuściwszy się hańbiącego i nieszlachetnego czynu po wspaniałych i wielkich swych czynach poprzednich, usunął się teraz dobrowolnie ze Sparty. Najpoważniejsi spośród Spartiatów obawiali się siły pieniądza szczególnie dlatego, że przyciąga on nawet nie byle jakich obywateli. Wystąpili tedy przeciw Lizandrowi z zarzutami i zaklinali eforów, by się wyrzekli wszelkiego złota i srebra, ponieważ sprowadza ono tylko nieszczęście. Przedłożony też został w tej sprawie odpowiedni wniosek. Teopompos podaje tu imię Skirafidasa, Eforos zaś imię Flogidasa, który starał się uzasadnić zdanie, że nie należy wprowadzać do państwa pieniędzy złotych i srebrnych, ale trzeba pozostać przy monecie ojczyściej.

Moneta spartańska była żelazna. Bezpośrednio po wyjęciu z ognia kapana była w occie winnym, przez co stawała się niewytrzymała i łamliwa i nie nadawała się do przekuwania. Nadto była ciężka i niewygodna do noszenia, zwłaszcza że przy dużej ilości i wadze miała stosunkowo małą wartość. Pierwotnie było zapewne tak, że jako pieniądza używano małych żelaznych, czasem spiżowych laseczek. Stąd jeszcze dzisiaj pewne drobne pieniądze nazywamy obolami, tj. laskami, a drachmą, czyli garścią, nazywamy sześć oboli, a więc tyle, ile obejmowała dłoń.

Otóż wspomnianemu wyżej wnioskowi sprzeciwili się stronnicy Lizandra i usilnie starali się o to, by owe pieniądze pozostały w mieście. Postanowiono więc, że pieniądź taki wprowadza się do użytku państwowego. Za przyłapanie zaś kogokolwiek na prywatnym posiadaniu takiej monety ustawa przewidywała karę śmierci.

A przecież Likurg nie bał się jakości pieniądza, ale te chciwości, jaką on budzi. Zakaz posiadania złota prze-

osoby prywatne nie tylko nie usunął chciwości, ale raczej ją zaszczerpił, gdyż wprowadzając ową monetę do użytku publicznego, tym samym dodawał jej wyższej wartości i blasku budzącego żądzę. Kto bowiem widział, że taki pieniądz ma wartość publiczną, ten przecież i prywatnie nie mógł nim gardzić jako nieużytecznym: nie mógł uważać za rzecz bezwartościową w swoim gospodarstwie tego, co w publicznej gospodarce miało taką wartość i cenę. Do tego jeszcze o wiele szybciej przyzwyczajenia z życia publicznego wdzierają się do życia prywatnego, aniżeli błędy i namiętności jednostek potrafią przyczynić się do szkody ogólnopństwowej: gdy ogół zacznie się skłaniać ku złemu, wtedy przeważnie następuje przewrót również w życiu jednostek; natomiast przenikanie błędów od jednostek do ogółu natrafia na wiele hamulców i środków zapobiegawczych ze strony zdrowej części społeczeństwa. Aby się w Sparcie złoto do domów nie wdzierało, postawiono postrach i ustawę na straży, ale dusze i żądze ludzi nie stały się przez to powściągliwsze i mniej wrażliwe na pieniądz; zrobiono go bowiem przedmiotem ogólnego pożądania, głosząc, że bogactwo jest rzeczą wielką i wspaniałą. Zresztą na ten temat wyraziłem także w innym moim piśmie krytyczne uwagi o Lacedaemonczykach.

Rozdział osiemnasty

Poza tym Lizander umieścił w Delfach odlany ze zdobytego spżu posąg własny oraz posągi każdego ze swych dowódców floty, a nadto złote gwiazdy Dioskurów. Te jednak zniknęły stamtąd na krótko przed bitwą pod Leuktrami. Natomiast w skarbcu Brazydasa i mieszkańców miasta Akantos złożony, był okręt, wykonany ze złota i kości słoniowej, wielkości dwóch łokci. Okręt ten posłał Lizandrowi Cyrus na pamiątkę zwycięstwa na morzu. Według relacji Anaksandrydasa z Delf był tam złożony również talent srebra, pięćdziesiąt dwie miny oraz jedenaście staterów jako depozyt samego Lizandra. Wiadomość

ta jednak nie odpowiada temu, co wszyscy zgodnie opowiadają o jego ubóstwie.

W tym czasie Lizander osiągnął władzę i znaczenie większe niż ktokolwiek z Hellenów przed nim, a opinia o jego wielkości i potędze była jeszcze większa niż sama władza. On pierwszy — jak pisze Duris — doczekał się tego, że miasta na jego cześć, jakby na cześć jakiegoś boga, stawiały ołtarze i składały ofiary, śpiewały hymny pochwalne, z których wspominają taki początek jednego:

Wodzowi pięknej Hellady
śpiewajmy pieśń:
synowi Sparty rozległej
chwała i cześć!

Mieszkańcy wyspy Samos uchwalili nawet, by obchodzone u nich święta Hery nazwać świętami Lizandra. Sam Lizander trzymał zawsze u swego boku poetę Chojrylosa, który miał jego czyny wysławiać w pięknych poematach. Antylochosowi za kilkuwierszowy lichy utwór na swoją cześć dał z radości pełen kapelusz pieniędzy. Podobnie Antymach z Kolofonu i Nikeratos z Heraklei pisali na jego cześć utwory i współzawodniczyli z sobą w „konkursie lizandrejskim”. Wieniec zwycięstwa otrzymał wówczas od niego Nikeratos; lecz Antymach czuł się tym tak dotknięty, że utwór swój zabrał i ukrył. Wtedy to młody jeszcze Platon, który żywił duży podziw dla poezji Antymacha, chcąc podnieść na duchu zmartwionego tą porażką poetę, pocieszał go mówiąc, że dla ludzi, którzy się nie rozumieją na rzeczy, brak smaku jest takim samym nieszczęściem, jak ślepota dla ociemniałych. I rzeczywiście, kiedy cytrzysta Arystonoos, sześciokrotny zwycięzca na igrzyskach w Nemei, chciał raz pochlebić Lizandrowi i powiedział, że jeżeliby jeszcze raz zwyciężył, toby się nazwał Lizandrowym... — tamten dokończył: „...chyba niewolnikiem”.

Rozdział dziewiętnasty

Ta żądza sławy u Lizandra była dla pierwszych w państwie obywateli, cieszących się równą jak on powagą, bardzo nieprzyjemna. A razem z nią wzrastała w jego charakterze za sprawą pochlebców zarozumiałość i bezwzględność w postępowaniu z ludźmi. Nie umiał zachować miary ani w karaniu, ani w nagradzaniu. Nagrodą za okazywaną mu przyjaźń i życzliwość bywały wysokie stanowiska bez odpowiedzialności i nie kontrolowane samowładztwo. Na zaspokojenie zaś gniewu znał tylko jeden sposób: zniszczyć przeciwnika! Trudno było ratować się ucieczką i żyć na wygnaniu. W Milecie, ponieważ obawiał się, by tamtejsi demokratyczni przywódcy nie chcieli uciec, równocześnie zaś chciał wywabić z kryjówek tych, którzy się ukrywali, złożył przysięgę, że żadnemu z nich nie zrobi nic złego. Lecz kiedy się w dobrej wierze ujawnili, wydał ich władzom partii oligarchicznej na stracenie. Było ich razem, jednych i drugich, ponad ośmuset ludzi.

Tak samo zresztą i w innych miastach wymordowano niezliczoną ilość zwolenników demokracji, zwłaszcza że karał ich śmiercią nie tylko z osobistych przyczyn, ale w bardzo wielu wypadkach robił to także dla swoich przyjaciół, których miał wszędzie, pomagając im w usuwaniu wrogów lub zaspokajaniu chciwości. Dlatego też głośne stało się zdanie Lacedemończyka Eteoklesa, który powiedział, że Hellada nie zniosłaby drugiego takiego Lizandra. To samo, co prawda, miał powiedzieć — według Teofrasta — również Arcestratos o Alkibiadesie, ale w tamtym wypadku skończyła się cała przykrość na zuchwalstwie, nieokiełznaniu i samolubstwie, podczas gdy Potęga Lizandra stała się czymś strasznym i zgubnym przez jego zaciętość.

Do Lacedemonu szły skargi i zażalenia, ale Spartanie na ogół na te skargi nie reagowali. Dopiero kiedy Farnabazos obrażony na Lizandra za to, że ten wtargnął i splądrował jego teren, przysłał do Sparty poselstwo

z oskarżeniem, eforów ogarnęło oburzenie. Jednego z jego przyjaciół i byłych dowódców, niejakiego Toraksa, pojмали za prywatne posiadanie srebrnych pieniędzy i ukarali go śmiercią, jego samego zaś pismem urzędowym wezwali do stawienia się w Sparcie.

Takie pismo urzędowe nazywa się skytale. Sporządza się je w ten sposób, że ilekroć eforowie wyprawiają gdzieś dowódcę floty lub wojsk lądowych, biorą dwie okrągłe laski dokładnie tej samej długości i grubości, tak że w przekroju zupełnie do siebie przystają. Jedną z nich zatrzymują u siebie, drugą wręczają wysłanemu. Te właśnie laski nazywają się skytalami. Ilekroć więc chcą przesłać jakąś ważną lub tajną wiadomość, biorą długi i wąski jak rzemień pasek papieru z łyka i nawijają go spiralnie na swoją skytale nie zostawiając żadnego odstępu między nawinięciami, tak że powierzchnia laski ze wszystkich stron dokładnie objęta jest tym łykiem. Potem piszą, co trzeba, na tym papierze, tak jak jest nawinięty na skytale. Po napisaniu treści łyko zdejmują i już bez laski posyłają je odnośnemu dowódcy. Tamten, otrzymawszy je z pismem, którego rozsypane litery nie mają ze sobą żadnego związku, nie może go inaczej odczytać, jak tylko przez nawinięcie paska łykowego na swoją laskę: w ten sposób bowiem nawinięcia wracają na niej na swoje miejsce, łączy się litera za literą w tekst i oko odnajduje znowu całą ciągłość treści. Ten pasek łykowy nosi tak samo jak laska nazwę skytali, podobnie jak np. miara oznacza samą miarę i zarazem mierzoną nią wielkość.

Rozdział dwudziesty

Tajne to pismo dosięgło Lizandra na Hellesponcie i wywołało w nim wielki niepokój. Najbardziej obawiał się oskarżenia ze strony Farnabadzosa, toteż starał się z nim spotkać i rozmówić w nadziei, że nieporozumienie uda mu się załagodzić. Uzyskawszy spotkanie, prosił Farnabadzosa, aby do władz w Sparcie napisał w jego sprawie drugi list

z oświadczeniem, że nie ma do niego żadnych pretensji i skargę swą cofa.

Ale nie wiedział Lizander, że trafił na Farnabadzosa jak przysłowiowy Kretejczyk na Kretejczyka. Bo Farnabados obiecał, że wszystko zrobi, i nawet w obecności Lizandra napisał żądany przez niego list. W ukryciu jednak miał przy sobie gotowy inny i podczas przybijania pieczęci zamienił oba pisma niczym się zewnętrznie nie różniące, po czym Lizandrowi wręczył tamto, które sobie przygotował już wcześniej w tajemnicy.

Lizander przybywszy do Sparty udał się według zwyczaju do budynku, w którym urzędowały władze, i oddał eforom pismo Farnabadzosa, przekonany, że w ten sposób najpoważniejsze przeciw sobie oskarżenie zlikwidował. Farnabados cieszył się w Sparcie wielką sympatią jako jej pomocnik w czasie ostatniej wojny, najgorliwszy ze wszystkich dowódców królewskich. Eforowie przeczytali list i pokazali go Lizandrowi, który wtedy zrozumiał, że — jak mówi poeta — „nie tylko Odys umiał chytrze schlebiać!”

Odszedł więc stamtąd wzburzony i pełen niepokoju. W kilka dni później udał się jednak znowu do władz i oświadczył, że musi wybrać się w podróż do świątyni Ammona w Afryce i złożyć tam ofiary, ślubowanie przed rozpoczęciem bitew. I rzeczywiście niektórzy piszą, że gdy Lizander oblegał miasto Aphytis w Tracji, ukazał mu się we śnie Ammon, i że przerwał on wtedy oblężenie jakoby na rozkaz samego boga, po czym polecił mieszkańcom miasta złożyć ofiary na cześć Ammona, a sam spieszył się do Afryki, aby przebłagać go na miejscu. Inni natomiast przypuszczają, że ten bóg był dla Lizandra tylko pretekstem. Bo Lizander nie tylko bał się eforów, ale już sam pobyt w kraju odczuwał jako ciężar. Nie mógł znieść nad sobą władzy i, jak piszą, szukał okazji do wyjazdu, aby błądzić swobodnie po świecie. Czuł się więc jak koń, który z wolnego pastwiska i łąk wrócił do stajni, ale znowu go pędzą do zwykłej roboty. O tym, co na temat wyjazdu Lizandra pisze Eforos, będzie jeszcze mowa w następnych rozdziałach.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ostatecznie jednak uzyskał od eforów zezwolenie na wyjazd, choć nie bez wielkich kłopotów i trudności. Tymczasem królowie zaraz po jego wyjeździe zrozumieli, że kliki jego ludzi trzymają miasta w swym ręku, a on jest wszechwładnym panem całej Hellady. Zaczęli więc robić wysiłki w kierunku przywrócenia do władzy stronnictw demokratycznych, by w ten sposób usunąć od władzy jego przyjaciół. Oczywiście myśl taka wywołała zaraz nowe rozruchy. Przede wszystkim Ateńczycy z Fyle zaatakowali trzydziestu tyranów i opanowali miasto. Wtedy Lizander wrócił czym prędzej do Sparty i namówił Lacedemończyków, by nieść pomoc oligarchiom, a wobec partii demokratycznej stosować represje. Najpierw zatem uchwalono wysłać jako pomoc dla trzydziestu ateńskich samorządców sto talentów na prowadzenie wojny, a jako wodza w tej wojnie — samego Lizandra. Ale zazdrośni królowie obawiali się, by znowu nie opanował on Aten, i zdecydowali między sobą, że jeden z nich musi się w tę wojnę wmieszać. Wyruszył tam Puzanias, według oficjalnego komunikatu po to, aby wystąpić przeciw rozruchom demokratycznym w obronie oligarchów, w rzeczywistości zaś — w celu doprowadzenia w tej wojnie do rozejmu, by Lizander nie mógł opanować na nowo Aten przez swoich zwolenników. Plan ten udało się Puzaniasowi przeprowadzić bez trudności. Przywrócił spokój w Atenach i uśmierzył rozruchy odbierając w ten sposób Lizandrowi możliwość zaspokojenia ambicji.

Co prawda niedługo potem powstały w Atenach nowe niepokoje i wtedy obwiniano króla, że demokracji, stłumionej już przez oligarchię, znowu ułatwił rozzuchwalenie i bunty. Natomiast Lizandrowi dodało to sławy człowieka, który walczy nie dla wygody innych i nie na pokaz tylko, lecz zawsze w interesie Sparty.

Rozdział dwudziesty drugi

Lizander był znany również ze swej ciętości w słowie, którym zręcznie raził przeciwników. Tak na przykład gdy Argiwczyzy wiedli ze Spartą spór o granice i ich racje wydawały się im słuszniejsze niż lacedemońskie, on pokazał im miecz i rzekł: „O, ten, kto tym włada, najlepiej umie przemawiać w obronie swego kraju!”

Innym razem pewien Megaryjczyk pozwolił sobie na jakimś zebraniu na śmiało wystąpienie przeciw niemu. Wtedy Lizander powiedział: „Tak, miły przyjacielu! Tylko że słów twoich nie popiera silne państwo!”

Do Beotów wahających się z decyzją zwrócił się z zapytaniem: „Jak mamy przejść przez wasz kraj, z włóczyniami trzymanymi poziomo czy też pionowo?”

Kiedy Koryntyjczycy od niego odpadli, przystąpił pod ich mury, ale widział, że Lacedemończycy nie mają ochoty do szturm. Zobaczono tam wtedy przypadkiem zajęcia, jak przeskoczył rów obronny tego miasta. A Lizander na to: „Nie wstydzicie się tchórzyć przed nieprzyjacielem, na którego szanach, przy jego gnuśności, zajęce spać mogą?”

Po śmierci króla Agisa, który pozostawił po sobie brata Agezylaosa i domniemanego syna Leotychidasa, Lizander nakłonił swego ulubieńca Agezylaosa jako prawdziwego potomka Heraklesa do objęcia wakującej godności królewskiej. Istniało bowiem w stosunku do Leotychidasa podejrzenie, że jest on synem Alkibiadesa, który w czasie swego pobytu na wygnaniu w Sparcie miał potajemne schadzki z żoną Agisa, Timają. Także Agis, jak mówią, obliczywszy czas doszedł do wniosku, że żona nie z nim zaszła w tę ciążę. Skutkiem tego nie dbał o Leotychidasa i było widać, że go za syna nie uznawał. Ale złożony chorobą i przeniesiony do Herei, gdy był już bliski śmierci, dał się wreszcie nakłonić prośbami samego młodzieńca i jego przyjaciół i wobec liczного grona osób oświadczył, że uznaje go za rodzzonego syna. Potem jeszcze prosił obecnych, aby jako świadkowie donieśli o tym Lacedemończykom, i wkrótce zmarł. Ci w istocie złożyli to świadec-

two, przemawiające za sprawami Leotychidasa. Oprócz tego zaś Agezylaosowi, mimo jego najlepszej sławy i poparcia ze strony Lizandra, stawał na przeszkodzie sławny ze sztuki przepowiadania wieszczek Diopejtes. Odnosił on mianowicie do ułomności Agezylaosa taką wróżbę:

Strzeż się, o Sparto, choć wielka ty jesteś i dumna,
Prosto stój! Królów niech moc ci nie szkodzi ułomna!
Bo niespodzianie cię będą gniesć długi czas znoje,
Ludzi niszczące bałwany porwą cię do wojen!

I już wielu skłaniało się do uznania takiego znaczenia wróżby, przechylając się na stronę Leotychidasa, kiedy właśnie wystąpił Lizander z twierdzeniem, że Diopejtes w niewłaściwy sposób ją tłumaczy. Lizander mówił, że bóstwo nie wyraża tu swego niezadowolenia z ewentualnego kalectwa króla spartańskiego, ale ma na myśli taką ułomność władzy królewskiej, jaką jej przynoszą nieprawi Pseudo-Heraklidzi. I te słowa znalazły ostatecznie ogólne uznanie, tym bardziej że jego wpływy w Sparcie były bardzo znaczne. Królem więc został Agezylaos.

Rozdział dwudziesty trzeci

Zaraz też zaczął Lizander podżegać go i namawiać do podjęcia wyprawy do Azji podsuwając mu nadzieję, że może zniszczyć perską potęgę i zdobyć sobie sławę największego na świecie człowieka. Do swych przyjaciół zaś rozesłał listy z poleceniem, by na głównego dowódcę w wojnie z barbarzyńcami zażądali od Lacedemończyków Agezylaosa. Ci zastosowali się do jego życzenia i wysłali w tej sprawie do Sparty poselstwa. Jak widać, i ten zaszczyt, wcale niemniejszy niż sama godność królewska, przypadł w udziale Agezylaosowi tylko za sprawą Lizandra.

Ale natury ambitne i żadne sławy, skądinąd wykazujące do przodujących stanowisk bardzo dużo talentu, nie małą przeszkodę do wielkich czynów stwarzają w sobie

przez zazdrość wobec tych, którzy im dorównują znaczeniem i sławą. Skutkiem tego z ludźmi, z których pomocy mogliby korzystać dla własnej sprawy, postępują jak z rywalami do tytułu najdzielniejszego.

Tak i teraz Agezylaos zabrał ze sobą trzydziestu członków rady przybocznej, między innymi także Lizandra, aby najwięcej i przede wszystkim z jego korzystać rady. Ale gdy przyjechali do Azji, ludzie tamtejsi nie znając jeszcze dobrze Agezylaosa przychodzili do niego rzadko i sprawy załatwiali krótko, Lizandra natomiast odwiedzali ciągle w domu albo towarzyszyli mu na ulicy dawni i dobrzy jego znajomi, i to zarówno skłonni do usług przyjaciele jak i inni, powodujący się nie tyle zaufaniem, ile raczej lękiem. Powstawała więc sytuacja podobna do tej, jaka się zdarza aktorom na scenie, gdy ten, który gra rolę posłańca lub sługi, znajduje u publiczności bardzo dużo uznania i robi wrażenie głównej postaci, a odwrotnie, aktora ubranego w diadem i z berłem w ręku obecni nawet nie słuchają, kiedy zacznie mówić.

Tak i teraz członek rady odbierał całą cześć należną przełożonemu, a królowi pozostawał tylko sam tytuł bez znaczenia i wpływu. Musiało więc nastąpić rychłe przycięcie tej nadmiernej ambicji: trzeba było zniżyć Lizandra do roli drugorzędnej. Ale usuwać go całkiem i przez to pognać swego dobroczyńcę i przyjaciela dla zaspokojenia własnej ambicji — nie uważał Agezylaos za rzecz właściwą. Najpierw zatem nie dawał mu sposobności do żadnych większych przedsięwzięć i nie przydzielał mu żadnych stanowisk kierowniczych. Następnie tych wszystkich, na których, jak zauważył, Lizandrowi najwięcej zależało, odprawiał z niczym i mieli oni u niego mniej szans niż ktokolwiek inny. W ten sposób chciał powoli usunąć i rozwiązać znaczenie i wpływy Lizandra.

Wreszcie Lizander doznając wszędzie trudności spostrzegł, że jego starania o interesy przyjaciół odnoszą wręcz przeciwny skutek. Przestał więc pomagać im osobiście, a nawet zwrócił się do nich z prośbą, by nie przychodzili do niego i nie okazywali mu szczególnego szacunku, ale żeby raczej zwracali się ze swoimi sprawami

bezpośrednio do króla i do tych osób, które swoim wielbicielom mogą przynieść obecnie więcej korzyści.

Usłyszawszy to przestali go na ogół niepokoić sprawami publicznymi, ale nie odstąpili od zwykłego okazywania mu szacunku. Przystępowali więc do niego na spacerach i w gimnazjonach, przez co jeszcze więcej zmartwienia niż przedtem sprawiali zazdrosnemu o popularność i poważanie Agezylaosowi. Doszło do tego, że Agezylaos często zwykłym Spartiatom przydzielał w miastach naczelne stanowiska wojskowe i cywilne, a Lizandra wyznaczył na urząd dostawcy mięsa. Zwracał się też potem do Jończyków, mówiąc z przekąsem: „Niechże sobie teraz idą i niech się kłaniają swojemu dostawcy mięsa!”

W tym położeniu Lizander uznał za właściwe porozmawiać z samym Agezylaosem. Rozmowa była krótka i prawdziwie lakoniczna.

„Ty, Agezylaosie, doskonale umiesz upokarzać swoich przyjaciół” — powiedział Lizander.

„Jeżeli chcą być ważniejsi niż ja sam. Kto wzmacnia moją powagę, ma także słuszny w niej udział” — brzmiała odpowiedź.

„Ale może, Agezylaosie — mówił dalej Lizander — twierdzisz tutaj więcej, niż ja w rzeczywistości robiłem. W każdym razie proszę cię, już choćby ze względu na ludzi obcych, którzy na nas patrzą, postaw mnie pod twymi rozkazami na takim stanowisku, na jakim zdaniem twoim najmniej ci będę uciążliwy, a najbardziej pożyteczny”.

Rozdział dwudziesty czwarty

Został więc Lizander wysłany później ze szczególną misją na Hellespont. Tam — choć trwało w nim rozgoryczenie na Agezylaosa — nie zaniedbał jednak swego obowiązku, lecz Persa Spitrydatesa, człowieka znakomitego pochodzenia, stojącego na czele przydzielonej mu armii, wówczas zaś poróźnionego z Farnabadzosem, nakłonił do przejścia na stronę Agezylaosa.

Poza tym jednak Agezylaos niczego mu już w tej woj-

nie nie zlecał. Po pewnym czasie Lizander odpłynął więc do Sparty bez sławy i pełen gniewu na Agezylaosa, ale jeszcze więcej niż dotychczas pełen nienawiści do całego istniejącego w Sparcie ustroju politycznego. Toteż wszystko, co sobie już dawno obmyślił i przygotował w zamiarze dokonania przewrotu politycznego, teraz postanowił bezzwłocznie wprowadzić w czyn.

Otóż kwitnął wówczas w Sparcie rozległy i świetny ród Heraklidów, którzy niegdyś połączyli się z Dorami i przybyli na Peloponez. Ale nie każdy z jego członków miał prawo do udziału w dziedzictwie władzy królewskiej. Władzę tę mogli piastować tylko członkowie dwóch domów noszących nazwę Eurypontydów i Agiadów. Pozostałym samo urodzenie nie dawało w państwie większych praw niż innym obywatelom. Ale odznaczenia za działalność i dzielność dostępne były wszystkim, którzy zdołali je zdobyć. Do takich właśnie należał Lizander: wzniosł się on na wysoki szczebel sławy przez swoje czyny, zyskał sobie wielu stronników i wielkie wpływy, a teraz nie mógł znieść, żeby miasto, które dzięki niemu się rozrosło, miało być kierowane przez innych ludzi, dzierżących godność królów, rodem jednak wcale nielepszych od niego.

Planem jego było znieść władzę dwóch domów panujących i udostępnić ją wszystkim Heraklidom, względnie — jak niektórzy podają — nie Heraklidom, lecz ogółowi Spartiatów, tak żeby ten zaszczyt przypadał nie tylko potomkom Heraklesa, ale również ludziom takim jak sam Herakles, cenionym według męstwa, które i jemu przyniosło cześć boską. Lizander miał nadzieję, że gdy takim ludziom będzie się przyznawać władzę królewską, on pierwszy spośród Spartiatów zostanie wybrany królem.

Rozdział dwudziesty piąty

Najpierw więc zabrał się osobiście do przygotowania opinii i przekonań obywateli. W tym celu wyuczył się na pamięć mowy, którą mu ułożył Kleon z Halikarnasu. Ale gdy zobaczył, że niezwykłość i wielkość jego nowatorskich

poczynać wymaga silniejszych środków pomocniczych, puścił w ruch — jak w teatrze podczas przedstawienia — całą maszynę, aby w ten sposób wyrzeć na obywatelach odpowiednio silne wrażenie. Ułożył zatem i przygotował sobie przepowiednie pytyjskie i różne inne odpowiedzi boskich wyroczni, bo wiedział, że nic mu nie pomoże zrećność słów Kleona, jeżeli jakimś strachem przed bogami i zabobonem nie przerazi obywateli i nie zniewoli ich do przejęcia się jego słowami.

Ale nie powiodła mu się przy tym — jak pisze Eforos — próba przekupienia wyroczni delfickiej ani też nie udało mu się nakłonić do tych celów Dodonid za pośrednictwem Fereklesa. Wyjechał więc do świątyni Ammona i tam prowadził rozmowy z tak zwanymi prorokami ofiarując im za usłużność wielkie sumy złota. Lecz i ci oburzyli się na niego i wysłali do Sparty ludzi z oskarżeniem przeciw niemu. Kiedy jednak Lizandra uniewinniono, Afrykańczycy owi mieli powiedzieć: „My lepszy wydamy tu wyrok, gdy wy, Spartanie, osiedlicie się u nas w Afryce” — robiąc w tych słowach aluzję do jakiejś starej przepowiedni, na której podstawie Spartanie mieli w przyszłości zamieszkać w Afryce.

Dalsze koleje tej afery i wymyślonych w niej oszustw przedstawimy teraz szczegółowiej opierając się na opowiadaniu człowieka, znanego zarówno w dziedzinie historiografii jak i filozofii. Sprawa to nieprosta i nie wynikała ze zwykłego rozwoju wypadków, lecz podbudowana została na wielką skalę wielu wstępnych przygotowaniach, po czym podobnie jak w zadaniach matematycznych zdążała przez trudne i zawiłe argumenty do końcowego rezultatu.

Rozdział dwudziesty szósty

Żyła mianowicie w kraju Pontos pewna kobieta, która twierdziła, że zaszła w ciążę za sprawą Apollina, czemu oczywiście na ogół nie wierzono. Ale znalazło się również sporo takich, którzy w to uwierzyli. Dzięki temu chłopiec, którego urodziła, znalazł z pomocą wielu znakomitych lu-

dzi staranną opiekę i najlepsze wychowanie. Na imię da-
no mu z jakiejś tam istotnej przyczyny Sylenos.

Otóż ten fakt obrał sobie Lizander za punkt wyjścia. Resztę już sam dobudował i uplótł całą sieć podstępów przy współpracy niemałej ilości i nie byle jakich współtwórców tego całego mitu. Ci przede wszystkim, nie dopuszczając najmniejszych zastrzeżeń, ugruntowali w wierze ogółu wieść o boskim pochodzeniu chłopca, a nadto puścili w obieg i rozszerzali po Sparcie pogłoskę, jakoby z Delf przyniesioną, że w tajnych księgach kapłani przechowują tam jakieś prastare przepowiednie; nie wolno ich jednak dotykać ani otwierać, bo byłoby to ciężkim grzechem; dopiero kiedyś po długim, długim czasie, kiedy przyjdzie na świat potomek Apollina i przybędzie tam, i kapłanom strzegącym owych ksiąg da oczywisty dowód swego boskiego pochodzenia, będzie mógł zabrać stamtąd owe tablice z zawartymi w nich przepowiedniami.

Po dostatecznym rozpowszechnieniu tej wieści ów Sylenos powinien był teraz przybyć do Delf i zażądać wspomnianych przepowiedni jako syn Apollina, a wtajemniczeni w tę aferę kapłani mieli to wszystko badać i dowiadywać się dokładnie o jego pochodzeniu. W końcu zaś, niby to już przekonani o prawdziwości wszystkiego, mieli mu przekazać owe tablice jako rzeczywistemu synowi Apollina, a on z kolei miał z nich w obecności większej liczby ludzi odczytać szereg przepowiedni, między innymi i tę, dla której całą tę historię zmyślono. Dotyczyła ona wspomnianej władzy królewskiej, która byłaby lepsza i korzystniejsza dla Spartiatów, gdyby królów obierali spośród swych najdzielniejszych obywateli.

Sylenos był już wtedy dorosłym młodzieńcem i zabierał się już do dzieła, gdy nagle całą tę komedię Lizandra zaprzepścił jeden z jej aktorów i współtwórców, który stchórzył w momencie, gdy trzeba było przystąpić do samego wykonania pomysłu. Ogarnął go nagle strach i wycofał się z całej sprawy. Mimo to nic z tego nie wyszło na jaw za życia Lizandra. Stało się to dopiero po jego śmierci.

Rozdział dwudziesty siódmy

A umarł Lizander przed powrotem Agezylaosa z Azji wplątawszy się w wojnę beocką albo raczej wplątawszy w nią Helladę. Bo mówią jedno i drugie. I winę tej wojny także jedni zwalają na niego, inni znów na Tebańczyków, a jeszcze inni winią za nią obydwie strony. Tebańczyków oskarżają o to, że rozrzucili ofiary w Aulidzie, a także o to, że ich ludzie, Androklejdes i Amfiteos, przekupieni pieniędzmi króla perskiego, dali się nakłonić do wszczęcia wojny Hellenów przeciw Sparcie, napadając na Fokejczyków i pustosząc ich kraj. Lizander zaś był — jak piszą — zagniewany na Tebańczyków o to, że jedynie oni wystąpili z żądaniem dziesiątej części zysków za udział w tamtej wojnie, podczas gdy reszta miast sprzymierzonych ze Spartą milczała, oraz o to, że wyrazili swoje oburzenie z powodu odesłania wszystkich zdobytych pieniędzy przez Lizandra do Sparty. Najbardziej jednak miał im za złe, że pierwsi pomogli Ateńczykom w obaleniu władzy trzydziestu „tyranów”, których on sam ustanowił w Atenach. Spartanie zaś przyczynili się do większej tych tyranów przemocy i terroru uchwałą, że zbiegowie pochodzący z Aten mogli być ściągani przymusowo z każdego kraju, a kto by ludziom odprowadzającym zbiegów stawiał przeszkody, wykroczyłby przeciw przymierzcu ze Spartą.

Otóż Tebańczycy głosowali przeciw tej uchwale i powzięli postanowienie prawdziwie godne czynów Heraklesa i Dionizosa, mianowicie, że dla każdego Ateńczyka znajdującego się w niebezpieczeństwie otworem stoi w Beocji każdy dom i każde miasto, a kto by prowadzonemu uciekinierowi nie okazał pomocy, podlega karze grzywny jednego talenta; nadto gdyby ktoś prowadził wojska przez kraj Beocji do Aten przeciw owym trzydziestu tyranom, żaden Tebańczyk nie będzie tego ani widział, ani słyszał. I tę tak prawdziwie humanitarną, godną Hellady uchwałę nie tylko głosami swymi poparli, ale i w czynach postępowali zgodnie z jej treścią. Bo przecież Trazybulos i ci, co z nim razem opanowali Fyle, wyszli właśnie z Teb. Tebań-

czycy dali im broń, pieniądze, schronienie i w ogóle wszystko, co im umożliwiło to przedsięwzięcie.

Z takimi więc pretensjami występował teraz Lizander przeciw Tebom.

Rozdział dwudziesty ósmy

A gniew jego w tym czasie był w ogóle niebezpieczny z powodu złej żółci, która w nim na starość coraz bardziej wzbierała. Podburzył więc eforów i nakłonił ich do ogłoszenia rozkazu o wyprawie przeciw Tebom, w której sam objął naczelne dowództwo. W ślad za nim zaś wysłano do Beocji również armię z królem Pauzaniąsem, który chciał wkroczyć do Beocji okrężną drogą przez przełęcz gór Kyteronu. Tymczasem Lizander szedł już naprzód ze znaczną armią przez kraj Fokejczyków. Zajął miasto Orchomenos, które poddało mu się dobrowolnie, i spustoszył Lebadeję, którą musiał zdobywać szturmem. Do Pauzaniąsa zaś wysłał pismo z poleceniem, by od Platejów maszerował prosto pod Haliartos, donosząc mu równocześnie, że sam z brzaskiem dnia stanie pod murami tego miasta.

Ale goniec jego natknął się po drodze na patrol wywiadowczy i pismo to dostało się w ręce Tebańczyków. Tymczasem do Teb przybyli również Ateńczycy z pomocą dla Beocji. Im więc powierzono teraz miasto, a sami Tebańczycy z początkiem nocy ruszyli w drogę i nieco wyprzedzili Lizandra pod Haliartos, tak że częściowo przynajmniej zdążyli jeszcze wejść w obręb murów miasta.

Lizander początkowo zamyślał stanąć na wzgórzu obozem i czekać na przybycie Pauzaniąsa. Ale potem, gdy dzień upływał, nie mógł usiedzieć w spokoju: kazał chwycić za broń, przemówieniem zagrzał sprzymierzone oddziały do walki i prostą falangą rozpoczął wzdłuż drogi marsz na mury. Jednocześnie część Tebańczyków, która nie weszła w obręb murów, okrążając miasto z lewej strony, ruszyła na tyły nieprzyjacielskie poniżej źródła zwanego Kissussa.

W tym to źródle, według podania, niańki wykapały Dio-

nizosa bezpośrednio po jego urodzeniu. Woda źródła błyszczą kolorem wina, jest przezroczysta i bardzo smaczna. Niedaleko rosła dokoła trzcina kretejska, co mieszkańcy Haliartos uważają za dowód, że mieszkał tam kiedyś Radamantys. Pokazują nawet jego grób, zwany grobem Aleosa. W pobliżu zaś znajduje się także pomnik Alkmeny. W tym bowiem miejscu została ona pochowana jako żona Radamantysa, którego poślubiła po śmierci Amfitriona.

Ale i tamci Tebańczycy, którzy znajdowali się już w obrębie miasta, ustawili się wraz z mieszkańcami Haliartos w odpowiedni szyk i czekali na chwilę, kiedy Lizander z czołowymi oddziałami zbliży się do murów. Dostrzegłszy to otworzyli nagle bramy miasta, wypadli na zewnątrz i z miejsca zabili jego i towarzyszącego mu wróżbitę. Z innych zabili niewielu, bo większość wroga uciekła szybko do zwartych szeregów. Nie poprzestali jednak na tym, ale zaczęli na nieprzyjaciela w dalszym ciągu nacierać i zmusili go do ucieczki na samo wzgórze, przy czym jeszcze tysiąc ludzi padło na polu walki. Zginęło także trzystu Tebańczyków, którzy w pościgu za nieprzyjacielem zapędzili się w miejsca mało dostępne i niebezpieczne. Byli to ludzie, których pomawiano o sympatie prospartańskie. Chcąc więc oczyścić się z tego zarzutu przed współobywatelami, nie baczyli na swoje życie i poginęli jeden obok drugiego w czasie tego pościgu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

O klęsce Lizandra dowiedział się Pauzanius w drodze z Platejów do Tespiów. Natychmiast przybył w zwartym marszu pod Haliartos. Ale równocześnie nadszedł tam już Trazybulos, prowadzący z Teb Ateńczyków. Pauzanius myślał więc o rozejmie i chciał zwrócić się do nieprzyjaciela z prośbą o wydanie zabitych. Nie zgadzali się jednak na to starsi Spartiaci oburzając się na taką myśl, a zarazem prosząc króla, by zwłok Lizandra nie odbierać drogą rozejmu, lecz z bronią w rękę bić się o jego ciało, zwyciężyć i wtedy dopiero je pogrzebać. Mówili też, że gdyby

nawet ponieśli porażkę, to i tak będzie dla nich zaszczytem polec przy swoim wodzu. Taka była opinia starszych. Natomiast Pauzanius zwracał uwagę, że zadanie to jest trudne z powodu niedawnego zwycięstwa Tebańczyków, a Lizander padł pod samymi murami miasta, tak że nawet w wypadku zwycięstwa Spartan w polu trudno by im było odebrać nieprzyjacielowi ciało Lizandra bez rozejmu. Wysłał więc do Tebańczyków herolda, zawarł z nimi rozejm i wycofał wojsko. Skoro zaś znaleźli się poza granicami Beocji w zaprzyjaźnionym i sprzymierzonym ze Spartą kraju Panopeus, pochowano Lizandra w miejscu gdzie do dziś dnia stoi jego pomnik przy drodze z Delf do Cheronei.

Podczas postoju Spartan w tym kraju opowiadał podobno jakiś Fokejczyk komuś, kto nie brał udziału w tej bitwie, że nieprzyjaciel napadł ich w chwili, gdy Lizander przekroczył już Hoplites. Usłyszał to jakiś Spartiata, przyjaciel Lizandra, i zdziwiony zapytał: „O jakim ty Hoplitesie mówisz? Bo ja nie znam tej nazwy”. A tamten opowiadał dalej, że tam właśnie, koło miasta nad potokiem zwanym Hoplites, nieprzyjaciel pobił ich czołowe oddziały. Na te słowa Spartiata ze łzami w oczach westchnął: „Jakże nieuniknione jest przeznaczenie człowieka!”

Bo Lizander, jak wiadomo, otrzymał kiedyś taką odpowiedź wyroczeni:

Radzę ja tobie się strzec Hoplitesa, co szumi, i smoka,
Syna tej ziemi, co z tyłu podstępnie za tobą podąża!

Według innych jednak ów Hoplites płynie nie koło Haliartos, ale koło Cheronei, gdzie bystrym nurtem wpada pod miastem do rzeki Falaros. Dawniej nazywano go Hoplias, dzisiaj nosi on nazwę Izomantos. Lizandra zaś zabił Haliartyjczyk, imieniem Neochoros, który miał na tarczy obraz smoka, i w tym także dopatrywano się znaku wroźby.

Ale Tebańczycy otrzymali podobno od Apollina Ismeńskiego odnoszącą się do tej wojny wyrocznię, która przepowiadała zarówno bitwę pod Delion, jak i tę pod Haliartos, choć nastąpiła ona w trzydzieści lat po tamtej. Oto słowa wyroczeni:

Pilnuj granicy, gdzie będziesz na wilki czatował z włócznikami,
Pilnuj wzgórz Orchalidesa, gdzie lis nie opuszcza mieszkania.

Przepowiednia miała na myśli to miejsce koło Delion, gdzie Beocja graniczy z Attyką; wzgórze zaś Orchalidesa leży na ziemiach Kaliartos od strony Helikonu. Nazywa się ono dzisiaj Lisią Górą.

Rozdział trzydziesty

Los Lizandra nappełnił Spartan tak ciężkim smutkiem, że sąd zagroził królowi wyrokiem śmierci. Lecz Pauzanius nie chcąc go przyjąć zakończył życie w azylu świątyni Ateny. Dopiero po śmierci Lizandra wyszło na jaw jego ubóstwo, i tym bardziej podniosło u Spartiatów blask jego cnót i męstwa: mimo rozporządzania olbrzymimi sumami, mimo wielkich innych możliwości i wyjątkowej czci, jakiej doznawał ze strony miast i króla perskiego, ani o odrobinę nie wzbogacił swego domu dobrem materialnym. Tak pisze Teopompos. A jest to pisarz, któremu łatwiej można wierzyć, gdy chwali, niż kiedy gani, ponieważ w ogóle chętniej on gani, niż wyraża się o kimkolwiek z pochwałą.

W jakiś czas potem — pisze Eforos — wynikły w Sparcie pewne nieporozumienia ze sprzymierzeńcami, tak że trzeba było zajrzeć do pism, które Lizander u siebie przechowywał. Agezylaos, wszedłszy do jego domu, znalazł tam papier, na którym napisana była mowa na temat zamierzonych innowacji ustrojowych w Sparcie, proponująca odebranie Eurypontydom i Agiadom prawa dziedzicznej godności królewskiej i oddanie jej do decyzji publicznej, przy czym królowie byliby wybierani spośród najdzielniejszych obywateli. Agezylaos zamierzał tę mowę podać do wiadomości ogółu, aby w ten sposób pokazać, jakim człowiekiem był Lizander tam, gdzie się go nie znało. Jednak ówczesny przewodniczący eforów, Lakratydas, człowiek bardzo rozsądny, sprzeciwił się temu mówiąc, że nie należy odgrzebywać Lizandra, ale raczej z nim

razem pogrzebać tę tak zręcznie i przebiegle ułożoną mowę.

Mimo wszystko Spartanie dawali po śmierci Lizandra wiele dowodów czci, jaką żywili dla jego pamięci. Między innymi na narzeczonych jego córek, którzy zerwali zaręczyny, gdy po zgonie Lizandra dowiedzieli się o jego ubóstwie, nałożyli karę pieniężną za to, że dopóki myśleli, że Lizander jest bogaczem, okazywali mu swoje poważanie, a gdy poznali, że przez sprawiedliwość i uczciwość popadł w biedę, cofnęli swoje słowo. Jak z tego wynika, w Sparcie podlegało karze nie tylko bezżeństwo, lecz także zbyt późno zawierane lub niewłaściwie pojmowane małżeństwo. Karą tą ścigano przede wszystkim tych, którzy przy zawieraniu związków małżeńskich starali się nie o uczciwych i bliskich sobie ludzi, ale o zamożnych.

To jest wszystko, cośmy zdołali zebrać z istotnych wiadomości o życiu Lizandra.

LUCJUSZ KORNELIUSZ SULLA



Rozdział pierwszy

Lucjusz Korneliusz Sulla pochodził z patrycjuszów. Odpowiada to mniej więcej greckiemu pojęciu eupatrydów. Z przodków jego Rufinus, jak podają, piastował konsulat. Ale głośniejsza od sławy tego konsulatu jest jego niesława; bo znaleziono u niego ponad dziesięć miar wagi srebrnych naczyń, co według ustawy było niedozwolone, i został on usunięty z senatu. Późniejsi członkowie tej rodziny żyli już w bardzo skromnych warunkach i sam Sulla wychował się na ojcowiznie wcale niegodnej pozazdroszczenia. Jako młody człowiek mieszkał w cudzym domu „płacąc niewielki czynsz lokatorski” — jak mu to wymawiano później, gdy doszedł do fortuny przekraczającej zdaniem ogółu jego zasługi. Po wojnie w Afryce, gdy grał wielkiego pana i lubił się bardzo przechwalać, miał się do niego odezwać któryś z zacnych i dzielnych obywateli w te słowa: „Jak ty możesz być uczciwym człowiekiem, jeżeliś zdobył taki majątek, choć ojciec ci niczego w spadku nie zostawił”.

Były to czasy, kiedy życie już nie szło jak dawniej prostymi drogami czystych obyczajów, lecz wykolejało się z nich, przekształcając się w gonitwę za przepychem i zbytkiem. Niemniej jednak ciągle jeszcze jak dawniej uważano za rzecz godną nagany, gdy ktoś odziedziczone po ojcu mienie uszczuplał albo gdy nie poprzestawał na ubóstwie, w którym żył jego ojciec.

Później, kiedy Sulla był już panem Rzymu i skazywał na śmierć całe szeregi ludzi, pewien wyzwolenc podejrzany o ukrywanie jednego z proskrybowanych i skazany na strącenie ze Skały Tarpejskiej wypomniał mu złośliwie,

że razem mieszkali przez dłuższy czas w tym samym domu czynszowym płacąc: on na wyższym piętrze dwa tysiące sestercjów, a Sulla na niższym trzy tysiące, że więc ich stopa życiowa różniła się tylko o tysiąc sestercjów! Jest to tyle, co dwieście pięćdziesiąt attyckich drachm.

Takie wiadomości podają autorzy o dawniejszych stosunkach majątkowych Sulli.

Rozdział drugi

Postać Sulli przedstawiają nam dokładnie posągi, z tym że niebieskim jego oczom, już i tak niesamowitym i przekliwym, cera jego twarzy dodawała w rzeczywistości jeszcze straszliwszego wyglądu. Miał bowiem na twarzy czerwoną, chropowatą wysypkę tu i ówdzie rozrzuconą po bladej cerze. Stąd to i przydomek jego ma być — jak mówią niektórzy — aluzją do koloru jego cery. W Atenach zaś z tegoż powodu wyśmiewał go jakiś szyderca w wierszu:

Morwa mąką posypana — to jest właśnie Sulla!

Nie jest to od rzeczy, jeżeli przytaczamy takie szczegóły w opisie człowieka, który sam — jak opowiadają — z natury bardzo lubił uszczypliwy dowcip i jako młody jeszcze i nieznany często obracał się wśród aktorów mimicznych i błaznów oddając się wraz z nimi swawoli. Nawet gdy został już wszechwładnym panem Rzymu, skupiał koło siebie najzuchwalszych ludzi ze sceny i teatru, pił z nimi codziennie i szedł z nimi o lepsze we wzajemnych złośliwościach i żartach. Uważano to za rzecz nie licującą już z jego wiekiem i przynoszącą nawet ujmę powadze jego wysokiego stanowiska, ponieważ w ten sposób zaniedbywał wiele spraw wymagających jego pilnej baczości. Ale gdy siedział przy stole, nie można z nim było rozmawiać o niczym poważnym. O ile zresztą w czasie pracy bywał surowy i nachmurzony, o tyle, skoro znalazł się w towarzystwie, przy kubku, usposobienie jego zaraz się zmieniło: wobec tancerzy mimicznych i śpiewaków był zupeł-

nie pobłażliwy, do każdej swobodnej rozmowy chętny i uprzedzająco przystępny.

Z takiego zaś folgowania sobie zrodził się u niego w postaci chorobliwego nałogu popęd do życia erotycznego i skłonność do rozpusty, od czego nie uwolnił się nawet na starość. Z Metrobiosem, jakimś człowiekiem ze sceny, utrzymywał jeszcze za młodu stałe stosunki erotyczne. Zresztą spotkało go przy tym wszystkim nawet pewne szczęście: zaczął się mianowicie kochać w jakiejś publicznej, ale bogatej kobiecie imieniem Nikopolis i dzięki stałemu z nią obcowaniu i przyjemności, jaką ona znajdowała w jego młodzieńczym wieku, został jej stałym kochankiem. A kiedy umarła, okazało się, że jego właśnie wyznaczyła testamentem na swego spadkobiercę. Prócz tego jeszcze został dziedzicem swojej macochy, która go jednak kochała jak własnego syna. W ten więc sposób osiągnął przynajmniej skromny majątek.

Rozdział trzeci

Kiedy otrzymał nominację na kwestora, popłynął do Afryki razem z Mariuszem, który wtedy sprawował swój pierwszy konsulat, na wojnę z Jugurtą. W życiu obozowym zyskał sobie powszechne uznanie towarzyszy, wykorzystując zaś zręcznie nadarzającą się okazję, zawarł przyjaźń z królem Numidów, Bokchosem. Zdarzyło się mianowicie, że posłów tego króla, którzy zdołali ująć przed rozbójnikami numidyjskimi, przyjął i potraktował życzliwie, po czym obdarzył ich upominkami i odesłał do króla, dodawszy im dla bezpieczeństwa świętę swoich ludzi.

A Bokchos już od dawna był dla Jugurty usposobiony niechętnie, chociaż był jego zięciem. Czuł się wobec niego niepewnie. Gdy więc Jugurtą poniósł klęskę i schronił się do niego, Bokchos, knując przeciw zięciowi podstępłą zdradę, zaprosił do siebie Sullę pragnąc, aby się wydało, że to Sulla pojmał Jugurtę, a nie że on sam wydał go nieprzyjacielowi.

Sulla zawiadomił o tym Mariusza. Otrzymał od niego

niewielki oddział ludzi i podjął się tego bardzo niebezpiecznego zadania. Zawierzył słowu barbarzyńcy, zdradzającego swoich najbliższych, a nadto, żeby móc pojmać drugiego, sam musiał się oddać w jego ręce. Lecz Bokchos, choć stał się panem ich obydwu, gdy stanął wobec konieczności sprzeniewierzenia się jednemu z nich, po długim namyśle wybrał ostatecznie pierwszą koncepcję zdrady i wydał Jugurtę w ręce Sulli.

Triumf z okazji zwycięstwa nad Jugurtą odbył oczywiście Mariusz, ale sławę całego przedsięwzięcia zazdrośni jego przeciwnicy przyznawali tylko Sulli. I to już Mariusza w duszy niemało gryzło. Do tego jeszcze Sulla, który z natury samej lubił się przechwalać, teraz właśnie po raz pierwszy wypłynął z nędznego życia na wierzch: z nieznanego dotąd człowieka stał się przedmiotem rozmów współobywateli i gdy raz skosztował słodyczy sławy, posunął się w swej dumie tak daleko, że nosił pierścień z wyrytą na nim sceną przedstawiającą ów sławny czyn i odtąd zawsze używał tego pierścienia jako sygnetu. Na pierścieniu wyobrażona była chwila, gdy Bokchos wydaje Jugurtę, a Sulla przejmuje go w swe ręce.

Rozdział czwarty

Mariusz czuł się tym głęboko dotknięty. Ale uważał, że Sulla jest jeszcze za mały na to, by mu okazywać zazdrość. Dlatego też trzymał go nadal w swym wojsku w stopniu legata podczas swego drugiego konsulatu i w stopniu trybuna wojskowego podczas swego konsulatu trzeciego. Niejedną też sprawę pomyślnie przez niego załatwił, bo jako legat wojskowy wziął Sulla do niewoli wodza Tektosagów, Kopillusa, a jako trybun wojskowy nakłonił do przyjaźni i przymierza z narodem rzymskim wielkie i ludne plemię Marsów.

Wreszcie jednak zauważył, że Mariusz go nie lubi, niechętnie już daje mu sposobność do szerszego działania i staje na drodze do jego kariery. Przeszedł więc do kolegi Mariusza, Katulusa. Był to człowiek bardzo zacny,

ale wobec większych konfliktów mało energiczny. Sulli zaś powierzał teraz najważniejsze i najtrudniejsze funkcje. To też pod jego rozkazami rósł Sulla szybko w znaczenie i sławę. W prowadzonej w tym czasie wojnie podbił wielką część mieszkających w Alpach ludów barbarzyńskich, a gdy brakło w handlu żywności, przejął w swe ręce kierownictwo resortu zaopatrzenia i zdobył takie zapasy wszystkiego, że i żołnierze Katulusa obfitowali w dostateczne zasoby, i można było robić z tego jeszcze pewne dostawy dla ludzi Mariusza. I to jednak — jak sam pisze — przyjmował Mariusz z bardzo wielkim niezadowoleniem.

Tak zatem ich wzajemna nienawiść, wzięwszy początek z drobnych i dziecinnych przyczyn, szła potem dalej przez krew narodu i zacięte wojny domowe do samowładztwa i zupełnego przewrotu w życiu politycznym Rzymu. Tu pokazało się także, jak mądrym znawcą chorób organizmu politycznego był Eurypides, gdy przestrzegał przed żądzą sławy i władzy jako siłą najgorszą i najzłubniejszą dla tych, którzy się jej poddają.

Rozdział piąty

Na razie jednak Sulla liczył na to, że sława zdobyta już przez czyny wojenne wystarczy mu do zrobienia kariery politycznej. Otrzymawszy zwolnienie z armii, natychmiast zaczął się ubiegać o stanowisko w administracji państwowej i zgłosił swą kandydaturę na pretora. Ale w nadziejach swych się pomylił, winę zaś tego przypisuje masom plebejskim. Pisze bowiem, że lud pamiętał o jego dobrych stosunkach z Bokchosem i dlatego spodziewał się, że gdyby przed preturą piastował edylat, dałby wspaniałe widowiska z polowaniami na zwierzęta afrykańskie i ich walkami: innym więc oddał godność pretorów, jakby jego chciał zmusić najpierw do odświeżenia edylatu.

Ale tutaj Sulla, jak się zdaje, nie przedstawił prawdziwej przyczyny swojej porażki. Wskazuje na to dalszy rozwój wypadków. Bo w roku następnym zdobył właśnie preturę, pozyskawszy sobie ogół częścią przez zabieganie

o jego względy, częścią zaś przez przekupstwo. Toteż gdy jako pretor groził raz Cezarowi, że użyje przeciw niemu prawa swojej władzy, Cezar odpowiedział mu na to ze śmiechem: „Całkiem słusznie nazywasz ją swoją władzą, boś sobie ją kupił za pieniądze”.

Po preturze został wysłany do Kapadocji. Pozornym celem tej misji było przywrócenie do władzy Ariobardzanesa. Istotną zaś przyczyną była tu chęć ukrócenia różnych przedsięwzięć Mitrydatesa, który skupiał w swych rękach władzę i siłę niemniejszą, niż miał pierwotnie. Własnego więc wojska prowadził Sulla ze sobą niewiele. Ale korzystając z ochotnej pomocy wojskowej tamtejszych ludów sprzymierzonych, wytepił wielu mieszkańców samej Kapadocji, a jeszcze więcej Armeńczyków za to, że tamtym udzielali pomocy. Wypędził też Gordiosa, a na tronie królewskim osadził Ariobardzanesa.

W czasie pobytu Sulli nad Eufratem zjawił się u niego poseł króla Arsakesa, Part Orobadzosa, chociaż dotychczas oba te narody nie utrzymywały jeszcze z sobą żadnych bliższych stosunków. I oto spotkało Sullę to wielkie szczęście, że pierwszy z Rzymian prowadził układy z Partami przychodzącymi z propozycją przymierza i nawiązania przyjaznych stosunków. Sulla kazał wtedy — jak piszą — ustawić trzy fotele: jeden dla Ariobardzanesa, drugi dla Orobadzosa, a trzeci dla siebie, i zajmwszy miejsce pośrodku udzielał im posłuchania. Lecz za to Orobadzosa król partyjski ukarał potem śmiercią. Sullę natomiast jedni chwalili, że tak dumnie postąpił z przedstawicielami barbarzyńców, inni zaś zarzucali mu w tym brak taktu i niewczesną ambicję.

Opowiadają także, że jakiś Chaldeczyk, jeden z orszaku Orobadzosa, spojrzawszy wtedy Sulli w twarz obserwował z baczną uwagą jego myśli i ruchy ciała z punktu widzenia przepisów swojej wieszczszej sztuki, po czym powiedział, że przeznaczeniem tego męża jest stać się największym człowiekiem. Równocześnie wyraził zdziwienie, jak on potrafi znieść, że jeszcze w tej chwili nie jest pierwszym ze wszystkich.

Gdy Sulla wrócił do Rzymu, Censorynus wniósł na

niego skargę o nadużycia finansowe, jako że wbrew przepisom ustawowym pobrał duże sumy pieniężne od królestwa związanego z narodem rzymskim przyjaźnią i przymerzem. Potem jednak Censorynus przed sądem nie wystąpił i skarga upadła.

Rozdział szósty

Tymczasem nieporozumienie Sulli z Mariuszem rozdmuchała na nowo wspaniałomyślność Bokchosa. Ten bowiem pragnąc pochlebić Rzymianom, a równocześnie przypodobać się Sulli, ustawił na Kapitolu posągi bogiń zwycięstwa niosących trofea wojenne a obok nich postać Jugurty ze złota, przedstawionego w chwili, gdy sam Bokchos oddaje go w ręce Sulli. Mariusz widział w tym ciężką osobistą obrazę i usiłował posągi stamtąd usunąć. Ale inni wystąpili w obronie Sulli i Rzym przez tych dwu ludzi już wówczas omal nie stanął w płomieniach walki.

Na razie jednak powstrzymała krwawe rozruchy wojna ze sprzymierzeńcami, która już dawno tliła się pod popiołami i teraz buchnęła pożogą przeciw stolicy. Wojna ta, straszna w swych rozmiarach i bardzo zmienna w swoich losach, sprowadziła na Rzym niezliczone nieszczęścia i najgroźniejsze niebezpieczeństwa. Mariusz nie zdołał w niej pokazać swej przewagi dając w tym dowód, że dzielność wojenna w dużym stopniu wymaga odpowiedniego wieku i pełni sił fizycznych człowieka. Natomiast Sulla dokonał wiele godnych uznania czynów i zdobył sobie u obywateli opinię wielkiego wodza, u przyjaciół — największego, a u wrogów — najszcześniejszego.

Ale to ostatnie określenie przyjął Sulla inaczej niż ów syn Konona, Tymoteusz, którego sukcesy przeciwnicy jego również przypisywali szczęściu. Bo gdy dali oni namalować obraz przedstawiający Tymoteusza, jak leży i śpi, a Fortuna za niego łowi miasta do sieci, ten okazał się zwykłym prostakiem występując z wielkim oburzeniem przeciw autorom pomysłu i twierdząc, że obdzierają go ze sławy jego własnych czynów. Gdy więc wrócił raz

z udanej jego zdaniem wyprawy, oświadczył przed ludem: „Ale w tej bitwie, Ateńczycy, Fortuna z pewnością nie ma żadnego udziału!” Fortuna jednak odpląciła mu — jak piszą — za to ujawnienie swojej ambicji, tak że odtąd nie zdołał już nic znacznego dokonać i wskutek zupełnego niepowodzenia w swych przedsięwzięciach popadłszy u ludu w niełaskę, musiał w końcu opuścić stolicę jako wygnaniec.

Otóż Sulla przeciwnie: nie tylko cieszył się z tego, że uchodził za szczęśliwca i wzbudzał tym podziw dla siebie, ale nawet dodawał swym czynom większego blasku przez to, że razem z innymi przypisywał je boskiemu rządzeniu i uzależniał od łaski Fortuny. A robił to bądź z chępliwości, bądź dlatego, że rzeczywiście miał takie przekonanie o boskiej jej mocy. Bo sam pisze w swych „Wspomnieniach”, że wszystko, co zrobił nie według własnego namysłu, lecz na co odważył się tak, jak mu to dyktowała bieżąca chwila, powiodło mu się zawsze lepiej niż to, co sobie z góry dokładnie, jak mu się zdawało, sam uplanował. Poza tym twierdzi także, że stworzony został raczej dla Fortuny niż dla samej wojny, przypisując w ten sposób więcej w swym życiu łasce tejże Fortuny niż własnemu męstwu. Krótko mówiąc uważał się za dziecko szczęścia. Toteż dobre stosunki z Metellusem, kolegą swoim i bliskim powinowatym, uważał również za jakiś szczególny dar boskiej życzliwości. Zdawało się bowiem, że Metellus będzie dla niego powodem wielu kłopotów, a tymczasem przy wspólnym sprawowaniu urzędu okazał się człowiekiem usposobionym dla niego nadzwyczaj przyjaźnie. Nadto do Lukullusa, któremu dedykował swoje „Wspomnienia”, zwraca się Sulla w tym piśmie z przestroga, by niczego nie uważał za rzecz tak pewną jak to, co mu nakaze we śnie owo bóstwo. Opowiada również, że gdy wychodził z Rzymu wysłany z wojskiem na wojnę ze sprzymierzeńcami, powstała w ziemi koło Lawerny wielka czeluść, z której buchnął potężny ogień i jasny słup płomienia wzbił się w górę do samego nieba. Wieszczkowie oświadczyli mu wówczas, że maż jakiś wyjątkowy, o niezwykłym wyglądzie osiągnie władzę i oddali od pań-

stwa obecne niepokoje. Sulla twierdzi, że miało to wskazywać właśnie na niego: że mianowicie ów szczególny wygląd zewnętrzny miał się odnosić do jego złotych włosów, a męstwa też nie wstydził się przypisywać sobie po dokonaniu tak wielkich i pięknych czynów. Tyle o jego wierze w boskie siły.

Zresztą usposobienie miał jakieś nierówne i pełen był sprzeczności. Grabił bardzo dużo, jeszcze więcej rozdawał. Jednak nieoczekiwanie okazywał ludziom szacunek i lekceważenie: schlebiał tym, których potrzebował, a sam tych, którzy jego potrzebowali, traktował pogardliwie. I trudno się było zorientować, czy z natury swojej był on raczej człowiekiem zarozumiałym, czy też uniżonym pochlebcą.

Podobny brak zrównoważenia wykazywał także w stosowaniu kar. Nieraz za przypadkowe przewinienia karał ludzi śmiercią, to znowu największe przestępstwa znosił obojętnie. Za najcięższe obrazy łatwo się dawał przeprosić, kiedy indziej za drobne uchybienia małej wagi mścił się morderstwami i konfiskowaniem majątków. Można by to tłumaczyć w ten sposób, że z usposobienia wrodzonego był skłonny do niebezpiecznego gniewu i mściwości, ale względy na pewne korzyści tłumili w nim niejednokrotnie tę przykrą przywarę. Tak na przykład w wojnie ze sprzymierzeńcami, gdy żołnierze jego zabili kijami i kamieniami niejakiego Albinusa, byłego pretora, ówczesnego zaś legata wojskowego, pominął ten wypadek milczeniem i wcale nie dochodził tak poważnego przestępstwa. Nawet chełpił się potem z tego i opowiadał na wszystkie strony, że żołnierze jego mają teraz więcej zapału do walki, bo męstwem chcą zmazać swoją winę. Na oskarżenia w tej sprawie także zupełnie nie zważał. W tej chwili bowiem w interesie jego leżało obalenie Mariusza. A ponieważ wojna ze sprzymierzeńcami miała się ku końcowi, myślał tylko o tym, żeby otrzymać główne dowództwo w wyprawie przeciw Mitrydatesowi, i żołnierzy, którzy byli pod jego rozkazami, kaptował sobie ustępstwami.

Po powrocie do Rzymu Sulla, mając lat pięćdziesiąt, zostaje wybrany konsulem razem z Kwintusem Pompeju-

szem i wchodzi w bardzo zaszczytny dla niego związek małżeński z Cecylią, córką arcykapłana Metellusa. Fakt ten dał sferom plebejskim powód do układania na niego różnych piosenek. Ale i z najznakomitszych rodzin wielu ludzi oburzało się na to mówiąc, iż przez to samo, że został uznany za godnego konsulatu, nie uważają go jeszcze za godnego tej kobiety. Tak przynajmniej pisze historyk Liwiusz.

Nie była to zresztą jego jedyna żona. Przedtem jeszcze jako młody człowiek miał za żonę Ilię, która mu urodziła córeczkę. Następnie ożenił się z Elią. Trzecią jego żoną była Klelia, z którą się rozwiódł, podając za powód rozwodu jej bezpłodność. Ale zrobił to z zachowaniem wszelkiej czci dla niej darząc ją na koniec podarunkami i wyrazami pochwały. I właśnie wtedy, w kilka dni później, pojawił za żonę Cecylię Metellę, co zrobiło na wszystkich wrażenie, że stawiany Klelii zarzut był jednak nieuczciwy.

Metelli natomiast okazywał już do końca życia we wszystkim głęboki szacunek, tak że nawet lud rzymski, kiedy pragnął powrotu ludzi, którzy z Mariuszem poszli na wygnanie, utrzymawszy od Sulli odpowiedź odmowną, zwrócił się do Metelli z prośbą o wstawiennictwo u niego w tej sprawie. Po zdobyciu zaś Aten obszedł się Sulla z Ateńczykami prawdopodobnie dlatego tak surowo, że z murów w czasie oblężenia rzucali szyderstwa i obelgi również pod jej adresem. Ale o tym później.

Rozdział siódmy

Konsulat jednak był dla Sulli w tej chwili wobec planów na przyszłość rzeczą mniejszej wagi. Cała troska jego i myśl zwrócona była teraz ku wojnie z Mitrydatesem, Jako rywal jego na tym polu występował Mariusz, wiedziony chorobliwą żądzą sławy i ambicją, namiętnościami, które się nigdy nie starzeją! Mariusz, choć był już ociężały i choć w niedawnej wojnie nie dopisały mu siły z powodu podeszłego wieku, teraz zapragnął wojen w obcych zamorskich krajach. I w chwili gdy Sulla oddalił

się do obozu wojskowego w celu załatwienia reszty tamtejszych spraw, on pilnował swojej sprawy w stolicy i knuł chytrze ową straszną wojną domową, która zadała Rzymowi tyle strat, ile mu ich nie zadali razem wzięci wszyscy jego nieprzyjaciele.

A zapowiadały to już z góry różne dziwne znaki. Z drzewc, na których się nosi emblematy chorągwi, samorzutnie wybuchnął ogień i potem z trudem dał się ugasić. To znowu kruki wyprowadziły gdzieś na drogę troje swych piskląt i tam je zadziobały, a pozostałe resztki odniosły z powrotem do gniazda. W jakiejś świątyni myszy nadgryzły złożone tam złoto. Jedną z nich, samiczkę, służba świątynna złapała w paści, gdzie ta mysz urodziła pięcioro młodych, ale troje z nich sama zagryzła. Najdziwniejsze jednak było to, że przy bezchmurnym i czystym niebie dał się słyszeć głos trąbki, wydającej przeciągły, ostry i przejmujący dźwięk, tak że wszyscy na niesamowity ten znak odchodzili od zmysłów z przerażenia. Wieszczkowie etruscy zapowiadali na podstawie tego wszystkiego, że nadchodzi okres zmiany rodzaju ludzkiego i że cud ten wróży przewrót we wszechświecie.

Razem bowiem ma być osiem wieków ludzkości, różniących się między sobą sposobem życia ludzi i ich obyczajami. Każdemu z tych wieków wyznaczył bóg ściśle określony czas trwania objęty okresem tak zwanego wielkiego roku. Kiedy jeden taki okres zbliża się ku końcowi, a nastaje drugi, zjawia się z nieba albo z ziemi jakiś dziwny znak. Z niego to ludzie studiujący te rzeczy i dobrze z nimi obeznani zaraz poznają, że przyszło już na świat pokolenie inne, z innymi obyczajami i inaczej też korzystające z warunków życia, a przy tym doznające ze strony bogów opieki mniejszej lub większej niż jego poprzednicy. Jak zaś wszystko inne — według ich twierdzenia — otrzymuje w ciągu tych kolejno zmieniających się pokoleń nowy na wielką skalę pokrój życia, tak też przede wszystkim sztuka wróżenia raz doznaje większego poważania i sprawdzają się jej przepowiednie, ponieważ duch boski zsyła wtedy czyste i jasne znaki, to znowu w innym pokoleniu bardzo podupada, kiedy musi polegać tylko na

własnych siłach i chwytać przyszłość z pomocą środków ciemnych i mało wyraźnych.

W tym sensie więc tłumaczyli teraz to wszystko najznakomitsi wróżbiarze etruscy, mający opinię lepszych znawców przedmiotu niż ktokolwiek inny.

I jeszcze kiedy senat zebrany na posiedzeniu w świątyni Bellony udzielał wieszczkom w tych sprawach posłuchania, na oczach wszystkich wleciał tam wróbel, który niósł w dziobie polnego świerszcza. Jedną część jego upuścił i pozostawił na miejscu, a z drugą odleciał. Tłumacze znaków widzieli w tym grożącą Rzymowi walkę wewnętrzną, mianowicie jakieś poróżnienie między posiadaczami ziemskimi a tłumem stolicy i jej Forum: bo ten ciągle szmerze jak świerszcz, a tamci mieszkają na wsi wśród pól.

Rozdział ósmy

Mariusz przybrał sobie do pomocy trybuna ludowego Sulpicjusza, człowieka, który jak nikt inny zdolny był do największych zbrodni, tak że już trzeba było pytać nie o to, kogo przewyższa on nikczemnością, lecz w czym ten nikczemnik przeszedł samego siebie! Tyle w nim było okrucieństwa, zuchwałości, tyle chciwości nie krępującej się żadnym wstydem, żadnymi względami na moralność. Prawo obywatelstwa rzymskiego sprzedawał wyzwolencom i obcokrajowcom za pieniądze, i robił to publicznie obliczając takse sprzedazy przy stole ustawionym na Forum. Utrzymywał też własnym kosztem trzy tysiące gladiatorów i miał w swym otoczeniu grupę młodych, gotowych na wszystko ludzi ze stanu rycerskiego, którą nazywał antysenatem. Poza tym przeprowadził ustawę, na mocy której żaden członek senatu nie mógł być obciążony długiem przekraczającym dwa tysiące drachm. Ale sam po śmierci pozostawił trzy miliony długów!

Ten to zbrodniarz nasłany przez Mariusza na lud zaczął wicherzyć wszędzie gwałtami i żelazem i postawił wnioski przewidujące wiele nowych i zgubnych dla państwa ustaw, między innymi wniosek o przyznanie Mariuszowi

głównego dowództwa w wyprawie przeciw Mitrydatesowi. Kiedy konsulowie w związku z tym ogłosili zawieszenie prawomocnego przeprowadzania uchwał i odbywali naradę w świątyni Dioskurów, on poprowadził tam swych ludzi, urządził rzeź i między innymi zabił na Forum młodego chłopca, syna konsula Pompejusza. Sam Pompejusz zdołał się ukryć i uciekł. Sulla zaś zapędzony przez ścigających go do domu Mariusza zmuszony został do urzędowego wystąpienia i odwołania owego zawieszenia czynności.

Wobec tego Sulpicjusz, choć usunął z urzędu Pompejusza, Sulli jednak konsulatu nie odebrał, a tylko dowództwo w wyprawie przeciw Mitrydatesowi przeniósł na Mariusza. I natychmiast posłał do Noli trybunów wojskowych, aby przejęli wojska i przyprowadzili je pod rozkazy Mariusza.

Rozdział dziewiąty

Tymczasem Sulla pospieszył się i wyprzedził ich w drodze do tego obozu, tak że żołnierze jego dowiedziawszy się naprzód o wszystkim przysłanych tam trybunów zabili kamieniami. Za to znów ludzie Mariusza wymordowali w stolicy szereg przyjaciół Sulli i rozgrabili ich mienie. A po tych wypadkach nastąpiły zaraz ucieczki i wędrówki ludzi i jedni z obozu uchodzili do miasta, drudzy zaś z miasta przedostawali się do obozu. Senat pozbawiony władzy musiał się stosować do rozkazów Mariusza i Sulpicjusza. Na wiadomość o tym, że Sulla z wojskiem idzie na Rzym, wysłał do niego dwóch pretorów, Brutusa i Serwiliusza, którzy imieniem senatu mieli mu zabronić dalszego marszu. Ci przemówili do Sulli tak zuchwale, że jego żołnierze rzucili się na nich i omal ich nie zabili. Połamali im oznaki władzy, zdarli z nich bramowane purpurą togi i po wielu szyderstwach i obelgach odesłali z powrotem do Rzymu. W stolicy już sam ich widok zrobił przygnębiające wrażenie, gdy wrócili ogołoceni z oznak urzędowych, a do tego przynieśli jeszcze wiadomość, że wojna domowa jest nieunikniona i nic jej powstrzymać nie zdoła.

Stronnicy Mariusza zaczęli się zbroić. Sulla zaś na czele sześciu pełnych legionów razem z drugim konsulem ruszył w drogę z miasta Noli widząc, że wojsko jego gotowe jest iść natychmiast wprost na Rzym. On sam jednak wahał się jeszcze przed powzięciem tej decyzji obawiając się grożącego stąd niebezpieczeństwa. Ale gdy złożył ofiarę, wieszczek Postumiusz zbadawszy dokładnie zaobserwowane przy niej znaki wyciągnął do niego obie ręce i zaklinał się, że Sulla może go zwięzać i trzymać w więzieniu aż do rozstrzygającego spotkania, a potem nawet śmiercią ukarać, jeżeli nie powiedzie mu się wszystko szybko i szczęśliwie. Poza tym również Sulli objawiła się podobno we śnie bogini, której kult Rzymianie przyjęli z Kapadocji — mogła to być Semele albo Minerwa, albo Bellona. Widział mianowicie, jak bogini stanęła obok niego i wręczyła mu piorun, po czym wymieniając po kolei każdego z jego nieprzyjaciół, kazała mu ciskać w nich tym piorunem, a oni rażeni padali i gdzieś znikali.

To widzenie dodało mu ostatecznie odwagi. Opowiedział je koledze i z nastaniem dnia ruszył na stolicę. Koło miejscowości Pictae napotkał znowu poselstwo, które prosiło go, by nie maszerował dalej na Rzym, ponieważ senat odda mu we wszystkim sprawiedliwość i przeprowadzi niezwłocznie odpowiednie postanowienia. Sulla przyrzekł posłom, że zatrzyma się i rozłoży w tym miejscu obozem. Kazał nawet dowódcom odmierzać — jak zwykle — plac pod obóz, tak że posłowie w dobrej wierze odeszli z powrotem. Lecz skoro się oddalili, natychmiast wysłał naprzód Lucjusza Bazyllusa i Gajusa Mummiusza, którzy obsadzili bramę i mury naprzeciw wzgórza Eskwilinu, a sam szybkim marszem wnet podążył za nimi. Oddział Bazyllusa wtargnął niebawem przemocą do stolicy, lecz został obrzucony kamieniami i dachówkami przez tłumy ludności cywilnej, która w ten sposób przeszkodziła mu w dalszym marszu i zepchnęła z powrotem pod mury.

Na ten właśnie moment nadszedł Sulla. Widząc, co się dzieje, krzyknął, żeby podpalać domy. Sam też pochwycił płonąca pochodnię i popędził z nią naprzód, a strzelcom kazał miotać pociski z ogniem na dachy. Nie liczył się

wtedy z niczym; z całą gwałtownością robił to, co mu dyktował gniew i wzburzenie. Widział przed sobą tylko wroga — nie zważając wcale na przyjaciół, krewnych, znajomych, nad nikim się nie litując, torował sobie drogą ogniem, który nie rozróżnia winnych od niewinnych.

Mariusz, wyparty tym atakiem pod świątynię Ziemi, przez publiczne ogłoszenie wezwał pod broń niewolników nadając im za to wolność. Ale ponieważ nieprzyjaciel parł tymczasem ciągle naprzód, uległ w końcu jego przemocy i umknął poza mury miasta.

Rozdział dziesiąty

Sulla zwołał natychmiast senat i przeprowadził głosowaniem wyrok śmierci na Mariusza i kilku innych, między którymi był także wymieniony trybun ludowy Sulpicjusz. Ten został zamordowany zdradziecko przez niewolnika, którego Sulla za to najpierw wyzwolił, a potem kazał strącić ze Skały Tarpejskiej.

Za głowę Mariusza wyznaczył nagrodę pieniężną. I tu postąpił bardzo niewdzięcznie i nie po obywatelsku: bo gdy sam niedawno szukał schronienia w domu Mariusza, ten wypuścił go cało na wolność. A była to chwila, kiedy Mariusz mógł zostać panem położenia w Rzymie, gdyby nie był wypuścił Sulli, lecz oddał go w ręce Sulpicjusza. Mimo to oszczędził go wówczas. I teraz, gdy po niewielu dniach on z kolei znalazł się w tej samej sytuacji, nie spotkał się z równą zapłatą.

W senacie postępowanie Sulli wywołało niezadowolenie, choć na zewnątrz nie było tego widać. Natomiast stronnictwo popularów jawnie skierowało przeciw niemu swój gniew i zemstę. Gdy siostrzeniec jego Noniusz, a z nim Serwiliusz, ubiegali się o wyższe urzędy, lud nie oddał na nich swoich głosów, co dla tych dwóch kandydatów było wielką zniewagą, wybrał natomiast na te urzędy innych, których zaszczytny wybór miał Sullę — jak myślano — zupełnie rozczarować. Sulla jednak przyjmował to wszystko tak, jakby się cieszył, że lud postępując

według własnego upodobania, jemu właśnie zawdzięcza tę możliwość zażywania swobody. W dodatku pochlebiał nienawidzącym go tłumom i ustanowił konsulem człowieka z partii swych przeciwników, Lucjusza Cynnę, zobowiązawszy go przedtem uroczystymi przysięgami do zgodnego współdziałania z jego polityką. Cynna udał się wtedy na Kapitol i trzymając w ręce kamień, złożył odpowiednią przysięgę, po czym sam zagroził sobie klątwą, że jeżeli nie dochowa Sulli wierności, zostanie wyrzucony ze stolicy jak ten kamień z jego ręki — i wobec niemałej liczby świadków upuścił kamień na ziemię. Lecz skoro tylko rozpoczął urzędowanie, od razu zaczął trząść istniejącym porządkiem rzeczy i postanowił pociągnąć Sullę do odpowiedzialności sądowej podstawiając jako oskarżyciela trybuna ludowego Werginiusza. Ale Sulla, nie zważając na oskarżyciela i sąd, wyjechał z Rzymu na wojnę z Mitrydatesem.

Rozdział jedenasty

Opowiadają, że jakoś w tych dniach, kiedy Sulla z wojskiem wyruszał z Italii w drogę, różne dziwne rzeczy przydarzyły się Mitrydatesowi, który wtedy przebywał w Pergamonie. Między innymi upuszczony w teatrze z jakiejś maszyny posąg bogini zwycięstwa trzymającej w ręku wieniec spadł na niego z góry i pękł tuż nad jego głową, przy czym sam wieniec oderwał się i upadłszy na ziemię rozbił się w kawałki. Zebranych przejął dreszcz trwogi i Mitrydatesa wielki lęk ogarnął, mimo że jego powodzenie w tym czasie przechodziło nawet żywione w sercu nadzieje: Rzymianom odebrał przecież Azję, królom miejscowym Bitynię i Kapadocję, a teraz rezydował w Pergamonie, rozdzielając między swych przyjaciół bogactwa, urzędy i stanowiska samorządców. Z jego synów jeden panował w starym królestwie Pontu i Bosporu aż po niezamieszkałe pustkowia leżące na północ od Morza Meockiego, tak że nikt tam nie zagrażał jego pokojowi; drugi, Ariarates, na czele silnej armii zagar-

nał zwycięsko Trację i Macedonię. Inne wreszcie kraje podbijali wówczas dla niego różni strategowie z pomocą podległych im armii.

Najznakomitszym wśród tych strategów był Archelaos, który przy pomocy floty pozostającej pod jego dowództwem opanował prawie całe tamtejsze rejony morskie. Podporządkował swej władzy Cyklady, a z pozostałych wysp podbił wszystkie, które na tych morzach dochodzą po przylądek Malea, i panował nawet na Eubei. Potem zaczął odrywać od Rzymu poszczególne szczepy helleńskie, poczynając od Aten na północ, aż do Tesalii, doznając przy tym nieznacznej porażki pod Cheroneją. Tutaj mianowicie zaszedł mu drogę Brettiusz Sura, legat pretora Sentiusza zarządzającego naówczas Macedonią. Brettiusz, człowiek odważny i rozumny, stawiał Archelaosowi idącemu jak powódź przez Beocję, silny opór i stoczył z nim pod Cheroneją trzy większe bitwy, wypierając go z tego kraju i spychając z powrotem na morze.

Tymczasem jednak zbliżał się Sulla, wobec czego Lucjusz Lukullus kazał Brettiuszowi ustąpić i zaniechać wojny, której prowadzenie zostało powierzone tamtemu. Brettiusz opuścił niezwłocznie Beocję i wrócił do Sentiusza, chociaż odnosił nadspodziewanie wielkie sukcesy, a Hellada ujęta jego rzetelnym i szlachetnym postępowaniem nosiła się już znowu z myślą powrotu pod opiekę Rzymu. Zresztą tym wystąpieniem osiągnął ów Brettiusz największy blask swoich czynów.

Rozdział dwunasty

Sulla od razu przejął pod swoją władzę szereg tamtejszych miast, które go same o to prosiły przez posłów. Tylko pod Ateny, które przez samorządcę-tyrana Arystiona zmuszone zostały do wytrwania po stronie króla, posunął się z całą swą siłą zbrojną, zamknął ze wszystkich stron Pireus i rozpoczął oblężenie, budując wszelkiego rodzaju maszyny oblężnicze i próbując różnymi sposobami wziąć miasto szturmem.

Gdyby spokojnie krótki czas przeczekał, mógłby bezpiecznie opanować górne miasto, które z powodu głodu i braku najpotrzebniejszych do obrony rzeczy znalazłoby się rychło w krytycznej sytuacji. Ale Sulli spieszyło się z powrotem do Rzymu, ponieważ obawiał się tam rozruchów. Toteż wśród wielu niebezpieczeństw i nieustannego szturmowania, z olbrzymim nakładem kosztów chciał tę wojnę jak najprędzej zakończyć. Używano przy tym — poza innymi siłami oblężniczymi — dziesięciu tysięcy par mułów, zajętych dzień w dzień przy machinach i przy dowozie potrzebnych materiałów. Kiedy zaś zabrakło budulca — dużo machin załamywało się pod własnym ciężarem albo płonęło od nieustannego ognia miotanego z murów nieprzyjacielskich — Sulla zabrał się do poświęconych gajów i wytrzebił najgęstszy z podmiejskich lasów gaj Akademo-sa i gaj Likejonu.

Poza tym — ponieważ wojna wymagała olbrzymich sum pieniężnych — Sulla położył rękę na nietykalnych skarbcach Hellady, posyłając swych ludzi już to do Epidauru, już to do Olimpu, by z tamtejszych świątyń odebrali najpiękniejsze i najbogatsze dary wotywno. W tej samej sprawie napisał też do Amfiktionów w Delfach, zaznaczając, że korzystniej będzie, jeśli skarby boga przeniesie się do niego, ponieważ on albo bezpieczniej je przechowa, albo jeżeli je zużyje, zwróci do skarbcza co najmniej równą ich wartość. W celu odebrania złota posłał jednego ze swych przyjaciół, niejakiego Kafisa z Focei, z poleceniem, by przyjmował poszczególne przedmioty po uprzednim stwierdzeniu ich wagi. Ale Kafis przybywszy do Delf bał się naruszać świętości skarbcza i wobec usilnych próśb Amfiktionów ze łzami w oczach tłumaczył się przed nimi przykrą koniecznością. A gdy niektórzy zaczęli twierdzić, że słyszeli, jak lira w najświętszej części przybytku boga wydała dźwięki, on może dlatego, że sam w to uwierzył, a może tylko dla napędzenia Sulli strachu przed bogiem, doniósł mu o tym wypadku. Lecz Sulla odpisał mu z kpinami dziwiąc się, że nie rozumie on, iż muzyka jest objawem radości, a nie smutku, i kazał mu brać śmiało to, co bóg oddaje z radością.

W tajemnicy przed Grekami wywieziono tedy wszystkie wota, z wyjątkiem jednego srebrnego naczynia, które pozostało jeszcze z darów królewskich i było tak duże i ciężkie, że zwierzęta nie mogły go udźwignąć. Naczynie to Amfiktionowie musieli oddać do potłuczenia na części.

Przypomnieli sobie przy tym Tytusa Flaminina i Maniusza Acyliusza, a także Emiliusza Paulusa, z których jeden wypędził z Hellady króla Antiocha, dwaj inni prowadzili zwycięską wojnę z królestwem Macedonii, a nie tylko nie naruszyli tych świętości helleńskich, ale przez swoje dary dodali im jeszcze wartości i blasku. Mężowie ci jednak sprawowali prawem nabyte dowództwo, i to nad nie zdemoralizowanym żołnierzem, który umiał w milczeniu spełniać posłusznie rozkazy przełożonych. Oni sami mieli w sobie dusze królewskie, choć w obyczajach i w sposobie życia zachowywali skromność i prostotę. Dlatego gospodarując pieniądzem umieli się ograniczać i przestrzegać należytej miary, zabieganie zaś o popularność u żołnierzy uważali za większą ujmę dla siebie niż strach przed wrogiem.

Inaczej było już w czasach Sulli. Wodzowie zdobywali sobie władzę nie męstwem, ale przemocą i siłą zbrojnych potrzebowali raczej do wzajemnych między sobą wojen niż do walki z wrogiem zewnętrznym. Musieli więc na stanowiskach dowódców sił zbrojnych uprawiać demagogię, a przy tym łożyć wielkie sumy na przyjemności żołnierzy i kupować sobie od nich trud służby wojskowej. Nie baczili zupełnie na to, że w ten sposób wystawiają na targ całą swoją ojczyznę i że za cenę panowania nad lepszymi sami sprzedają się w niewolę najgorszych. To przecież wypędziło Mariusza na wygnanie, a potem sprowadziło go z powrotem do kraju przeciw Sulli, to także zwróciło morderczą dłoń Cynny i jego zwolenników przeciw Oktawiuszowi, a Fimbrię i jego towarzyszy przeciw Flakkusowi. A Sulla pierwszy dawał zły przykład, bo nie tylko przekupstwem przeciągał na swoją stronę wojska, podlegające rozkazom innych dowódców, ale także na własną armię łożył hojną dłoń olbrzymie sumy. Skutek był taki, że tamtych przez korupcję przyzwyczajano do zdrady, a swoich demoralizował

rozpusztą. W ogóle więc potrzebował ogromnych sum pieniężnych, teraz zaś szczególnie na pokrycie kosztów owego oblężenia.

Rozdział trzynasty

W istocie bowiem opanowała go jakaś potworna i niepomowiana żądza zdobycia Aten przemocą, czy to dla jakiejś rywalizacji z cieniem dawnej sławy tego miasta, czy też z wściekłości na tyrana Arystiona za wszystkie kpiny i błazeńskie napaści, którymi zarówno jego samego jak i żonę jego Metellę zuchwale lżył bez przerwy z murów, wzniecając w nim coraz większy gniew. Arystion był człowiekiem o duszy złożonej z samego zuchwalstwa i okrucieństwa zarazem. Wchłonął on w siebie wszystkie najgorsze nałogi i chorobliwe żądze na wzór Mitrydatesowych, i teraz to miasto, które przetrwało tysiące wrogów i walk wewnętrznych, postawił przed ostateczną zagładą jakby przed jakąś morową zarazą. Kiedy więc miara pszenicy kosztowała w mieście tysiąc drachm, kiedy ludzie żywili się rosnącym koło Akropolu dziewiczym zieleń, gdy zjadali już nawet swe obuwie, gotowali i jedli skórę z bukłaków, on całymi dniami urządzał jeszcze pijatyki i biesiady i wyprawiając harce taneczne w zbroi drwił sobie z nieprzyjaciela. Nic go nie obchodziło, że święta lampka Ateny zgasła z braku oliwy; kapłance jej, która go prosiła o dwunastą część medymnu pszenicy, posłał tyleż — pieprzu! Radców zaś miejskich i kapłanów błagających go, by się zlitował nad miastem i przerwał wojnę z Sullą, rozpedził pociskami z łuku.

Wreszcie po długim czasie, z wielkimi trudnościami zgodził się na wysłanie do Rzymian delegacji w sprawie zawarcia pokoju. W skład jej wchodziło jednak dwóch czy trzech jego kompanów, którzy nie stawiając żadnych żądań dla miasta propozycji, chętni się tylko w swych przemówieniach Tezeusem, Eumolposem i wojnami perskimi, tak że Sulla odprawił ich w końcu słowami: „Idźcie sobie stąd, moi kochani, razem z waszym gadaniem. Mnie bowiem Rzymianie wysłali do Aten nie na naukę, lecz żeby buntowników przywołał do porządku”.

Rozdział czternasty

Tymczasem kilku ludzi słyszało podobno, jak na Keramejku rozmawiali z sobą o Arystionie jacyś starsi mężczyźni i zarzucali mu, że nie pilnuje murów miasta i nie strzeże dostępu do nich w punkcie natarcia koło Heptachalkon, chociaż jest to jedyne miejsce, któredy nieprzyjaciel może wejść na mury, i to nawet dość łatwo.

Zaraz o tym doniesiono Sulli. Nie zlekceważył tej wiadomości, lecz poszedł tam w nocy, a stwierdziwszy naocznie, że miejsce jest rzeczywiście łatwe do zdobycia, zabrał się natychmiast do dzieła. Opowiada też nam w swoich „Wspomnieniach”, że pierwszym, który wydrapał się na mury, był niejaki Marek Atejusz. Któryś z nieprzyjaciół próbował przy tym stawić opór i zadał mu nawet gwałtowny cios w hełm, tak że aż miecz w kawałki się rozprysnął, ale Atejusz nie ustąpił, pozostał na stanowisku i punkt raz zdobyty utrzymał już na stałe.

Tak zatem miasto zostało opanowane najpierw od tej strony, o której wspominali owi starzy Ateńczycy. Sulla tymczasem zdołał zburzyć i zrównać z ziemią mury na odcinku pomiędzy bramą Pirejską a bramą Świętą i około północy wkroczył do miasta i przeraził wszystkich hukiem trąb bojowych i rogów. Żołnierze wysłani na rzeź i rabunek, wśród okrzyków i wrzawy wojennej runęli z obnażonymi mieczami przez wąskie ulice. Nie tylko wówczas nie można już było podać liczby wszystkich, którzy w tych walkach polegli, ale i dzisiaj jeszcze ilość zabitych określają według ilości przelanej krwi. Otóż poza zabitymi w innych dzielnicach miasta ten rozlew krwi, jakiego dokonano w okolicy agory, ogarnął cały Keramejkos po wewnętrznej stronie Dipylonu, a według tego, co piszą, niemało krwi popłynęło też przez bramy miasta aż na przedmieścia. Oprócz olbrzymiej bowiem liczby zamordowanych w samej rzezi, nie mniej było i takich, co sami odbierali sobie życie z rozpacz i żalu za miastem ojczystym, nad którym — zdawało się — zawisła ostateczna zguba. Myśl ta tak przerażała najszlachetniejszych ludzi, że odbierała im nadzieję

i wiarę w możliwość ocalenia i nie pozwalała im spodziewać się po Sulli jakichkolwiek ludzkich uczuć albo miary w tym gniewie.

A jednak kiedy o to właśnie prosili go żyjący na wygnaniu Mejdiasz i Kallifont i rzucili się z pokorą do jego stóp i kiedy wszyscy członkowie senatu, którzy znajdowali się razem z nim na tej wyprawie, zaczęli go prosić, by oszczędził miasto, on syty już zemsty odpowiedział im pochwałą dawnych Ateńczyków i dodał, że chętnie oszczędzi wielu ze względu na kilku, a żywych ze względu na umarłych.

Zajęcie Aten nastąpiło — według tego, co opowiada sam Sulla w swoich Wspomnieniach — w Kalendy Marcowe. Dzień ten schodzi się prawie dokładnie z nowiem księżycowym miesiąca Antesterion, w którym Ateńczycy urządzają wiele obchodów świątecznych na pamiątkę straszego zniszczenia i zagłady, jakie miały miejsce w czasach potopu. Ów wielki kataklizm przypadł mniej więcej na tę porę roku.

Miasto już zostało zdobyte, ale Arystion schronił się jeszcze na Akropol, czyli na Górę Zamkową, gdzie go nadal oblegał wyznaczony do tego zadania Kurion. Tutaj zdołał się Arystion przez dłuższy czas utrzymać, aż wreszcie poddał się zmuszony do kapitulacji brakiem wody. Wtedy to niebo natychmiast objawiło swą wolę: tego samego dnia i o tej samej godzinie, kiedy Kurion sprowadził z góry Arystiona, zebrały się na pogodnym niebie chmury i niebawem spadł z nich deszcz w takiej obfitości, że zaopatrzył Akropol w dostateczną ilość wody.

W niedługi czas potem dostał się w ręce Sulli również port Pireus. Tutaj wiele obiektów kazał Sulla spalić, między innymi także budzącą powszechny podziw zbrojownię, która była dziełem architekta Filona.

Rozdział piętnasty

Tymczasem z Tracji i Macedonii nadciągał wódz Mitrydatesa, Taksyles, z armią złożoną ze stu tysięcy piechoty i dziesięciu tysięcy konnicy oraz z dziewięćdziesięcioma wo-

zami zaopatrzonymi w kosy, z zaprzęgiem czworokonnym. Wezwał on do siebie Archelaosa, który stał jeszcze z flotą koło portu Munichii nie chcąc ustąpić z morza, ale nie mając też odwagi zetrzeć się bezpośrednio z Rzymianami; tymczasem zwlekał z przystąpieniem do walki i odcinał im dowód aprowizacji.

Lecz Sulla przewidział wszystko o wiele lepiej niż jego przeciwnik i z okolic biednych, które nawet w czasie pokoju nie były w stanie wyżywić ludności, przeniósł się do Beocji. Bardzo wielu uważało wtedy krok Sulli za nietaktyczny zarzucając mu, że opuszcza Attykę, której nierówny teren może utrudnić manewry konnicy, a przerzuca się na równiny i otwarte okolice Beocji, chociaż widzi, że główne siły nieprzyjaciela stanowią właśnie wozy i konnica. Ale on uciekając — jak powiedziałem — przed biedą i głodem z konieczności narażał się na pewne ryzyko w walce. Nadto niepokoił go los dzielnego i ambitnego oficera Hortensjusza, który prowadząc do Sulli wojsko, zebrane w Tesalii, miał się przeprawiać przez tamtejsze wąwozy strzeżone przez nieprzyjaciela.

Oto powody, dla których Sulla postanowił wtedy przenieść się do Beocji. Tymczasem jednak Kafis, nasz ziomek, zmylił nieprzyjaciela i przeprowadził Hortensjusza innymi drogami przez Parnas wprost na Titoreę, która wówczas nie była jeszcze tak wielkim miastem jak dzisiaj. Była to tylko twierdza warowna na stromo sterczącej skale, do której już niegdyś przed Kserksesem schroniła się część Fokejczyków i dzięki temu ocalała. Tutaj Hortensjusz rozbił obóz i przez dzień odpierał ataki wroga, nocą zaś posunął się dalej przez trudny teren aż do Patronis. Tam na czele swych wojsk połączył się z Sulla, który już szedł mu naprzeciw.

Rozdział szesnasty

Połączywszy swe siły zajmują wznoszący się na środku równiny pod Elateją urodzajny i przestronny pagórek, z wodą u podnóża. Pagórek ten nazywa się Filobojotos, a Sulla nadzwyczajnie wychwala naturalne walory jego położenia.

Gdy rozłożyli się obozem, nieprzyjaciel wyraźnie zobaczył, jak bardzo mała była ich liczba. Konnicy bowiem mieli razem nie więcej niż tysiąc pięciuset ludzi, a piechoty nawet mniej niż piętnaście tysięcy.

Dlatego też reszta dowódców wymusiła na Archelaosie, żeby wyprowadził wojska w pole i ustawił je w szyku bojowym do bitwy. Niebawem cała równina zaroła się od koni i wozów, od małych i dużych tarcz nieprzyjacielskich. Powietrze ledwie wytrzymało tę wrzawę i bitewne okrzyki tylu narodów jednocześnie wyprowadzonych na pozycje. Ich junactwo i duma, wystawność i przepych wzmagaly trwogę przeciwnika, a błysk broni okutej wspaniale złotem i srebrem, jaskrawe kolory medyjskich i scytyjskich mundurów zmieszane z blaskiem spizu i stali, wszystko to w czasie ruchów i przegrupowań przypominało groźny widok płonącego ognia.

Rzymianie tymczasem trzymali się w skupieniu za ostrokołem i Sulla żadną perswazją nie mógł odjąć im strachu przed wrogiem, a nie chciał lękając się otwartej bitwy zmuszać do niej przemocą. Stał więc i czekał beczynn timer, z przykrością znosząc widok barbarzyńców, którzy drwili i naśmiewali się z niego zuchwale.

Ale to właśnie przyniosło Sulli największej korzyści. Bo przeciwnik zaczął tymczasem Rzymian lekceważyć i trzymał się w wielkim nieładzie, już i tak często nieposłuszny wobec swoich dowódców, którzy wydawali wiele sprzecznych rozkazów. Tylko garstka wytrwała w dyscyplinie obozowej — przeważną część szarego żołnierza nęcił rabunek i pładrowanie po okolicy. Zapuszczali się w różne strony na odległość nawet kilku dni drogi od macierzystego obozu i wtedy to bez wiedzy głównego dowództwa zniszczyli podobno miasto Panopę, rozgrabili Lebadeję i obrabowali tamtejszą świątynię.

Rozdrażniony tym Sulla nie mogąc znieść, że na jego oczach giną całe miasta, nie pozwolił swoim żołnierzom próżnować: wyprowadzał ich na roboty i zmuszał do kopania nowego koryta rzeki Kefisos i do przekopywania rowów. Nikomu nie dawał chwili spoczynku, a ociągających się karał z nieubłaganą bezwzględnością. Chciał doprowadzić do

tego, żeby ludzie, wyczerpani wysiłkiem przy robotach, zapragnęli raczej niebezpieczeństwa w boju. I to mu się udało. Gdy w trzecim dniu robót Sulla przyszedł do nich na inspekcję, podnieśli wrzawę i prosili go, by ich prowadził na wroga. Odpowiedział im, że inaczej wołają ludzie, którzy chcą walczyć, a oni chcą się tylko uwolnić od ciężaru robót. — „A zresztą — mówił dalej — jeżeli rzeczywiście jesteście tak wojowniczo usposobieni, daję wam rozkaz: biegnijcie zaraz z bronią w rękę tam!” — i wskazał im miejsce, gdzie niegdyś stał gród Parapotamiów. W owym zaś czasie leżało to miasto w gruzach, a z nich sterczała tylko skalista góra ze spadzistymi zboczami, odległa od góry Hedylios o szerokość przepływającej między nimi rzeki Assos. U podnóża owej skalistej góry łączy się ona z Kefisosem w jedną, jeszcze bardziej rwącą rzekę, przez co wierzchołek stanowi dobrze zabezpieczone miejsce pod obozowisko. Dlatego Sulla widząc, że nieprzyjacielskie oddziały ze spiżowymi tarczami posuwają się ku tej górze, postanowił miejsce to zająć wcześniej. Rzeczywiście je zajął dzięki zręcznemu wykorzystaniu zapasu swoich żołnierzy.

Archelaos, odepchnięty stamtąd, rozpoczął marsz na Cheroneję. Cheronejczycy, którzy wtedy służyli w rzymskich szeregach, prosili jednak Sullę, by nie opuszczał w potrzebie ich ojczyźnego miasta, i Sulla odkomenderował tam wraz z legionem żołnierzy jednego z trybunów wojskowych, niejakiego Gabiniusza, zwalniając równocześnie Cheronejczyków ze swego wojska. Chcieli oni nawet Gabiniusza wyprzedzić, ale nie zdołali, bo szlachetny ten człowiek idąc na ratunek drugim, przewyższał w gorliwości tych, co sami tego ratunku potrzebowali. Juba podaje, że wysłanym tam wówczas trybunem był nie Gabiniusz, lecz Erycjusz. Tak zatem moje ojczyźne miasto uniknęło wtedy niebezpieczeństwa.

Rozdział siedemnasty

Tymczasem z wyroczni Trofoniosa z Lebadei przysłano Rzymianom pomyślne wróżby i wieszczące im zwycięstwo przepowiednie. Opowiadają o nich dość dużo tamtejsi

mieszkańcy. Według tego zaś, co Sulla sam pisze w dziesiątej księdze swoich Wspomnień, miał przybyć do niego już po zwycięskiej bitwie pod Cheroneją znany powszechnie w Helladzie kupiec Kwintus Tytiusz z wiadomością, że Trofonios przepowiada mu w tym samym miejscu w niedługim czasie jeszcze drugą bitwę i zwycięstwo. Po nim zaś jeden z prostych szeregowców, imieniem Salwienus, zameldował Sulli objawioną przez boga wiadomość, jaki obrót wezmą ostatecznie sprawy, dotyczące Italii. Jeden i drugi opowiadał to samo o wyglądzie tego boga twierdząc, że pod względem wielkości i piękności podobny był do olimpijskiego Dzeusa.

Sulla przekroczył z kolei rzekę Assos i posunawszy się naprzód wzdłuż podnóża góry Hedylios rozbił obóz naprzeciw Archelaosa, który wybudował już silny wał obronny w środku pomiędzy górami Akontios i Hedylios, opodal miejscowości, zwanej Assioj. Dzisiaj miejsce, gdzie rozbite były jego namioty, nosi od niego nazwę Archelaos. Tu jednak zatrzymał się Sulla tylko jeden dzień. Następnie pozostawiwszy na miejscu Murenę z jednym legionem i dwiema kohortami, by przeszkadzał nieprzyjacielowi w formowaniu szyków, sam nad Kefisosem złożył ofiarę ze zwierzęcia i opatrzony pomyślną wróżbą ruszył w drogę w kierunku Cheronei. Tam chciał się połączyć ze stojącą w mieście częścią swojego wojska i obejrzeć Turion, obsadzone już wówczas przez nieprzyjaciela.

Turion — to stromy, stożkowaty szczyt góry, którą u nas nazywają Ortopagos. U podnóża jej płynie strumień Morios i stoi świątynia Apollona Turyjskiego. Przydomek ten otrzymał Apollo od matki Chajrona, Turo, a Chajrona właśnie uważa się za założyciela Cheronei. Według innych miała się w tym miejscu ukazać Kadmosowi krowa, którą mu bóg Pytyjski dał za przewodniczkę. I od niej to podobno miejscowość otrzymała swą nazwę, ponieważ w języku fenickim wyraz „thor” oznacza krowę.

Otóż teraz, kiedy Sulla zbliżał się do Cheronei, wyszedł na jego spotkanie przebywający w mieście ów trybun wojskowy i idąc na czele swego wojska w pełnym uzbrojeniu Wręczył mu wawrzynowy wieniec. Sulla przyjął wieniec,

żołnierzy serdecznie przywitał i zagroził do czekającej ich nowej bitwy. Wtedy przystąpiło do niego dwóch ludzi z Cheronei, niejaki Homolojchos i Anaksydamos. Podejmowali się oni zlikwidowania załogi nieprzyjacielskiej na Turion z pomocą niewielkiej liczby przydzielonych im żołnierzy. Twierdzili mianowicie, że istnieje nie znana nieprzyjacielowi ścieżka prowadząca od tak zwanego Petrachos koło świątyni muz na szczyt sterczący ponad samym Turion. Tą ścieżką — mówili — można będzie wejść i bez trudu zaskoczyć tamtejszą załogę, a potem zasypać ją z góry gradem kamieni albo przynajmniej spędzić w dół na równinę. Kiedy jeszcze Gabiniusz zaświadczył, że do tych ludzi można mieć zaufanie i można wierzyć w ich dzielność, Sulla kazał im zaraz brać się do dzieła.

Sam tymczasem ustawił swe wojska w falangę i rozdzielił konnicę na oba skrzydła, osobiście dowodząc skrzydłem prawym, a lewe przekazując Murenie. Natomiast legaci jego, Galba i Hortensjusz, na czele kohort posiłkowych stanęli w tyle na wzniesieniach jako straż, która miała na celu zabezpieczenie całości przed ewentualnym otoczeniem przez wroga. A było widać, że nieprzyjaciel szykuje z silnych oddziałów konnicy i lekkiej piechoty giętkie i ruchliwe w swoich obrotach skrzydło, które miało się wydłużyć i Rzymian otoczyć z tyłu pierścieniem.

Rozdział osiemnasty

Tymczasem Cheronejczycy pod dowództwem Erycjusza, którego im Sulla przydzielił, obeszlą niepostrzeżenie Turion i nagle zjawili się nad głowami barbarzyńców, którzy wśród wielkiego zamieszania i popłochu przeważnie sami się o śmierć przyprawiali. Nie próbowali nawet stawiać oporu i uciekali na łeb na szyję wpadając na własne włócznie, lecieli w dół, spychając jedni drugich, podczas gdy z góry ludzie Sulli nacierali na nich gwałtownie i rządzili bezbronnymi pociskami. Padło tam wtedy trzy tysiące nieprzyjaciela. Z ludzi tych, którzy zdołali stamtąd uciec, jedną część zaszedł stojący już na stanowisku Murena i od-

ciąwszy im drogę wszystkich doszczętnie wygubił. Inni, którym udało się przedrzeć na stronę macierzystego obozu, wpadli w nieładzie na tamtejszą falangę wywołując wśród żołnierzy niemało strachu i zamieszania. Przyczyniło to dowódcom wiele kłopotu i niepotrzebnej straty czasu, która też w niemałym stopniu stała się powodem ich klęski.

Sulla bowiem wykorzystując to zamieszanie ruszył na nich bezzwłocznie i szybkim marszem pokonał dzielącą obie armie przestrzeń. W ten sposób uniemożliwił owym wozom z kosami rozwinięcie odpowiedniej szybkości. Bo siła ich zależy przede wszystkim od długości rozpędu, który nadaje im ów gwałtowny rozmach dopiero na odpowiedniej przestrzeni, podczas gdy rozpęd z niewielkiej odległości jest słaby i bezskuteczny, podobnie jak lot strzały z źle napiętej cięciwy.

Oto, co przydarzyło się wtedy przeciwnikowi Sulli. Już pierwsze wozy toczyły się bez rozmachu i wpadły na Rzymian z szybkością zgoła nieszkodliwą. Oni zaś klaskając w dłonie, ze śmiechem wołali o następne — tak jak to robią w cyrku przy wyścigach rydwanów.

Z kolei zderzyły się z sobą siły piechoty. Barbarzyńcy pochyliwszy przed sobą długie lance, starali się pod gęstą osłoną z tarcz utrzymać falangę w porządku, ale Rzymianie z miejsca odrzucili oszczepy i z wydobytymi mieczami, roztrącając na boki nieprzyjacielskie lance, dążyli do jak najszybszego starcia wręcz. Gnał ich do tego gniew, gdy zobaczyli, że w czołowej linii przed nieprzyjacielem idzie piętnaście tysięcy niewolników. To dowódcy królewscy za cenę wolności wezwali ich z miast przez heroldów i wcielili grupami do oddziałów ciężkozbrojnych hoplitów.

Jakiś centurion rzymski powiedział wtedy, że o ile mu wiadomo, niewolnicy mają coś do powiedzenia tylko w święta Saturnaliów. A jednak głęboka i zwarta ich linia bardzo powoli ustępowała pod naporem ciężkiej piechoty Rzymian i wbrew wrodzonym swoim skłonnościom ludzie ci stawiali dzielny opór. Dopiero pociski procarzy i strzelców, miotane na nich masowo przez Rzymian stojących w tylnej linii frontu, zmusiły ich do odwrotu i rozgromiły.

Rozdział dziewiętnasty

W chwili gdy Archelaos zaczął wydłużać prawe skrzydło swych wojsk, aby otoczyć Rzymian z tyłu, Hortensjusz nadszedł na niego idące w pełnym biegu kohorty, które miały z boku uderzyć na nieprzyjaciela. Ten jednak szybkim ruchem uchylił przed uderzeniem dwutysięczną grupę swych jeźdźców i Hortensjusz musiał pod naporem przeważającej liczby nieprzyjaciela ustąpić w górzysty teren, a oddalivszy się w ten sposób od głównych sił rzymskich, dostał się w nieprzyjacielski kocioł.

Zameldowano o tym Sulli, który natychmiast pospieszył tam z pomocą z prawego skrzydła nie biorącego jeszcze udziału w walce. Lecz wtedy znowu Archelaos, wnioskując, co się dzieje, z kurzu wznieconego przez biegnących tam ludzi, porzucił Hortensjusza i zwrócił się przeciw prawemu skrzydłu porzuconemu przez Sullę, aby je zająć pod nieobecność wodza. Równocześnie Taksyles uderzył na Murenę ze swymi oddziałami „spiżowych tarcz”, tak że z obu stron na raz podniósł się krzyk i poszedł potężnym echem po okolicznych górach, a Sulla przystanął nie wiedząc, w którą stronę ma iść teraz z pomocą. Zdecydowawszy się wreszcie zająć poprzednie stanowisko, posłał Murenę na pomoc Hortensjusza z czterema kohortami, a piątej kazał iść za sobą i pośpieszył na prawe skrzydło. Tu Rzymianie już sami przez się utrzymywali równowagę w walce z Archelaosem, a kiedy wśród nich pojawił się Sulla — zdobyli zdecydowaną przewagę i odniósłszy zwycięstwo ścigali uciekającego wroga aż do rzeki i góry Akontios. Sulla jednak nie zapomniał o niebezpieczeństwie grożącym Murenie i ruszył na pomoc jego oddziałom. Kiedy zauważył, że i one zaczynają zwyciężać, sam także puścił się w pościg za nieprzyjacielem.

Tłumy barbarzyńców padły w tej bitwie na polu walki, ale najwięcej zginęło ich dopiero podczas ucieczki w stronę wałów obozowych, tak że z tyłu dziesiątek tysięcy dotarło potem do Chalkis zaledwie dziesięć tysięcy ludzi. Z żołnierzy Sulli — według tego, co on sam pisze — brakowało

tylko czternastu, z których jednak pod wieczór dwóch jeszcze zameldowało swą obecność.

Na pomniku zwycięstwa Sulla umieścił napis z imionami Marsa, Wiktorii i Wenery na pamiątkę, że sukces w tej bitwie zawdzięcza sprzyjającemu mu szczęściu w niemniejszym stopniu niż własnej sprawności i sile. Pomnik ten stoi na równinie w pobliżu rzeczki Molos, gdzie w czasie bitwy wojska Archelaosa rozpoczęły swój odwrót. Drugi pomnik, który stoi na szczycie góry Turion na pamiątkę owego zaskoczenia barbarzyńców, greckimi literami głosi dzielność Homolojchosa i Anaksydamosa.

Uroczystości z okazji zwycięstwa, połączone z występami i popisami, obchodził Sulla w Tebach, urządziwszy do tego celu plac widowiskowy koło źródła Edypa. Na sędziów w tych zawodach zaprosił jednak ludzi z innych miast helleńskich, ponieważ do samych Tebańczyków czuł nieprzejednany gniew. Odebrał im także połowę ziemi i poświęciwszy ją bogu pytyjskiemu i olimpijskiemu zarządził, aby z czerpanych z niej dochodów zwrócili do świątyń tych bogów sumę równą wartości tego, co sam niegdyś stamtąd pozabierał.

Rozdział dwudziesty

Kiedy potem Sulla dowiedział się, że w Rzymie konsulem wybrany został Flakkus, człowiek z przeciwnej mu partii, i że płynie już z armią przez Morze Jońskie na wschód — pozornie przeciw Mitrydatesowi, w rzeczywistości jednak, jak myślał Sulla, przeciw niemu samemu — ruszył z całym swym wojskiem w kierunku Tesalii jakby na jego spotkanie. Ale gdy stanął pod miastem Melitea, zaczęły do niego nadchodzić ze wszystkich stron wieści, że zaplecze pustoszy ponownie armia królewska nie mniej liczna niż poprzednia. Do Chalkis bowiem przybył tymczasem Dorylaos i na olbrzymiej flocie przywiózł osiemdziesiąt tysięcy doskonale wyćwiczonego i uzbrojonego żołnierza armii Mitrydatesowej, po czym natychmiast wkroczył do Beocji, opanował ten kraj i pragnął za wszel-

ką cenę, nie zważając na ostrzeżenia ze strony Archelaosa, wciągnąć Sullę do walnej rozprawy. O pierwszej zaś bitwie rozsiewał pogłoskę, że nie bez zdrady zginęło w niej tyle tysięcy ludzi.

Sulla tedy natychmiast zawrócił i niebawem udowodnił Dorylaosowi, że Archelaos to człowiek rozumny, który z doświadczenia najlepiej znał męstwo Rzymian. Zaledwie bowiem Dorylaos niefortunnie natknął się na Sullę koło góry Tylfosjon, pierwszy zmienił zdanie i uznał, że nie można tu szukać rozstrzygnięcia w otwartej bitwie, tylko trzeba prowadzić wojnę obliczoną na zwłokę i wyczerpanie środków pieniężnych przeciwnika. Pewnej jednak odwagi i nadziei dodawało mu samo położenie miejsca koło Orchomenos, gdzie obaj rozbili swoje obozy: było ono korzystne w walce dla tej strony, która miała więcej konnicy. Bo ze wszystkich równin beockich ta właśnie jest najpiękniejsza i największa. Począwszy od samego Orchomenos bezdrzewna równina rozpościera się aż po owe błota, w których gubi się rzeka Melas. Ta zaś wypływa poniżej miasta Orchomenos i jest jedyną w Grecji rzeką, która od samych źródeł niesie dużo wody i jest spławna, a w czasie letniego przesilenia dnia z nocą przybiera jak Nil i podobną jak Nil wydaje roślinność, choć pozbawioną owocu i nie tak bujną. Długość jej biegu niewielka i większa część jej koryta ginie od razu w bezdrożnych i błotnistych mokradłach, a tylko niewielką odnogą łączy się z Kefisosem w tym właśnie miejscu, gdzie owe mokradła wydają trzcinę, nadającą się najlepiej do wyrobu fletów.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tam więc blisko siebie rozbili swe obozy, przy czym Archelaos zachowywał spokój, a Sulla kazał kopać z jednej i drugiej strony rowy, próbując w ten sposób odciąć przeciwnika od twardego i dogodnego dla kawalerii terenu i zepchnąć go na błota. Nieprzyjaciel jednak, nasłany przez główne dowództwo na Rzymian, aby temu planowi przeszkodzić, popędził w ich kierunku niczym rwący potok,

tak że rozpierzchły się nie tylko oddziały zajęte robotami, ale nawet stojące przy nich kolumny ochronne po większej części popadły w zamieszanie i zaczęły uciekać. Wtedy to Sulla sam, zsiadłszy z konia na ziemię, porwał chorągiew wojskową i przedzierając się w kierunku wroga poprzez tłumy uciekających wołał: „Dla mnie, Rzymianie, zaszczytem będzie tutaj zginąć! A wy, kiedy was pytać będą, gdzieście zdradzili swego wodza, przypomnijcie sobie i powiedzcie, że pod Orchomenos!”

Tymi słowami porwał uciekających z powrotem za sobą, a oprócz tego przybiegły mu na pomoc dwie kohorty z prawej strony, które także poprowadził na wroga, i zmusił go w ten sposób do odwrotu. Potem cofnął swoich żołnierzy nieco do tyłu, kazał im zjeść posiłek, a następnie w dalszym ciągu odcinać obóz nieprzyjacielski od reszty terenu rowami. Tamci jednak znowu przeszli do ataku, i to w większym porządku niż poprzednio, przy czym na prawym skrzydle padł wtedy pasierb Archelaosa, Diogenes, dając dowody nadzwyczajnego męstwa. Łucznicy zaś, nie mogąc wytrzymać naporu Rzymian, ale nie mając gdzie się cofać, zaczęli nagle wszyscy razem ciąć przeciwnika trzymanymi w rękę strzałami, jakby walczyli na miecze, i tak bronili się do chwili, gdy wreszcie dotarli do wałów obronnych swego obozu i tam zamknawszy się spędzili bardzo ciężką noc wśród ran i trwogi.

Z nastaniem dnia Sulla wyprowadził ponownie swych żołnierzy pod wały nieprzyjacielskiego obozu i dalej kazał im kopać rowy. Kiedy zaś przeciwnik i tym razem ruszył ze swego obozu z wielkimi siłami jak do regularnej walki, Sulla znowu nań uderzył i znowu zmusił do ucieczki. Kiedy zaś na widok uciekających i przerażonych towarzyszy nikt już nie ośmielił się wytrwać na stanowisku, Sulla wziął szturmem obóz nieprzyjacielski.

Wówczas to pobici napełnili owe błota krwią, a mokradła trupami. I jeszcze dzisiaj, prawie po dwustu latach, można tam znaleźć dużo barbarzyńskich pocisków, hełmów, części żelaznych pancerzy i zatopione w owych bagnach sztylety.

Takie to wypadki — według opowiadań historyków — rozegrały się koło Cheronei i pod Orchomenos.

Rozdział dwudziesty drugi

Tymczasem w Rzymie Cynna i Karbon stosowali wobec najznakomitszych osobistości bezprawie i gwałt. Tłumy uciekających przed ich tyranią chroniły się do obozu Sulli niby do bezpiecznej przystani i w krótkim czasie powstał wokół niego rodzaj senatu. Nawet Metella, która wraz z dziećmi z trudem uszła przed niebezpieczeństwem, przybyła do niego przynosząc wiadomość, że dom jego i dobra zostały przez nieprzyjaciela spalone, i prosiła go, by szedł na ratunek ojczyźnie.

Sulla popadł w rozterkę, bo ani nie mógł zwlekać z pomocą dla szarpanej nieszczęściami ojczyzny, ani też pogodzić się z myślą, że miałby odjechać nie ukończywszy tak wielkiego przedsięwzięcia, jakim była wojna z Mitrydatesem.

Ale wtedy właśnie zjawił się u niego pewien kupiec z Delion, imieniem Archelaos, przynosząc mu dużo nadziei w poufnych propozycjach od Archelaosa, stratega królewskiego. Sulla przyjął wiadomość w tej sprawie z tak wielką radością, że sam pośpieszył na spotkanie z Archelaosem, by z nim osobiście przeprowadzić odpowiednie rozmowy.

Spotkali się koło Delion nad morzem, w tym miejscu, gdzie stoi świątynia Apollina. Rozmowę zagaił Archelaos. Nakłaniał Sullę, by porzucił Azję i Pont, a płynął do Rzymu i wkroczył w tamtejszą wojnę domową, na którą król oferuje mu znaczną sumę pieniężną, okręty wojenne i dowolną ilość wojska.

Z kolei zabrał głos Sulla. Radził Archelaosowi, by się nie troszczył o króla Mitrydatesa, lecz żeby sam został zamiast niego królem i przystąpił do przymierza z Rzymem oddając swoje okręty. A gdy Archelaos zaczął się pod przysięgą odzegnywać od takiej zdrady, Sulla mówił dalej: „Więc ty, Archelaosie, będąc Kapadokiem i niewolnikiem, albo jeżeli ci to miłsze, przyjacielem króla barbarzyńskiego, nie masz odwagi w zamian za tak wielkie korzyści dopuścić się haniebnego czynu, a mnie, który jestem rzymskim wodzem i Sulla, ośmielasz się proponować zdradę? Czyż to nie ty

jestes owym Archelaosem, który uciekał spod Cheronei, ratując zaledwie garstkę wojska ze stu dwudziestu tysięcy żołnierzy, a potem, po dwóch dniach ukrywania się w błotach pod Orchomenos, opuścił Beocję, trupami barykadując jej drogi?"

Słowa Sulli zmieniły stanowisko Archelaosa, który z całą uniżonością prosił go teraz, by zechciał tej wojny zaprzestać i zawrzeć z Mitrydatesem pokój. Wtedy dopiero Sulla przyjął jego prośbę i ułożono warunki umowy pokojowej: Mitrydates miał zrezygnować z terenów prowincji Azji i Paflagonii, odstąpić Bitynię Nikomedesowi, a Kapadocję Ariobardzanesowi, Rzymowi zaś miał wypłacić dwa tysiące talentów i przekazać mu siedemdziesiąt okrętów okutych spiżem wraz z pełnym należącym do nich uzbrojeniem; Sulla w zamian za to zapewniał mu bezpieczne sprawowanie władzy w pozostałych częściach królestwa oraz tytuł sprzymierzeńca narodu rzymskiego.

Rozdział dwudziesty trzeci

Kiedy więc doszło między nimi do porozumienia, Sulla zawrócił z drogi i pomaszerował przez Tesalię i Macedonię nad Hellespont, mając u swego boku Archelaosa, któremu okazywał szacunek. A gdy koło Larysy Archelaos niebezpiecznie zachorował, wstrzymał nawet marsz i troszczył się o niego, jakby o któregoś z własnych dowódców i strategów.

To oczywiście rzuciło od razu światło na sprawę bitwy pod Cheroneją, o której mówiono, że została przeprowadzona w sposób niezupełnie czysty. Zastanawiał również fakt, że Sulla zwolnił wszystkich wziętych do niewoli przyjaciół Mitrydatesa oprócz jednego tylko Arystiona, tyrana Aten, którego sprzątnął ze świata trucizną, a który żył w niezgodzie z Archelaosem. Najwięcej jednak powodów do podejrzeń i zarzutów przeciw niemu dało przyznanie temu „Kapadokowi” dziesięciu tysięcy pletrów ziemi na Eubei oraz nadanie mu tytułu przyjaciela i sprzymierzeńca narodu rzymskiego. Takie przynajmniej zarzuty Sulla sam odpiera w swoich „Wspomnieniach”.

Niebawem zjawili się u niego posłowie od Mitrydatesa, przynosząc oświadczenie, że król zasadniczo przyjmuje warunki pokoju; w sprawie Paflagonii prosili jednak, żeby mu jej Sulla nie odbierał, a co do okrętów odpowiedzieli, że w ogóle nie uzyskali zgody królewskiej na ich oddanie. Rozgniewało to Sullę, który rzekł: „Co wy mówicie? Mitrydates targuje się o Paflagonię, a co do okrętów zgłasza swój sprzeciw? Ja myślałem, że on na kolana padnie przede mną, jeśli mu cało pozostawię rękę, którą tyłu wymordował Rzymian! Ale zaraz zacznę inaczej mówić, gdy ja sam wkroczę do Azji. Na razie siedząc sobie w Pergamonie słowami prowadzi tę wojnę, której na oczy nie widział!”

Posłowie przerażeni umilkli, Archelaos zaś ujął Sullę za rękę i prośbami i łzami starał się ułagodzić jego gniew. Wreszcie nakłonił Sullę, aby go wysłał do Mitrydatesa; twierdził przy tym, że życie sobie odbierze, jeżeli nie uda mu się uzyskać pokoju na żądanych warunkach.

Sulla więc wysłał Archelaosa w drogę, a sam wkroczył z wojskami do kraju Majdike, gdzie dokonał wielkiego spustoszenia, po czym wrócił do Macedonii. Tutaj pod Filippi zastał Archelaosa, który przywiózł wiadomość, że wszystko jest już pomyślnie załatwione, tylko Mitrydates prosi o umożliwienie mu osobistego spotkania i bezpośredniej rozmowy z Sulla. Mitrydatesowi chodziło mianowicie o Fimbrię, który tymczasem zabił Flakkusa, wodza rzymskiego z partii przeciwnej, pokonał dowódców Mitrydatesa i teraz maszerował przeciw niemu. Tego to bał się Mitrydates i dlatego wołał raczej z Sulla nawiązać przyjazne stosunki.

Rozdział dwudziesty czwarty

Spotkali się w mieście Dardanos w Troadzie. Mitrydates miał tam w zbrojnym pogotowiu dwieście wiosłownych okrętów, dwadzieścia tysięcy ciężkozbrojnej piechoty, sześć tysięcy konnicy i wiele wozów z kosami, podczas gdy Sulla miał tylko cztery kohorty i dwieście ludzi jazdy. Mitrydates stanął przed Sulla i wyciągnął do niego rękę, ale Sulla zapytał go najpierw, czy zaniecha wojny na warunkach,

jakie mu przedstawił Archelaos. Król milczał. Wtedy Sulla dodał: „Jak to? Przecież ci, co proszą, powinni mówić pierwsi, milczeć wolno tylko zwycięzcom!” — Na to król odezwał się i zaczął bronić swego stanowiska, próbując winę tej wojny częściowo przypisać bogom, częściowo pomawiać o nią samych Rzymian. Lecz Sulla przerwał mu i powiedział, że już dawno słyszał od innych, a teraz sam się o tym przekonuje, że Mitrydates świetnie umie operować słowami, bo przy tak niegodziwych i łamiących wszelkie prawa postępkach nie brakuje mu pięknie brzmiących słów. Następnie przedstawivszy mu w tonie oburzenia i oskarżenia wszystkie karygodne jego czyny, zapytał go po raz wtóry, czy chce wykonać umowę, zawartą z nim za pośrednictwem Archelaosa. A kiedy król oświadczył, że chce, wtedy dopiero przywitał go Sulla uściskiem i pocałunkiem. Potem kazał także przyprowadzić królów, Ariobardzanesa i Nikomedesa, i również ich z nim pogodził.

Tak więc Mitrydates przekazał Sulli siedemdziesiąt okrętów i pięciuset łuczników, po czym odpłynął do Pontu.

Ale żołnierze rzymscy byli z takiego zawarcia pokoju bardzo niezadowoleni. Sądziłi bowiem, że straszną jest rzeczą patrzeć, jak ten najbardziej ze wszystkich królów znienawidzony władca, który w jednym dniu wymordował sto pięćdziesiąt tysięcy Rzymian, przebywających w Azji, odpływa teraz obładowany łupami i skarbami z prowincji, którą przez cztery lata tak dręczył podatkami i grabieżą. Sulla to zauważył i tłumaczył się, że nie mógłby podołać jednocześnie wojnie z Mitrydatesem i Fimbrią, gdyby się obaj porozumieli i połączyli przeciw niemu.

Rozdział dwudziesty piąty

Stamtąd pomaszerował Sulla na spotkanie z Fimbrią, obozującym wówczas koło miasta Tiatejra. Rozbił w pobliżu swój obóz i kazał otoczyć go ze wszystkich stron rowem. W czasie robót żołnierze Fimbrii zaczęli wychodzić ze swego obozu w samych tylko chitonach i przywitawszy żołnierzy Sulli, ochoczo razem z nimi zabierali się do pracy.

Fimbria, widząc tę zmianę nastrojów, a równocześnie bojąc się Sulli jako swego nieprzejednanego wroga, popełnił w obozie samobójstwo.

Teraz nałożył Sulla na Azję zbiorową karę w wysokości dwudziestu tysięcy talentów. Nadto rujnował poszczególne domy przez butę i przemoc swoich ludzi, którzy tam kwaterowali. Wydał mianowicie rozporządzenie, że każdy gospodarz, który gości żołnierza rzymskiego, ma mu wypłacać codziennie po szesnaście drachm i wydawać obiad dla niego i dla wszystkich towarzyszy, jakich ten zechce zaprosić. Oficer zaś otrzymywał pięćdziesiąt drachm dziennie, a nadto dwie sztuki odzieży: jedną na użytek domowy, drugą do wyjścia na miasto.

Rozdział dwudziesty szósty

Po tych wypadkach Sulla z całą flotą wyruszył z Efezu i po trzech dniach zawinął do Pireusu. W Atenach przyjął wtajemniczenie w misteria oraz zabrał stamtąd bibliotekę Apellikona z Teos, w której znajdowało się bardzo dużo dzieł Arystotelesa i Teofrasta, nie znanych jeszcze wówczas szerszej publiczności. Biblioteka ta została następnie przewieziona do Rzymu, gdzie — jak piszą — dużą część miał w swoich rękach gramatyk Tyrannion. Potem Andronikos z Rodos, korzystając z udostępnionych mu przez Tyranniona odpisów, wydał je i zrobił ich wykaz, będący dzisiaj w użyciu. Z tego widać, że starsi perypatetycy sami przez się byli ludźmi zdolnymi i uczonymi, ale z pism samego Arystotelesa i Teofrasta znali niewiele i znali je niedokładnie. Teofrast bowiem przekazał wszystkie te książki Neleusowi ze Skepsis, które w spadku po nim dostały się z kolei w ręce ludzi bez wyższych aspiracji naukowych i bez odpowiedniego wykształcenia.

W Atenach nawiedziła wtedy Sullę choroba nóg, powodująca ich zdrętwienie i bezwład. Strabon mówi, że było to darcie w nogach, spowodowane podagrą. Sulla wyjechał więc stamtąd do miejscowości Ajdepsos, gdzie brał ciepłe

kąpiele wypoczywając przy tym beztrąsko i spędzając całe dni w towarzystwie scenicznych aktorów.

Tutaj też przechadzał się pewnego razu nad morzem, gdy jacyś rybacy przynieśli mu w podarunku wyjątkowo piękne okazy ryb i bardzo go tym ucieszyli. A kiedy się dowiedział, że pochodzą z miasta Halaj, zapytał ich: „Jak to? Więc żyje jeszcze ktoś z Halaj!”

Los bowiem zrzucił, że po zwycięstwie pod Orchomenos w czasie pościgu za wrogiem Sulla zburzył doszczętnie trzy na raz miasta beockie: Antedon, Larymnę i owe Halaj.

Na takie pytanie ludzie ze strachu oniemieli. Ale on z uśmiechem kazał im spokojnie odejść, mówiąc, że przyszli do niego z nie byle jakimi orędownikami. To właśnie zdarzenie ośmieliło — jak opowiadają — mieszkańców Halaj do ponownego osiedlenia się w swym mieście.

Rozdział dwudziesty siódmy

Posunawszy się potem przez Tesalię i Macedonię dalej nad morze, zamierzał Sulla przeprowić się z Dyrrachium do Brundisjum z flotą, złożoną z tysiąca okrętów.

W pobliżu Dyrrachium leży Apollonia, a koło niej znajduje się Nymfajon, miejsce święte, gdzie z zielonej łąki w leśnej dolinie wydobywają się w różnych punktach źródła nieustannie płonącego ognia. Opowiadają, że tutaj schwytano wtedy śpiącego Satyra, który miał być właśnie taki, jakim przedstawiają go malarze i rzeźbiarze. Przeprowadzono go do Sulli i pytano przez różnych tłumaczy, kim jest. Lecz Satyr mówił z trudem i zupełnie niezrozumiale, a głos wydawał z siebie jakiś chrapliwy i bardzo podobny do czegoś pośredniego między rzeniem konia a bekiem koźła. Sulla przerażony kazał go wśród zażegnywań odprowadzić z powrotem.

Mając się teraz przeprowić na drugą stronę morza, Sulla obawiał się, by w chwili gdy staną na wybrzeżach Italii, żołnierze jego, każdy z osobna, nie rozproszyli się po tamtejszych miastach. Tymczasem oni sami pierwsi złożyli mu przysięgę, że pozostaną pod jego rozkazami i własnowolnie

żadnej krzywdy nie wyrządzą Italii. A kiedy spostrzegli, że potrzebuje w tej chwili bardzo dużo pieniędzy, postanowili, że każdy złoży mu w ofierze tyle, na ile go będzie stać. Sulla jednak nie przyjął tej ofiary. Przemówił tylko do nich słowami uznania i zachęty, po czym rozpoczął przeprawę — przeciw piętnastu, jak sam pisze, wodzom przeciwnika, rozporządzającym łącznie czterystu pięćdziesięciu kohortami!

Ale wyraźne znaki z nieba wróżyły mu pomyślność. Zaraz po wylądowaniu koło Tarentu, kiedy składał ofiarę, zauważono na wątrobie zwierzęcia ofiarnego jakby odbicie wieńca laurowego z dwiema zwisającymi wstążkami. Na krótko zaś przed jego przeprawą widziano za dnia w Kampanii koło góry Tyfatus dwa wielkie walczące ze sobą hufce, w ruchach i zachowaniu zupełnie podobne do ludzi toczących bitwę. Była to oczywiście zjawa: wynurzała się z wolna z ziemi, po czym jak mara senna rozpływała się w powietrzu w różne strony, aż zupełnie znikła z oczu.

I rzeczywiście, kiedy niedługo potem Mariusz Młodszy i konsul Norbanus stanęli w tym samym miejscu z wielką armią, Sulla bez planowej akcji i bez ustawiania wojska w szyku bojowym rozgromił przeciwnika, wykorzystując tylko powszechny zapał swoich żołnierzy i wzmożona ich odwaga; następnie zamknął Norbanusa w mieście Kapui, przyprowadzając przeciwnika o stratę siedmiu tysięcy ludzi. Sam Sulla pisze, że na skutek zwycięstwa jego żołnierze nie rozproszyli się po miastach i gminach, lecz nadal trwali przy nim, nie bojąc się odtąd przeciwnika mimo jego przewagi liczebnej,

W Sylwium zaś przyszedł do niego — jak opowiada — natchniony przez boga niewolnik niejakiego Pontiusa i twierdził, że przynosi mu od Bellony wróżbę zwycięstwa, dodając przy tym, że jeżeli się nie pośpieszy, Kapitol stanie się pastwą płomieni. I to się spełniło tego właśnie dnia, który przepowiedział ów człowiek. A był to dzień szósty miesiąca Kwinktilis, który teraz nazywa się Julius.

Podobnie gdy Marek Lukullus, jeden z wodzów Sulli, stał koło Fidencji z szesnastu kohortami przeciw pięćdziesięciu kohortom przeciwnika i mimo wiary w zapał swoich

żołnierzy wahał się i namyślał, niezdecydowany, czy stoczyć bitwę, ponieważ wielu jego ludzi nie miało należytej broni — powiał z pobliskiej podmokłej łąki lekki wiatr, niosąc z sobą mnóstwo kwiatów, które zrzucił na jego wojsko. Kwiaty same opadły i rozsypały się wszędzie osiadając na tarczach i szyszakach żołnierzy. Nieprzyjacielowi zaś zdawało się, że tamci stoją przed nim przystrojeni w wieńce. To dodało Lukullusowi odwagi i żołnierze jego zwarłszy się z przeciwnikiem odnieśli zwycięstwo, kładąc trupem osiemnaście tysięcy i zajmując cały obóz nieprzyjacielski. Ów Lukullus był bratem innego Lukullusa, który później walczył skutecznie z Mitrydatesem i Tygranesem.

Rozdział dwudziesty ósmy

Sulla widząc, że wiele obozów i silnych armii przeciwnika otacza go dokoła ze wszystkich stron, użył siły i jednemu z konsulów, Scypionowi, podstępnie zaproponował zawarcie pokoju. Kiedy zaś konsul przyjął propozycję, nastąpiło między nimi wiele spotkań i narad, ponieważ Sulla przeciągał te rozmowy pod coraz to innym pretekstem, a tymczasem przekupstwem jednał sobie żołnierzy Scypiona za pośrednictwem własnych żołnierzy, wyćwiczonych w chytrłości i oszustwie na równi ze swoim wodzem. Wchodzili oni do obozu przeciwnika, mieszały się w jego szeregi i jednych zwabiali pieniędzmi, innych obietnicą, jeszcze innych pochlebstwem i namową. W końcu, gdy Sulla wraz ze swymi dwudziestu kohortami podszedł do nich na niewielką odległość, żołnierze jego pozdrowili żołnierzy Scypiona, a ci oddali im pozdrowienie i wszyscy przeszli na ich stronę. Scypion znalazł się sam w obozie, lecz został wypuszczony na wolność bez żadnej szkody. A Sulla z pomocą swoich kohort jakby z pomocą ptaków oswojonych do wabienia innych, złapawszy w sieć czterdzieści kohort nieprzyjacielskich, poprowadził je wszystkie razem do swojego obozu. Wtedy to Karbon miał powiedzieć, że w walce z lisem i lwem, które mieszkają w duszy Sulli, najwięcej zmartwienia przynosi mu lis.

Potem pod Sygnium Mariusz Młodszy z osiemdziesięciu pięciu kohortami wyzwał Sullę do walnej rozprawy. Owego dnia także Sulla gorąco pragnął tej bitwy, ponieważ ostatniej nocy miał we śnie widzenie i zdawało mu się, że stary Mariusz, który już dawno umarł, każe synowi strzec się nadchodzącego dnia, bo przyniesie mu on wielkie nieszczęście. Dlatego Sulla tak bardzo chciał stoczyć tę bitwę i wezwał do niej również Dolabellę, który stał obozem w pewnej odległości od samego Sulli. Ale przeciwnik już naprzód obstawiał i zamknął wszystkie okoliczne drogi, tak że żołnierze Sulli, zmuszeni torować sobie przejście wśród ciągłych napadów ze strony przeciwnika, wyczerpali swe siły, zanim doszli na miejsce bitwy. Ponadto podczas tej przeprawy padał silny deszcz i tym bardziej osłabił ich zdolność bojową. Wobec tego trybunowie udali się do Sulli z prośbą, by walną rozprawę odłożył na później. Wskazywali jednocześnie na wyczerpanie żołnierzy, którzy ślaniali się wprost ze znużenia i odpoczywali na ziemi na podłożonych tarczach. Sulla niechętnie się zgodził i kazał wojskom rozłożyć się obozem. Zaczęto więc sypać wał obronny i kopać rów wokół obozu, gdy Mariusz, uniesiony butą, ruszył na nich jadąc na koniu daleko przed innymi, pewien, że uda mu się zaskoczyć i rozbić dezorganizowanego nieprzyjaciela. Wtedy jednak sprawdziły się z bożą pomocą słowa, słyszane we śnie przez Sullę. Żołnierzy jego ogarnęła wściekłość, porzucili robotę, zatknęli w ziemi nad rowem oszczepy, dobyli mieczy, wznieśli jednogłośny okrzyk wojenny i zwarli się z przeciwnikiem w walce wręcz; nieprzyjaciel krótko stawiał opór i wśród strasznej rzezi został niebawem zmuszony do odwrotu.

Mariusz próbował ująć do Preneste, ale zastał już bramy miasta zamknięte. Spuszczono mu tylko linę, do której się przywiązał, i w ten sposób wydostał się na mury. Lecz niektórzy pisarze, między innymi Fenestella, twierdzą, że Mariusz o tej bitwie nie wiedział, nie sypiając bowiem po nocach i wyczerpany trudami, leżał wtedy gdzieś w cieniu na ziemi, a w chwili gdy dano hasło do boju, spał głębokim snem, z którego trudno go było rozbudzić, kiedy woj-ska już rozpoczęły odwrot.

W bitwie tej stracił Sulla — jak sam podaje — tylko dwudziestu trzech żołnierzy, zabił zaś dwadzieścia tysięcy nieprzyjaciół, a osiem tysięcy wziął do niewoli.

Takie samo szczęście sprzyjało jego dowódcom na innych odcinkach walki: Pompejusz, Krassus, Metellus i Serwiliusz starli w proch potężne armie nieprzyjacielskie, sami nie ponosząc żadnych lub tylko niewielkie straty, tak że Karbon, który był najsilniejszą podporą przeciwnika, opuścił w końcu swoje wojsko nocą i uciekł na okręcie do Afryki.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Wreszcie jednak wystąpił do walki — niczym szermierz z świeżymi siłami przeciw wyczerpanemu już zapaśnikowi — Samnita Telesynos. Ten omal nie zadał Sulli klęski i nie pobił go tuż pod bramami Rzymu. Zebrał on mianowicie wraz z Lamponiuszem z Lukanii pokaźną ilość wojska i pośpieszył pod Preneste, by wydrzeć Mariusza z rąk oblegających to miasto. Skoro jednak spostrzegł, że z przodu szybkim marszem idzie przeciw niemu Sulla, z tyłu Pompejusz — odcięty z obu stron — postąpił jak prawdziwie doskonały wojownik i wódz doświadczony w wielkich przedsięwzięciach wojennych: zerwał się w nocy w drogę i wraz z całym wojskiem ruszył wprost na Rzym. I niewiele wówczas brakowało, by wpadł do bezbronnej stolicy, zatrzymał się jednak w odległości dziesięciu stadiów od jednej z bram, zwanej Porta Collina, i rozbił obóz pod miastem. Rozpierała go duma i najśmielsza nadzieja, że mu się tak udało przechytrzyć tylu doskonałych wodzów.

Gdy nadszedł dzień, z miasta ruszyli przeciw niemu na koniach najznakomitsi młodzieńcy, ale on większość ich powalił na ziemię. Między innymi padł tam również, pochodzący ze znakomitej rodziny, dzielny Appiusz Klaudiusz.

W mieście powstało wielkie zamieszanie: kobiety wszczęły lament i biegały po mieście, jakby już zostało zdobyte szturmem. Tymczasem dostrzeżono najpierw Balbusa, który pędząc od Sulli galopem zbliżał się z oddziałem

siedmuset jeźdźców; zatrzymał się na chwilę, by konie zziębnięte mogły odetchnąć, po czym znowu je okulbaczył i pędem uderzył na wroga.

Z kolei zjawił się również Sulla i zaraz po śniadaniu, zjedzonym pośpiesznie, kazał żołnierzom z pierwszych szeregów ustawić się w szyku bojowym. Dolabella i Torkwatus prosili go, żeby się wstrzymał i nie narażał znużonych ludzi na niebezpieczeństwo decydującego spotkania. Przedstawili mu sytuację mówiąc, że trzeba się będzie bić nie z Karbonem czy młodym Mariuszem, ale z Samnitami i Lukarnami, a więc z najdzielniejszymi i Rzymowi najbardziej wrogimi plemionami.

Sulla jednak odrzucił ich prośby i o dziesiątej godzinie owego dnia wydał rozkaz, by trąby grały hasło do rozpoczęcia bitwy. Rozpoczęto bój, jakiego w tej wojnie jeszcze nie widziano. Prawe skrzydło, którym dowodził Krassus, odniosło już wspaniałe zwycięstwo, ale na lewym sytuacja była bardzo groźna i Sulla sam ruszył tam na pomoc na białym, rozjuszonym i niezwykle szybkim rumaku. Dwaj nieprzyjacielscy żołnierze po koniu poznali Sullę i już nabierali rozmachu do rzutu oszczepami. Sulla niczego nie zauważył, ale poganiacz konia zaciął go biczem, tak że koń uprzedził cios i uskoczył tyle właśnie, ile było trzeba, żeby groty przeleciały tuż koło końskiego ogona, otarły się prawie o siebie i utkwili w ziemi.

Opowiadają, że Sulla miał jakiś złoty posążek Apollina z Delf i że zawsze w czasie bitwy nosił go na piersi. I wtedy także go ucałował, mówiąc przy tym: „Apollinie Pytyjski! Ty, który Sullę Korneliusza Szczęsnego wyniosłeś już w tylu bitwach do sławy i wielkości, chyba nie na to prowadziłeś go tutaj, by u bram ojczywego miasta powalić na ziemię i pozwolić mu zginąć najhaniebniej wraz z jego współobywatelami.” — Tak podobno modlił się Sulla, nalegając na jednych prośbami, na innych groźbami albo przemocą, w końcu jednak załamało się jego lewe skrzydło i on sam wśród innych uciekających musiał się schronić do obozu, straciwszy bardzo wielu ze swych najbliższych przyjaciół i znajomych. A ponieważ zginęło tam lub zostało poturbowanych także niemało ludzi, którzy wyszli z mia-

sta, by się przyglądać bitwie, Sulli zdawało się, że stolica jest już stracona. Skutkiem tego i Mariusz omal nie wydo-
stał się z oblężonego miasta; po tej klęsce wielu bowiem
ludzi rzuciło się do ucieczki w stronę Preneste i ci radzili
Ofelli Lukrecjuszowi, dowódcy wojsk oblegających miasto,
by jak najspieszniej ustąpił spod jego murów, bo Sulla za-
bity, a Rzym zajął nieprzyjaciel.

Rozdział trzydziesty

Późna już była noc, gdy do obozu Sulli przybyli ludzie
od Krassusa po odbiór prowiantów dla swego wodza i żoł-
nierzy, którzy po zwycięstwie na prawym skrzydle ścigali
nieprzyjaciela aż do Antemny i tam stanęli obozem. Sulla
dowiedziawszy się o tym, a równocześnie słysząc, że prze-
ważna część nieprzyjaciela została zniszczona, przeniósł się
z brzaskiem dnia do Antemny.

Tutaj trzy tysiące ludzi z szeregów przeciwnika prosiło
go wtedy o ulaskawienie. Przynęcił, że daruje im życie,
jeżeli przyjdą do niego po wyrządzeniu jego nieprzyjacio-
łom jakiejś dotkliwej straty. Oni zaś, ufając mu, zaatak-
owali resztę jego wrogów i w ten sposób wielu z nich zgi-
nęło jeszcze w bratobójczej walce.

Lecz zarówno tych ludzi jak i innych, którzy mu się pod-
dali, w liczbie około sześciu tysięcy zgromadził później na
arenie w cyrku, zwoławszy równocześnie senat do świą-
tyni Bellony. I w tej samej chwili, gdy on zaczął przema-
wiać do zebranych, wyznaczeni przez niego ludzie mord-
owali owych sześć tysięcy nieprzyjaciół. Kiedy zaś krzyk
tylu mordowanych na małej przestrzeni ludzi dotarł,
rzecz oczywista, do senatu, senatorów ogarnęło przerażenie.
Ale on tak, jak do nich przemawiał, z niezmienioną i nie-
wzruszoną twarzą kazał im uważać na swoje słowa i nie
troszczyć się o to, co się dzieje na zewnątrz. Dodał przy
tym, że to tylko niektórzy występni ludzie zostali ukarani
z jego rozkazu.

To wszystko jednak musiało nawet najtępszemu Rzymia-
ninowi uprzytomnić fakt, że tyrania została tylko przenie-

siona na kogo innego, ale bynajmniej jeszcze nie zniesiona. Mariusza cechowała od samego początku srogość i w czasie gdy doszedł do władzy, ta srogość tylko się spotęgowała, ale nie wynikała ze zmiany jego charakteru. Sulla natomiast w powodzeniu okazywał z początku umiar i łagodność wobec współobywateli i przez to zyskał sobie opinię człowieka, który na kierowniczym stanowisku będzie sprzyjał nie tylko arystokracji, ale będzie się również troszczył o sprawy ludu. Od młodości też lubił wesołość i śmiech, skłonny był do współczucia i łatwo wzruszał się do łez. Dopiero teraz dał powód do zarzutu, że wielka władza nie pozwala ludzkiemu charakterowi wytrwać przy pierwotnym sposobie postępowania, lecz wyzwala w człowieku jakiś szal, opętanie i nieludzkość. Czy zaś jest to jakimś wytrąceniem z równowagi psychicznej i zmianą natury ludzkiej pod wpływem powodzenia, czy też może ujawnia się wtedy właśnie, w chwili posiadania nieskrępowanej władzy, ukryte w człowieku zło — na to można by dokładniej odpowiedzieć w jakiejś osobnej rozprawie.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Tak tedy Sulla zabrał się teraz do zabijania i napełnił stolicę nieskończoną ilością mordów, przy czym wielu ginęło na skutek prywatnych nieprzyjaźni. Byli to ludzie, z którymi sam Sulla nie miał żadnych porachunków, lecz wydawał ich swoim najbliższym. towarzyszom tylko dlatego, żeby zaspokoić ich życzenia.

Wtedy to jeden z młodych obywateli, Gajus Metellus, zdobył się na odwagę i zapytał Sullę w senacie, jaki będzie kres tych nieszczęść i jak daleko ma zamiar w tym wszystkim się posunąć — czy można mieć nadzieję, że to, co się dzieje, kiedyś się wreszcie skończy. „Nie żądamy bowiem — mówił — uwolnienia od kary tych, na których wydałeś wyrok śmierci, lecz uwolnienia od strachu tych, których masz zamiar oszczędzić”.

Kiedy Sulla odpowiedział, że nie wie jeszcze, kogo zostawi przy życiu, Metellus podjął: „W takim razie powiedz wy-

rażnie, kogo masz zamiar karać śmiercią". I Sulla zapewnił go, że to zrobi. Niektórzy wszakże podają, że te ostatnie słowa powiedział do Sulli już nie sam Metellus, lecz jakiś Fufidiusz, jeden ze stałych jego towarzyszy.

Niebawem została ogłoszona lista osiemdziesięciu proskrybowanych, chociaż Sulla nie porozumiał się w tej sprawie z żadnym z czynników urzędowych. Wywołało to powszechne oburzenie, ale on odpowiedział na nie następnego dnia dwustu dwudziestu nowymi nazwiskami proskrybowanych albo skazanych na banicję. Niemniejszą liczbę takich samych skazańców ogłosił również dnia trzeciego. Na zgromadzeniu ludowym poświęconym tej sprawie oświadczył, że na razie proskrybował tylko tylu, ilu sobie zdołał przypomnieć, i dodał, że listę tych, których w tej chwili nie pamięta, sporządzi później. Nadto ogłosił, że każdy, kto kierując się ludzkimi uczuciami przyjmuje u siebie lub ukrywa człowieka proskrybowanego, podlega karze śmierci — nie wyłączając ani brata, ani syna, ani rodziców. Temu zaś, kto taką karę wymierzy, obiecał dwa talenty nagrody za mężobójstwo bez względu na to, czy niewolnik zabije pana, czy syn ojca. Największą zaś niesprawiedliwością było to, że pozbawiał czci nawet synów i wnuków tych, których skazał na banicję, i konfiskował wszystkie ich majątki.

Kłęska proskrypcji dotknęła nie tylko ludzi Rzymu, ale także mieszkańców każdej miejscowości w Italii. Krew pomordowanych splamiła świątynie bogów, gościnne domostwa, domy rodzinne: wobec żon zabijano ich mężów i w oczach matek ich synów, a liczba tych, którzy ginęli w niełasce lub z powodu przeciwnych zapatrywań, była tylko drobną częścią w porównaniu z tymi, których mordowano dla ich majątku. Wykonawcy wyroków pozwalali sobie nawet rozpowiadać, że tego zgubił wielki i bogaty dom, tamtego ogród, a jeszcze innego posiadanie łązienek kąpielowych. Tak na przykład Kwintus Aureliusz, człowiek spokojny, który poczuwał się do udziału w tych wszystkich nieszczęściach o tyle tylko, że okazywał współczucie ludziom dotkniętym klęską, poszedł raz na Forum i czytał listę proskrybowanych. A gdy zobaczył tam również swoje imię,

zawołał: „Niestety, gubi mnie posiadłość, którą mam w Albanum.” I ledwie uszedł kilka kroków, został zabity przez kogoś, kto szedł za nim z tyłu.

Rozdział trzydziesty drugi

Także młody Mariusz odebrał sobie życie w chwili, gdy już miał wpaść w ręce przeciwnika. A Sulla, wkroczywszy do miasta Preneste, z początku rozpatrywał winy mieszkańców i wyznaczał im kary indywidualne. Potem jednak, wymawiając się brakiem czasu, kazał wszystkich na raz — razem około dwunastu tysięcy ludzi — sprowadzić na jedno miejsce i stracić, darując życie jedynie gospodarzowi, który go gościł. Ale ten bardzo szlachetnie oświadczył, że nie zgodzi się na to, by miał zawdzięczać życie katowi swojej ojczyzny: stanął dobrowolnie w szeregach współobywateli i wraz z nimi został stracony.

Najbardziej jednak niesłychane było to, co zrobił Lucjusz Katylina. Ten bowiem jeszcze przed rozstrzygnięciem sytuacji pozbawił życia swojego brata i dopiero potem prosił Sullę, by go proskrybował niby jeszcze żyjącego. I tak się też stało. A Katylina, odwdzięczając się za to Sulli, zabił niejakiego Marka Mariusza, członka przeciwnej partii, i głowę jego przyniósł przed Sullę, gdy ów siedział na Forum. Potem podszedł do pobliskiej kropielnicy przy świątyni Apollina i obmył sobie ręce.

Rozdział trzydziesty trzeci

Ale oprócz tych mordów były jeszcze inne sprawy, które przygnębiały ludzi. Sulla ogłosił się dyktatorem, wskrzeszając ten rodzaj władzy po stu dwudziestu latach. Musiano też powziąć uchwałę, że za wszystko, co się stało, nie może on być pociągany do odpowiedzialności i że również na przyszłość nadaje mu się władzę karania śmiercią, konfiskowania majątków, podziału gruntów, zakładania i bu-

rzenia miast, odbierania władzy królom i nadawania jej innym — według własnego uznania.

Przy publicznej sprzedaży skonfiskowanych dóbr sam siedział na fotelu sędziowskim i postępował z taką zarozumiałością i bezwzględnością, że to rozdzielanie było jeszcze bardziej odrażające niż samo konfiskowanie. Pięknym kobietom, grajkom teatralnym, aktorom mimicznym i różnym wyrzutkom spośród wyzwolenców przyznawał hojną ręką posiadłości wiejskie całych grup ludności, a w miastach dochody z płaconych przez nie podatków. Niektórym przydzielał nawet żony wbrew woli kobiet, które im oddawał. Chcąc mieć wśród swoich powinowatych Pompejusza Magnusa, kazał mu rozwieść się z dotychczasową żoną, a wziąć do domu za małżonkę Emilię, córkę Skaurusa i Metelli, która wtedy była żoną Sulli. Samą zaś Emilię odebrał Maniuszowi Glabryonowi, pomimo jej ciąży; ta młoda kobieta umarła w domu Pompejusza przy porodzie.

Kiedy Lukrecjusz Ofella — ten, który oblegał i zmusił do kapitulacji młodego Mariusza — zażądał od Sulli godności konsula, Sulla najpierw się wzbraniał. A potem, gdy Lukrecjusz na skutek wytrwałej zachęty ze strony ogółu obywateli udał się na Forum, Sulla posłał po jednego z centurionów ze swego otoczenia i kazał mu zabić nieszczęśliwca. Sam siedział wtedy na fotelu przy świątyni Dioskurów i z tego podwyższenia przypatrywał się morderstwu. Potem, gdy ludność pochwyciła zabójcę i przyprowadziła go przed podwyższenie, kazał hałasującym tłumom uciszyć się, oświadczył, że to się stało z jego rozkazu, i zarządził wypuszczenie centuriona na wolność.

Rozdział trzydziesty czwarty

Triumf Sulli świetny był już dzięki bogactwu i niezwykłości łupów zdobytych na Mitrydatesie. Ale jeszcze więcej blasku i wspaniałego wyglądu nabrał dzięki byłym wygnańcom, do których należeli najznakomitsi i najmożniejsi obywatele. Szli teraz w pochodzie triumfalnym z wieńcami na głowach, sławiąc Sullę okrzykami i nazy-

wając go swoim wybawcą i ojcem, ponieważ za jego przyczyną powrócili do ojczyzny. Prowadzili z sobą żony i dzieci.

Po tym wszystkim Sulla, zdając na zgromadzeniu ludowym sprawę ze swoich czynów, z niemniejszą dokładnością niż czyny swego męstwa wyliczył sukcesy, które zawdzięczał łasce sprzyjającej mu Fortuny, czyli bogini szczęścia, i kazał siebie nazywać Szczęsnym; bo to właśnie oznacza łaciński wyraz „Felix”. Pisząc do Greków i prowadząc z nimi sprawy urzędowe tytułował się Epafroditos, a więc Ulubieniec Wenery. I rzeczywiście, na pomniku zwycięstwa u nas widnieje napis: „Lucjusz Korneliusz Sulla Epafroditos”. A gdy Metella urodziła mu bliźnięta, chłopca nazwał imieniem Faustus, dziewczynkę Fausta. Rzymianie bowiem wszystko, co przynosi szczęście i radość, określają słowem faustus.

A Sulla tak ufał nie tyle swej dzielności, ile raczej swemu szczęściu, że choć przez niego zginęła niezliczona liczba obywateli, choć zaprowadził w państwie nowe porządki i tyle zmian, w końcu jednak zrzekł się władzy, oddał w ręce narodu prawo wolnego wyboru konsulów i sam już nie kandydował na ten urząd; wychodził na Forum jako człowiek prywatny, którego każdy, kto chciał, mógł pociągnąć do odpowiedzialności sądowej.

Przewidywano nawet, że przy wyborach na konsulów przejdzie wbrew życzeniu Sulli człowiek odważny i wojowniczy, niejaki Marek Lepidus, i to nie dla osobistych jego zasług, lecz tylko dlatego, że lud chciał sobie pozyskać Pompejusza, który tego kandydata szczególnie popierał. Ujrawszy też Pompejusza, który wracał z Forum i cieszył się odniesionym zwycięstwem, Sulla przywołał go do siebie i powiedział: „Świetne pociągnięcie polityczne zrobiłeś, młody człowieku, żeś zamiast Katula wolał wybrać Lepidusa, czyli zamiast człowieka najuczciwszego wybrałeś największego awanturnika. Czas ci teraz nie zasypiać sprawy, skoroś sam dobrał sobie silniejszego od siebie partnera”. I rzeczywiście Sulla to jakby przepowiedział; Lepidus rychło ujawnił swe buntownicze zamiary i rozpoczął walkę ze stronnikami Pompejusza.

Rozdział trzydziesty piąty

Przy składaniu ofiary z dziesiątej części swego mienia na cześć Herkulesa Sulla wydał dla ludu wspaniałą ucztę. Wszystkiego, czym tylko można się było raczyć, podano tam w takim nadmiarze, że dzień w dzień musiano wiele jedzenia wrzucać do rzeki. Wino pito tam czterdziestoletnie, a nawet jeszcze starsze. Całe zaś to ucztowanie trwało przez szereg dni.

A właśnie w tych dniach umarła chorobą złożoną Metella. Kapłani nie pozwalali Sulli zbliżyć się do niej i radzili, by domu swego nie plamił żałobą. Dlatego to Sulla jeszcze za jej życia napisał do niej list rozwodowy i zaraz potem kazał ją przenieść do innego domu. O ile w tym jednak skrupulatnie przestrzegał zabobonnego zwyczaju, o tyle sam bez żadnych ograniczeń wykraczał przeciw ustanowionemu przez siebie prawu, które określało wysokość kosztów pogrzebu. Przekroczył też własne rozporządzenie, dotyczące oszczędności przy urządzeniu uczt, topiąc swój smutek w winie podczas wystawnych biesiad z występami błaznów.

W kilka miesięcy później odbywały się pokazy walk gladiatorów. Ponieważ nie było jeszcze wtedy w teatrze osobnych miejsc dla mężczyzn i kobiet, lecz siedzieli wszyscy po społu, zdarzyło się, że w pobliżu Sulli usiadła pewna piękna kobieta ze znakomitego rodu. Była to córka Messali, a siostra sławnego mówcy Hortensjusza. Nazywała się Waleria. Niedawno właśnie rozstała się ze swoim mężem. Podeszła ona z tyłu do Sulli, wsparła się na jego rękę i wyciągnęła z jego togi nitkę, po czym wróciła na swoje miejsce. A gdy Sulla spojrzął na nią ze zdziwieniem, rzekła: „Nic szczególnego, dyktatorze. Chciałam tylko zabrać odrobinę szczęścia twojego dla siebie”.

Sulla wysłuchał tych słów nie bez przyjemności, a nawet od razu było widać, że zrobiły na nim silniejsze wrażenie. Wysłał bowiem kogoś, by się dowiedział, jak się ta kobieta nazywa, dopytując się równocześnie o jej pochodzenie i życie. Potem zaczęli wymieniać spojrzenia, oglądali się

i uśmiechali do siebie, wreszcie nawiązali z sobą bliższe stosunki i zawarli związek małżeński. Dla samej Walerii krok ten był zapewne nienaganny, ale Sulla, choć pojął za żonę kobietę naprawdę cnotliwą i pochodzącą z bardzo dobrego domu, zawiązał z nią znajomość nie jak przystało na człowieka poważnego i zacnego, lecz jak wyrostek oczarowany zewnętrznym pięknem kobiety i jej zalotnością, kierując się pobudkami, które z natury swej wywołują najmniej szlachetne i najmniej przyzwoite namiętności.

Rozdział trzydziesty szósty

Mając tę kobietę w domu mimo to ciągle obcował z aktorkami mimicznymi, z cytrzystkami i wszelkiego rodzaju tancerzami, z którymi leżąc na kanapach popijał od samego świtu. Oto ludzie, którzy mieli na niego wpływ największy: Roscjusz, aktor komediowy; Soryks, główny aktor mimiczny; Metrobios, aktor ról kobiecych. Z Metrobiosem, mimo jego przekwitłego już wieku, pozostawał Sulla bez przerwy w stosunkach miłosnych i bynajmniej się tego nie wypierał.

To właśnie przyczyniło się do spotęgowania u niego choroby, która w swych początkach nie była nawet dokuczliwa. Od dawna już miał wrzody na wnętrznościach, a nic o tym nie wiedział. Choroba ta następnie wyniszczyła jego ciało i przemieniła je zupełnie w robactwo, mianowicie we wszy. Obierano je z niego bez przerwy i mimo że wiele osób było przy tym zajętych dniami i nocami, wszystko, co zdołano usunąć, było znikomą częścią tego, co się tymczasem zdołało namnożyć. Wszystkie jego szaty, łazienka, woda do mycia i potrawy pełne były owych wydzielin i zgnilizny. Tak silnie wybuchła ta choroba. Często więc w ciągu dnia wchodził do wody, by się obmyć i opłukać z tych brudów swe ciało. Ale to wszystko nic nie pomagało. Zmiany chorobowe następowały zbyt szybko i ilość wydzielin niweczyła wszelkie zabiegi higieniczne.

Podobno na taką wszawicę umarł gdzieś w zamierzchłych czasach syn Peliasa, Akastos. Z ludzi żyjących później —

liryk Alkman. Potem znawca nauki o bogach, Ferekides, następnie Kallistenes z Olintu podczas pobytu w więzieniu, a także prawnik Mucjusz. Jeżeli zaś wolno mi wymienić jeszcze kogoś z tych, którzy się wprawdzie nie wsławili niczym wyjątkowym, ale znani są z innych względów — to podobno także ów zbieg Eunus, który wywołał bunt niewolników na Sycylii, kiedy został ujęty i prowadzono go do Rzymu, umarł na wszawicę.

Rozdział trzydziesty siódmy

Sulla nie tylko przewidywał swój koniec, ale i poniekąd o nim pisał. Na dwa dni bowiem przed śmiercią skończył pisać dwudziestą drugą księgę swoich Wspomnień, gdzie opowiada, że Chaldejczycy przepowiedzieli mu, iż jego przeznaczeniem jest umrzeć wtedy, gdy po szczęśliwym życiu dojdzie do szczytu powodzenia. Pisze tam również, że we śnie ukazał mu się jego syn, który umarł na krótko przed śmiercią Metelli; stanął koło niego w nędznej szacie i prosił, by ojciec porzucił już troski i poszedł z nim do matki Metelli, aby z nią razem żyć odtąd w niezmaconym spokoju.

Mimo to do końca życia nie przestawał zajmować się sprawami publicznymi. Na dziesięć dni przed śmiercią był rozjemcą w sporze między przeciwnymi stronnictwami miasta Dikajarchii i nadał im pisaną ustawę, regulującą samorząd tego miasta. A nawet jeszcze w przeddzień swej śmierci, kiedy się dowiedział, że urzędnik Graniusz czekając na jego śmierć nie chce zwrócić długu do kasy miejskiej, wezwał tego człowieka do swego pokoju i tam kazał go służbie otoczyć i zadusić.

Ale że krzyczał przy tym i miotał się, spowodował pęknięcie wrzodu i wielki upływ krwi. Zaraz opuściły go siły i po bardzo ciężkiej nocy zmarł. Pozostawił po sobie dwóch nieletnich synów Metelli. Waleria bowiem dopiero po jego śmierci wydała na świat córeczkę, którą nazwano imieniem Postuma. Tak nazywa się u Rzymian dzieci, urodzone już po śmierci ojca.

Rozdział trzydziesty ósmy

Rychło zaczęli się tłumnie zbiegać do Lepidusa różni ludzie i nalegali, by odmówił Sulli uroczystego pogrzebu, nakazanego zwyczajem. Ale Pompejusz — choć miał powody, by czuć żal do Sulli, który jego jednego ze wszystkich przyjaciół pominął w swym testamencie — jednych powstrzymał od tego zamiaru pochlebstwem i prośbami, innych groźbą, sprowadził ciało zmarłego do Rzymu i postarał się, aby cały pogrzeb odbył się spokojnie i z czcią należną człowiekowi. Opowiadają też, że kobiety naniósły na jego zwłoki tyle wonnych korzeni, że oprócz tego, co wieziono na dwustu dziesięciu wozach, utworzono jeszcze z kosztownej żywicy kadzielnej i cynamonu znacznej wielkości posąg zmarłego wraz z towarzyszącym mu liktorem.

Dzień był z rana pochmurny. Spodziewano się deszczu. Dlatego dopiero o dziewiątej godzinie złożono zwłoki na stosie. Wtedy zerwał się silny wiatr i rozdmuchał ogień, unosząc w górę olbrzymi płomień. Dzięki temu można było jeszcze zebrać na czas jego popioły i szczątki. A kiedy stos przygasł i ogień się cofnął, nagle spadła silna ulewa i trwała aż do nocy. Tak bogini szczęścia, Fortuna, nie opuściła go — jak widać — nawet przy jego pogrzebie.

Pomnik Sulli znajduje się na Polu Marsowym. Umieszczony na nim napis, który podobno Sulla sam sobie ułożył, w zasadniczej swej treści głosi, że żaden przyjaciel nie zrobił mu tyle dobrego, ani żaden, wróg tyle złego, żeby on ich w tym i w tamtym nie przewyższył.

DEMOSTENES



Rozdział pierwszy

Autor hymnu pochwalnego na zwycięstwo Alkibiadesa w olimpijskich wyścigach rydwanów — rzecz obojętna, czy był nim, jak się przeważnie przypuszcza, Eurypides, czy ktoś inny — powiada, że człowiek, mój Sosjusz, jeśli ma być szczęśliwy, musi mieć przede wszystkim sławną ojczyznę. Ja jednak myślę inaczej. Szczęście człowieka zależy przede wszystkim od jego charakteru i usposobienia. Toteż uważam, iż dla człowieka, który ma być szczęśliwy szczęściem prawdziwym, tak samo mało ważne jest to, że pochodzi z nieznannej i ubogiej ojczyzny, jak to, że matka jego była brzydka i niepokazna. Śmieszną byłoby rzeczą przypuszczać, że np. miejscowość Iulis, będąca maleńką częścią nieznannej wyspy Keos, albo Ajgina, o której jakiś Ateńczyk powiedział, że trzeba ją usunąć jak ropę z oka Pireusu, mogą wydawać dobrych aktorów i poetów, ale nigdy nie zdołają wydać człowieka sprawiedliwego, zadowolonego z siebie, rozumnego i wielkodusznego. Różne inne sztuki, zmierzające do zdobycia majątku czy rozgłosu, nie mają istotnie odpowiednich warunków w miastach ubogich i pozbawionych sławy. Ale cnota niby jakaś silna i trwała roślina zapuszcza korzenie wszędzie, gdzie tylko napotka szlachetną naturę i ducha gotowego do pracy nad sobą. Dlatego i my sami, jeżeli czasem nie umiemy myśleć i żyć

jak należy, nie możemy przypisywać tego skromnym możliwościom naszej ojczyzny, słusznie natomiast postąpimy, przypisując winę samym sobie.

Rozdział drugi

Inaczej ma się rzecz, gdy ktoś zabierze się do pisania rozprawy czy dzieła historycznego, na które ma złożyć się treść, zaczerpnięta ze źródeł na miejscu niedostępnych, przeważnie obcych i rozrzuconych tu i ówdzie. Taki naprawdę potrzebuje przede wszystkim sławnej i ludnej ojczyzny, o wielkiej kulturze umysłowej, aby mógł w niej znaleźć obfitość wszelkiego rodzaju ksiąg, a nadto dowiadywać się z ust ludzkich o tym wszystkim, co uszło uwagi pisarzy, ale dzięki pamięci przetrwało w ustnej tradycji i niewątpliwie zasługuje na wiarę. W ten sposób dopiero może on stworzyć dzieło, w którym nie braknie żadnej niezbędnej wiadomości.

Ja sam mieszkam w małym mieście i nie chcąc, by ono jeszcze bardziej podupadło, chętnie w nim pozostaję. W czasie pobytu w Rzymie i w innych miastach Italii nie miałem sposobności poznać dokładnie języka łacińskiego, bo mi na to nie pozwalały moje zajęcia i sprawy urzędowe, a także ludzie, którzy uczyli się u mnie filozofii. Dlatego też z literaturą rzymską zetknąłem się dość późno, w podeszłym już wieku. Doświadczyłem przy tym na sobie dziwnego co prawda, niemniej jednak prawdziwego zjawiska: zdarzało mi się mianowicie, że nie tyle ze słów poznawałem i rozumiałem treść, ile raczej dzięki nabytej już skądinąd znajomości opisywanych faktów poznawałem z ich pomocą znaczenie wyrazów.

Odczuwać piękno i zwięzłość języka łacińskiego, rozumieć jego przenośnie, jego dźwięczność i wszystkie inne ozdoby stylistyczne — to rzecz niewątpliwie przyjemna, dająca dużo radości. Lecz czas i siły na uczenie się tego wszystkiego mogą znaleźć tylko ludzie, którzy mają mniej zajęć niż ja, a wiek pozwala im jeszcze na zaspokajanie tego rodzaju ambicji.

Rozdział trzeci

Dlatego też, pisząc w tej księdze — piątej w szeregu życiorysów równoległych — o Demostenesie i Cynceronie, będę się starał uwydatnić tylko charaktery i wzajemny stosunek duchowych przymiotów obu tych ludzi na podstawie ich czynów i działalności politycznej. Pominę natomiast krytyczną ocenę ich mów i pytanie, który z nich porywa nas bardziej słodyczą lub mocą swej wymowy.

Małą ma siłę delfin w miejscu suchym

— powiedział gdzieś tragic Ion. Nie pamiętał o tym zbyt pewny siebie Cecyliusz i dlatego porwał się jak nierozważny młodzieniec na porównanie wymowy Demostenesa i Cyncerona. Niewątpliwie — gdyby każdy pamiętał zawsze o słowach: „Poznaj samego siebie”, nie uważano by tego powiedzenia za przykazanie boże.

Ja osobiście mam wrażenie, że od samego początku wolał nieba było stworzyć w Cynceronie odbicie Demostenesa i nadać jego charakterowi wiele cech wspólnych im obu, jak np. żądzę sławy i umiłowanie wolności w życiu politycznym, a brak odwagi i zdecydowanej postawy wobec niebezpieczeństw i wojny, do czego dołącza się dużo innych podobieństw przypadkowych; bo nie znalazłoby się, sądzę, drugiej takiej pary mówców, którzy by z ludzi jednakowo nieznanymi i skromnymi wzniesli się do takiego znaczenia i sławy jak oni, którzy by tak samo narażali się na niełaskę królów i tyranów, tak samo utracili swe córki, tak samo byli na wygnaniu i wracali do ojczyzny z triumfem, a potem znowu musieli z niej uciekać, aż dostali się w ręce swych nieprzyjaciół i zginęli w chwili, gdy ich naród utracił wolność polityczną. Toteż gdyby natura i przypadek mogły tu współzawodniczyć, jak współzawodniczą ze sobą twórcy dzieł sztuki, trudno byłoby rozstrzygnąć, czy więcej podobieństwa nadała natura charakterom tych ludzi, czy też przypadek — kolejom ich losów. Ale najpierw mamy mówić o starszym z nich — o Demostenesie.

Rozdział czwarty

Ojciec Demostenesa, również Demostenes, zaliczał się — jak pisze historyk Teopompos — do najznakomitszych obywateli, a nazywano go płatnerzem, ponieważ miał wielki warsztat i niewolników zatrudnionych w tym rzemiośle. Natomiast co do matki Demostenesa trudno mi powiedzieć, czy prawdą, czy też potwarzą i kłamstwem jest to, co o niej twierdził mówca Ajschines, mianowicie, że była córką niejakiego Gilona, który musiał uciekać z Aten z powodu zdrady stanu, i kobiety pochodzenia niehelleńskiego.

Sam Demostenes miał siedem lat, kiedy stracił ojca, który zostawił mu znaczny majątek; wartość całej schedy wynosiła bowiem niewiele mniej niż piętnaście talentów. Ale nieuczciwi opiekunowie częściowo przywłaszczyli sobie jego mienie, częściowo zaprzepaścili je przez zaniedbanie, skutkiem czego Demostenes nie miał nawet na opłacanie nauczycieli. Zdaje się więc, że z tego właśnie powodu nie posiadał takiego wykształcenia, jakie przystało wówczas każdemu starannie wychowanemu i wolno urodzonemu chłopcu. Przyczyniła się do tego również jego słabowitość i delikatna budowa ciała: wychowawcy domowi nie zmuszali go do wysiłku, zwłaszcza że i matka nie pozwalała mu się męczyć. Od urodzenia był szczupły i chorowity i stąd to otrzymał — jak opowiadają — od chłopców, szydzących z jego wyglądu fizycznego, pogardliwe przezwisko Batalos. Było to — według niektórych — osławione imię zniewieściałego klarncisty, na którego Antyfanos napisał nawet pewien utwór komediowy. Inni natomiast przypominają, że Batalos był poetą piszącym wiersze biesiadne dla żyjących w zbytku niewieściuchów. Zdaje się też, że Ateńczycy słowem „batalos” określali wówczas pewną nieprzyzwoitą część ciała.

Poza tym Demostenesa obdarzono podobno przydomkiem Argas. Nadano mu go albo z powodu jego dzikiego i dokuczliwego zachowania, bo u niektórych poetów słowo „argas” występuje jako nazwa żmii, albo z powodu jego

mów, które obrażały słuchaczy. Tak bowiem nazywał się też poeta, piszący utwory złośliwe i pełne uszczypliwości. Ale o tym już — jak mówi Platon — dosyć.

Rozdział piąty

Myśl obrania zawodu mówcy zrodziła się w nim, jak opowiadają, w następujących okolicznościach: przed trybunałem sądowym w Atenach miał wystąpić mówca Kallistratos w procesie dotyczącym miejscowości Oropos; oczekiwano tego procesu z wielkim napięciem zarówno ze względu na talent adwokacki mówcy, będącego u szczytu swej sławy, jak i ze względu na samą sprawę, która narobiła wszędzie dużo hałasu. Demostenes więc słysząc, jak nauczyciele i wychowawcy umawiają się między sobą, że pójdą przysłuchiwać się tej rozprawie, prosił gorąco swego wychowawcę, żeby go zabrał ze sobą, i uzyskał na to jego zgodę. Ten zaś miał wśród odzwiernych w sądzie dobrych znajomych, łatwo więc zdobył miejsce, gdzie chłopiec mógł siedzieć nie zwracając na siebie uwagi i przysłuchiwać się wygłaszanym przemówieniom. Kallistratos zwyciężył i zyskał podziw nie do opisania, a Demostenes widząc, jak go potem cała publiczność odprowadza i głośno wychwala, poczuł w sobie obok podziwu dla tej sławy — zazdrość.

Ale jeszcze silniejsze wrażenie zrobiła na nim sama mowa Kallistratosa, która uświadomiła mu potęgę żywego słowa, zdolna wszystko opanować i porwać za sobą. Odtąd też zrezygnował z dalszej nauki i zajęć chłopięcych i zaczął się już sam z całą wytrwałością i wysiłkiem zaprawiać w wygłaszaniu przemówień, pragnąc stać się w przyszłości jednym z wielkich mówców.

Na nauczyciela, mającego go wprowadzić w sztukę wymowy, obrał sobie mówcę Isajosa, choć szkołę wymowy prowadził wówczas w Atenach Isokrates. Ale Demostenesa jako sierotę albo nie było stać na to, żeby Isokratesowi — jak twierdzą niektórzy — płacić za naukę ustalone przez niego wynagrodzenie w wysokości dziesięciu min srebra, albo też bardziej odpowiadała mu wymowa Isajosa, jako że wywierała silniejsze wrażenie i lepiej przygotowywała

do wszelkich wystąpień. Biograf Hermippos opowiada nadto, że natrafił na pamiętniki jakiegoś nieznanego autora, w których wyczytał, że Demostenes był także uczniem Platona i jako przyszły mówca bardzo dużo skorzystał z jego wykładów. Opowiada też, powołując się na Ktesybiosą, że Demostenes otrzymywał potajemnie od Kaliasa z Syrakuz i niektórych innych ludzi wykłady Isokratesa i Alkidamasa i studiował je podobno bardzo dokładnie.

Rozdział szósty

Osiągnąwszy odpowiedni wiek, Demostenes zaczął od wytoczenia procesu swoim opiekunom. Prawował się z nimi i pisał przeciw nim oskarżenia, oni zaś ciągle znajdowali jakieś wykręty, zmuszające go do wznawiania procesu. Przeszedł przy tym — by użyć wyrażenia Tukidydesa — dobrą zaprawę wśród niebezpieczeństw i trudów i ostatecznie wygrał. A choć nie udało mu się wydrzeć im ani części ojcowskiej puścizny, to jednak dzięki tej sprawie nabrał dużo odwagi i wprawy w przemawianiu. Nadto, zakosztowawszy sławy i znaczenia, jakie sobie można zdobyć przy tego rodzaju wystąpieniach na mównicy, postanowił poświęcić się karierze politycznej i zająć się sprawami publicznymi.

Opowiadają, że Laomedont z Orchomenos zaczął uprawiać długodystansowe biegi najpierw na skutek zalecenia lekarzy w jakiejś chorobie śledziony; potem jednak, gdy przez wytrwały wysiłek uzyskał odpowiednią wprawę, zabrał się także do biegów w zawodach o nagrody i stał się jednym z czołowych długodystansowców. Otóż podobnie Demostenesowi wypadło przemawiać najpierw w celu naprawienia własnych krzywd; a gdy przy tej sposobności zdobył sobie opinię zdolnego i wpływowego mówcy, stanął również do zawodów jako szermierz spraw publicznych i wysunął się na pierwsze miejsce wśród obywateli, którzy współzawodniczyli z sobą w wymowie.

Przy pierwszych wystąpieniach publicznych został co prawda przyjęty z hałasem i wprost wyśmiany z powodu

niezwykłego sposobu mówienia: robił bowiem wrażenie, jakby się gubił w długich zdaniach, i wił się jak na torturach w przesadnym i nazbyt uciążliwym przeprowadzaniu dowodów. Poza tym miał też — jak wiadomo — słaby głos, niewyraźną dykcję i zbyt krótki oddech, męczący tok wypowiedzanych słów przez częste przerwy w długich zdaniach. W końcu musiał się odsunąć od udziału w życiu publicznym i zniechęcony wałęsał się raz po porcie Pireus, gdzie go spotkał Eunomos z okolicy Triasos. Człowiek ten, bardzo już sędziwy, zaczął mu robić wyrzuty, że mając dar wymowy, równy samemu Peryklesowi, zdradza sam siebie przez brak odwagi i wytrwałości, że zamiast śmiało przeciwstawiać się tłumom, ćwiczyć i przysposabiać swe siły fizyczne do zadań mówcy, zaniedbuje je i marnuje przez wygodne życie w beczynności.

Rozdział siódmy

Innym znów razem, kiedy wygwizdany przez publiczność, przybity na duchu i zrozpaczony wracał do domu, przyłączył się do niego zaprzyjaźniony z nim aktor Satyros i odprowadził go aż do mieszkania. Demostenes uskarżał się przed nim, że on, który najwięcej ze wszystkich mówców zadaje sobie trudu i zużywa na to prawie wszystkie swe siły, nie znajduje uznania u publiczności; że lud chętnie słucha różnych pijaków, majtków i nieuków, a jego lekceważy. Satyros przyznał mu rację, po czym dodał, że zaraz znajdzie na to radę, jeżeli tylko Demostenes zechce mu zadeklamować jakąś partię wierszy z utworów Eurypidesa czy Sofoklesa. A gdy Demostenes to uczynił, z kolei Satyros powtórzył te same wiersze, wygłaszając je w sposób tak pełen wyrazu, odpowiadającego charakterowi i nastrojowi treści, że Demostenes odniósł wrażenie, jakby słuchał czegoś zupełnie innego. Przekonał się wtedy, jak wiele zyskuje na piękności i wdzięku właściwie wygłoszone przemówienie; zrozumiał zarazem, że niewiele daje, a nawet nic nie znaczy ćwiczenie, jeżeli nie uwzględnia się przy tym zewnętrznych form techniki deklamatorskiej.

Skutek był taki, że Demostenes kazał sobie urządzić podziemną pracownię, która — nawiasem mówiąc — zachowała się aż do naszych czasów, i dosłownie każdego dnia schodził tam, aby ćwiczyć się w zewnętrznych formach wygłaszania mów i pracować nad swoim głosem. Nieraz przepędzał tam po dwa i trzy miesiące bez przerwy, z głową ostrzyżoną tylko z jednej strony, żeby ze wstydu nie mógł wyjść stamtąd, nawet gdyby miał największą ochotę.

Rozdział ósmy

Wszystkie spotkania z ludźmi z zewnątrz, rozmowy i zajęcia wykorzystywał teraz jako przedmiot swych ćwiczeń i nowe źródło energii do pracy. Pożegnawszy się bowiem z tymi ludźmi, wracał czym prędzej do pracowni, w której ćwiczył się w deklamowaniu, i przechodził po kolei wszystkie poruszane z nimi sprawy i wszystkie dane przemawiające za nimi i przeciw nim. Tak samo mowy, których był świadkiem, powtarzał sobie w domu i ubierał je w ogólne myśli i okresy retoryczne, a do przemówień, wygłoszonych przez kogoś innego przeciw niemu, lub do własnych mów przeciw innym wprowadzał wszelkiego rodzaju zmiany i ulepszenia i starał się im nadać nową postać.

Stąd utarła się opinia, że wymowa jego nie pochodziła z wrodzonego talentu, lecz cała jej siła i wszystkie możliwości były owocem wytrwałej pracy. Dowodem tego miał być fakt, że niełatwo można było słyszeć Demostenesa przemawiającego bez przygotowania nawet wtedy, gdy tego wymagały okoliczności. Przeciwnie, choć siedział wśród zebranych i choć wywoływano go po imieniu, żeby przemówił, nie ruszał się z miejsca, jeżeli sobie mowy nie przemyślał i nie przygotował już przedtem.

Niejednen z przywódców ludowych pokpiwał sobie z niego: Pyteas odezwał się raz z przekąsem, że wszystkie jego dowody czuć lampą olejną. Otrzymał on od Demostenesa cierpką odpowiedź: „Tak, Pyteasie, bo moja lampa jest świadkiem zupełnie innych tajemnic niż twoja”. Zresztą wcale nie przeczył, owszem, przyznawał otwarcie, że ani

tego, co sobie napisze, nie wygłasza całkiem dosłownie, ani też bez pisemnego przygotowania głosu nie zabiera. W starannym bowiem przygotowaniu mówców widział cechę prawdziwie demokratyczną: twierdził, że dają tym dowód, iż zależy im na popularności, podczas gdy w braku troski o to, jak masy ludowe przyjmą wygłoszoną mowę, dopatrywał się cech arystokraty, posługującego się raczej przemocą niż perswazją.

Za inny jeszcze dowód nieśmiałości Demostenesa uważa się fakt, że gdy Demostenesa przyjmowano wrzaskami, Demades wstawał nieraz i przemawiał za niego, choć nie był na to przygotowany, Demostenes zaś nigdy nie zrobił tego za Demadesa.

Rozdział dziewiąty

Na jakiej więc podstawie — mógłby ktoś zapytać — Ajschines ogłosił Demostenesa za człowieka, którego śmiałość w mowach tak bardzo wszystkich zadziwia? Jak to możliwe, że wtedy, gdy Pyton z Bizancjum potokiem zachwałych słów zaatakował Ateńczyków, on jeden wstał z miejsca i dał mu należyłą odprawę? A gdy Lamachos ze Smyrny na igrzyskach w Olimpu odczytał przed zebranymi napisaną przez siebie mowę pochwalną na cześć króla Aleksandra i Filipa, w której pozwolił sobie na wiele nie miłych wycieczek przeciw Tebom i Olintowi, Demostenes znowu zabrał głos i przechodząc po kolei fakty historyczne, wykazał, ile dobrego zawdzięcza Hellada Tebańczykom i miastu Chalkis, które skolonizowało Olint, a ile winy za wyrządzone jej zło spada na pochlebców Macedonii, i przemówieniem tym tak zmienił nastroje wśród zgromadzonych Hellenów, że ów mówca, przerażony oburzeniem, jakie się przeciw niemu rozpętało, musiał po cichu zgromadzenie opuścić.

Otóż Demostenes wyraźnie wzorował się na Peryklesie: pomijając inne jego przymioty, współzawodniczył z nim i szedł w jego ślady przede wszystkim w sposobie wygłaszania mów i w gestykulacji, starając się nie mówić po-

spiesznie i nie zabierać głosu w żadnej sprawie na poczekaniu; to głównie miało go zrobić wielkim. Nie szukał więc sławy znakomitego mówcy w doraźnym przemawianiu i nie lubił często wystawiać swej powagi oratorskiej na ślepy los szczęścia. Choć trzeba przyznać, że jeśli chodzi o śmiałość i zdecydowaną postawę, to więcej jej miały mowy, które wygłaszał bez przygotowania, niż te, które sobie opracował pisemnie — o ile oczywiście mamy wierzyć Eratostenesowi czy Demetriosowi z Faleronu, czy wreszcie komediopisarzom. Eratostenes twierdzi, że w takich mowach Demostenes przemawiał często z fanatycznym porywem, a Demetrios przytacza znane jego słowa, którymi — wpadając w miary rytmiczne — kłął się przed ludem w jakimś wprost boskim natchnieniu:

Na świętą ziemię, na źródła i rzek, i potoków wody!

Z komediopisarzy zaś jeden nazywa go błyskotliwym pozerem, a inny, szydząc z jego nadużywania antytezy, mówi w ten sposób:

A: ...odebrał tak jak zabrał. — B: O, jakżeby chętnie
Powiedzenie to dla siebie porwał Demostenes!

Bardzo możliwe, że Antyfanos i w tym naśmiewa się z mowy Demostenesa, wygłoszonej w sprawie wyspy Halonnesos, którą Demostenes spierając się o różnicę sylaby radził Ateńczykom nie zabrać, ale odebrać Filipowi.

Rozdział dziesiąty

Na ogół jednak wszyscy byli zdania, że Demades, który polegał wyłącznie na wrodzonym talencie, był jako mówca niezwykły i swymi bezpośrednimi wystąpieniami przewyższał starannie obmyślane i przygotowane mowy Demostenesa. Aryston z Chios przytacza na temat tych mówców zdanie Teofrasta, który zapytany, co myśli o Demostenesie jako mówcy, miał odpowiedzieć: „Godny jest swego

niasta", a zapytany o Demadesa, odrzekł: „Przewyższa swe miasto”.

Ten sam filozof opowiada też, że jeden z ówczesnych polityków ateńskich, niejaki Polieuktos ze Sfetos, miał się wyrazić, że największym mówcą jest Demostenes, najbardziej wpływowym jednak — Fokion, który w najkrótszych słowach wypowiada najwięcej myśli. I rzeczywiście, ile razy Fokion wychodził na mównicę, aby wystąpić przeciw zdaniu Demostenesa, Demostenes mówił do swych najbliższych: „Oho, idzie nóż na moje mowy!”

Nie wiadomo jednak, czy Demostenes odnosił to do wymowy tego polityka, czy też do jego życia i znaczenia, chcąc przez to powiedzieć, że jeśli człowiek cieszy się u ludzi zaufaniem, jedno jego słowo, jedno nawet skinienie, więcej znaczy niż całe mowy ułożone w długich periodach.

Rozdział jedenasty

Fizycznym wadom swej wymowy zaradził Demostenes przez odpowiednie i wytrwałe ćwiczenia. Opowiada o tym także Demetrios z Faleronu twierdząc, że słyszał to z ust samego Demostenesa, kiedy ów był już starcem. Otóż niewyraźne wymawianie głosek i wadę języka pokonał w ten sposób, że brał do ust kamyki, jakich używano przy głosowaniu, i tak wygłaszał dłuższe ustępy przemówień. Głos swój wzmacniał przez prowadzenie rozmowy w czasie biegu lub przez wygłaszanie jednym tchem jakichś partii mów lub wierszy przy równoczesnym marszu pod górę. W domu ćwiczył się w gestykulacji i deklamowaniu mów, stojąc przed wielkim lustrem, które sobie w tym celu sprawił.

Pewnego razu przyszedł do niego jakiś człowiek i, prosząc o obronę w sądzie; opowiadał, jak go tam ktoś obić. Na to Demostenes: „To nieprawda, ciebie wcale nie pobito”. Wtedy tamten podniósł głos i wykrzyknął: „Co, ja, Demostenesie, nie zostałem pobity?” — „Na boga! — rzekł Demostenes — teraz słyszę głos człowieka, który cierpiał i doznał krzywdy”. Tak wielkie znaczenie dla wzbudzenia Wiary przypisywał tonowi głosu i gestom mówiącego.

Nic więc dziwnego, że jego sposób wygłaszania mów nadzwyczajnie odpowiadał upodobaniom publiczności, chociaż wybredniejsi krytycy, do których należy też Demetrios z Faleronu, uważali, że styl jego przemówień ma w sobie coś pospolitego i pozbawionego męskiej powagi.

Hermippos donosi, że niejaki Ajsjon, zapytany o zdanie co do dawniejszych i współczesnych mu mówców, orzekł, iż niewątpliwie każdy, kto słyszał tamtych mówców, jak starannie i podniosłe przemawiali do ludu, musiał być nimi zachwycony; ale jako lektura mowy Demostenesa są niezrównane dzięki swemu opracowaniu i sile wyrazu. Istotnie, o tym, że jego pisane mowy mają w sobie sporo złośliwej werwy i uszczypliwości, nie ma co nawet wspominać. Przy doraźnym starciu z przeciwnikiem Demostenes posługiwał się nadto ośmieszającym dowcipem. Tak np. gdy Demades powiedział raz o nim: „Mnie — Demostenes, to tak jak świnia — Atenę”, Demostenes odpalił mu: „Owszem, Atenę, którą niedawno przyłapano na cudzołóstwie na terenie Kollytosu”. Kiedy indziej złodziej jakiś, znany pod przezwiskiem Spiżowy, próbował coś mówić na temat bezsennych nocy Demostenesa, spędzanych na pisaniu mów. Na to zaś Demostenes: „Wiem, że ci przeszkadzam, pałac światło w nocy. Nie dziwcie się, Ateńczycy, że tyle u nas kradzieży, skoro nasze ściany są gliniane, a złodzieje spiżowi”.

Takich i innych dowcipnych powiedzeń Demostenesa można by tu jeszcze więcej przytoczyć. My jednak na tym poprzestaniemy, uważając za rzecz słuszną przedstawić inne cechy jego charakteru i postępowania w świetle jego działalności politycznej.

Rozdział dwunasty

Otóż do spraw publicznych zabrał się Demostenes — jak sam mówi — w czasie wojny fokejskiej. Można to stwierdzić także na podstawie jego mów przeciw Filipowi. Jedne z nich bowiem powstały już po zakończeniu tej wojny, inne zaś, mianowicie najdawniejsze, nawiązują bezpośrednio do

łączących się z nią wypadków. Poza tym mamy pewną wiadomość, że do oskarżenia Mejdiasa przygotował się w trzydziestym roku życia, nie mając jeszcze w polityce ani znaczenia, ani sławy. I ja to właśnie uważam za główną przyczynę, dla której stracił on wtedy odwagę i za pewną kwotę pieniężną zrezygnował ze zrażenia sobie tego człowieka.

Nie był to bowiem mąż, co łagodne i słodkie ma serce! — mówiąc słowami Homera. Przeciwnie, był to człowiek zawzięty i gotów bronić swego przemocą. Demostenes więc, zdając sobie sprawę, że zaczepiać człowieka dobrze obwarowanego przyjaciółmi, bogactwem i talentem wymowy, jakim był Mejdias, to zadanie niełatwe i nie na jego siły — uległ prośbom wstawiających się za nim znajomych. Bo nie przypuszczam, żeby kwota trzech tysięcy drachm sama przez się złagodziła rozgoryczenie Demostenesa, gdyby się mógł spodziewać pewnego zwycięstwa.

W pierwszych wystąpieniach politycznych obrał sobie za chlubne zadanie obronę praw Hellenów przed zakusami Filipa, króla macedońskiego, i walcząc o nie w sposób naprawdę zasługujący na uznanie, szybko osiągnął rozgłos i zabłysnął jako wybitny polityk. Mowy jego i śmiałość wypowiedzi zyskały mu podziw całej Hellady. Król perski dawał mu dowody swego uznania, a na dworze Filipa o żadnym z polityków ateńskich nie mówiło się tyle co o nim. Nawet jego przeciwnicy nie mogli zaprzeczyć, że mają do czynienia z człowiekiem prawdziwie wybitnym; zarówno bowiem Ajschines jak Hyperejdes przyznawali to w swoich wystąpieniach przeciw niemu.

Rozdział trzynasty

Dlatego też nie bardzo rozumiem, na czym opierał się historyk Teopompos pisząc, że Demostenes był bardzo zmienny i ani nie umiał z tymi samymi ludźmi żyć dłuższy czas w zgodzie, ani też trzymać się tej samej linii postępowania w swej działalności publicznej. Wyraźnie przecież aż do końca wytrwał na stanowisku i w partii, w której

szeregach stanął na początku. I nie tylko nie zmienił w ciągu życia swych poglądów, ale nawet z tego życia zrezygnował, żeby ich nie zmieniać.

Demades, tłumacząc swe przejście do przeciwnego obozu politycznego, oświadczał, że nieraz mówił rzeczy sprzeczne z własnymi wypowiedziami, ale nie z interesami państwa. Podobnie Melanopos, który był politycznym przeciwnikiem Kallistratosa i przekupiony przezeń nieraz zmieniał swoje poglądy, mawiał przed zgromadzeniem ludowym, że przeciwnik przeciwnikiem, ale korzyść publiczna jest dla niego ważniejsza. A Nikodemos z Messeny, który najpierw ofiarował swe usługi Kasandrowi, potem zaś jako polityk wysługiwał się sprawie Demetriososa, twierdził, że w jego postępowaniu nie ma żadnej sprzeczności, bo dobro publiczne wymaga, żeby zawsze słuchać silniejszych.

Otóż nic podobnego nie można powiedzieć o Demostenesie, który nigdy ani w słowie, ani w postępowaniu nie zmieniał swych przekonań i nie schodził z raz obranej drogi. Przeciwnie, jak sobie postawił za cel jeden i niezmienny program polityczny, tak też wytrwał przy nim, trzymając się stale jednego kierunku.

Zdaniem filozofa Panajtiososa przeważna część pisanych mów Demostenesa — na przykład mowa o wieńcu, mowa przeciw Arystokratesowi, mowa o zwolnieniach od świadczeń na rzecz państwa, mowy przeciw Filipowi — opiera się na założeniu, że jedynie to, co szlachetne, jest samo przez się godne ludzkich dążeń. We wszystkich tych mowach nie tylko nie skłania on obywateli do tego, co najprzyjemniejsze czy najłatwiejsze, czy może najkorzystniejsze, ale nieraz każe im to, co szlachetne i piękne, stawiać wyżej niż własne bezpieczeństwo i własny byt.

Toteż gdyby ze szlachetnymi ambicjami w swych przedsięwzięciach i ze wzniosłością zasad w swych mowach umiał połączyć jeszcze bojową dzielność i nieskazitelną bezinteresowność we wszystkich swych wystąpieniach publicznych, z pewnością zasłużyłby na to, żeby się znaleźć nie w liczbie mówców w rodzaju Mojroklesa, Polieuktosa czy Hyperejdesa, ale ponad nimi, w liczbie polityków takich jak Kimon, Tukidydes, Perykles.

Rozdział czternasty

W każdym razie ze współczesnych mu ludzi Fokion, choć był przywódcą stronnictwa, którego polityka promacedońska wcale nie zasługiwała na pochwałę, został dzięki swemu męstwu i swej uczciwości uznany za człowieka równie wartościowego jak Efiates, Arystydes czy Kimon. Natomiast Demostenes był człowiekiem, któremu w boju — jak się o nim wyraża Demetrios z Faleronu — nie bardzo można było ufać i który nie ze wszystkich stron obwarował się przed przekupstwem: z jednej strony bowiem nie uległ macedońskiemu złotu Filipa, z drugiej jednak pozwalał się zasypywać z Azji pieniędzmi Suzy i Ekbatany. Umiał jak nikt inny chwalić cnoty przodków, ale nie umiał ich w równym stopniu naśladować. Choć trzeba przyznać, że życiem swoim przewyższał resztę współczesnych mu mówców — z wyjątkiem jednego Fokiona. Nie da się też zaprzeczyć, że w swoich wystąpieniach na zgromadzeniach ludowych przemawiał z największą otwartością, najbardziej stanowczo sprzeciwiał się zachciankom tłumu i wytykał mu jego błędy. Wszystko to łatwo wyczytać z jego własnych mów. Także Teofrast opowiada, że Ateńczycy chcieli go raz skłonić, żeby kogoś oskarżał, a kiedy odmówił, zaczęli głośno protestować. Wtedy on powstał i oświadczył: „Wy, Ateńczycy, doradcę będziecie mieć we mnie zawsze, choćbyście nawet nie chcieli, ale w roli donosiela nie zobaczycie mnie, choćbyście sobie tego życzyli”.

Całkowicie arystokratyczne stanowisko widać w jego stosunku do sprawy niejakiego Antyfonta. Uniewinnionego przez zgromadzenie ludowe Demostenes pozwał do odpowiedzialności sądowej przed areopagiem i nie zważając na to, że naraża się ludowi, udowodnił oskarżonemu, iż ten przyrzekł Filipowi spalić ateńskie warsztaty okrętowe. I Antyfont, skazany przez radę areopagu na śmierć, zginął. Podobnie kapłankę Teorydę oskarżył Demostenes o różne nadużycia, a przede wszystkim o to, że uczy niewolników oszustwa. Teoryda zgodnie z postawionym przez niego wnioskiem została również skazana na śmierć.

Rozdział piętnasty

Demostenes napisał też podobno mowę przeciw strategowi Tymoteosowi, którą posłużył się Apollodoros, pozrywając tego człowieka przed sąd w sprawie nadużyć finansowych. Był wreszcie autorem mów przeciw Formionowi i Stefanosowi, które zepsuły mu sławę. I całkiem słusznie: bo Formion, procesując się z Apollodorosem, użył przeciw niemu mowy, napisanej również przez Demostenesa, który w ten sposób — krótko mówiąc — z jednej kuźni sprzedał obu przeciwnikom noże do wzajemnej bójki.

Z mów jego, dotyczących spraw publicznych, mowy przeciw Androtionowi i Tymokratesowi, i Arystokratesowi zostały napisane dla innych osób już wtedy, gdy Demostenes nie występował jeszcze jako mówca polityczny. Bo mowy te wydał — jak się zdaje — mając trzydzieści dwa lub trzydzieści trzy lata. Sam już natomiast wygłosił mowy przeciw Arystogejtonowi oraz mową o zwolnieniach od świadczeń na rzecz państwa, którą — według tego, co sam podaje — ułożył ze względu na syna Chabriasa, Ktesypposa. Inni jednak twierdzą, że zrobił to dlatego, iż starał się o rękę matki tego młodego człowieka. Do małżeństwa z nią jednak nie doszło; żoną jego była bowiem potem jakaś Samia. Tak przynajmniej pisze Demetrios z Magnezji w swym dziele „O równoimiennych”.

Co do mowy przeciw Ajschinesowi o przekroczeniu uprawnień poselskich nie wiadomo, czy w ogóle została wygłoszona, jakkolwiek Idomeneus twierdzi, że Ajschines uniknął wyroku skazującego w tym procesie tylko przewagą trzydziestu głosów. Zdaje się, że w rzeczywistości sprawa przedstawiała się inaczej, jeżeli mamy polegać na wnioskach, do jakich doszliśmy na podstawie obu mów o wieńcu: mianowicie ani w jednej, ani w drugiej z tych mów nie ma żadnej wyraźnej i pewnej wzmianki o tym, że ów proces doszedł do skutku. Ale sprawą tą zostawimy już innym, bardziej powołanym do jej rozstrzygnięcia.

Rozdział szesnasty

Polityka Demostenesa była wyraźna jeszcze w czasie pokoju, przed wojną z Filipem, kiedy to ani jednego kroku politycznego tego króla nie omieszkał krytykować i przy każdej sposobności buntował przeciw niemu Ateńczyków. Toteż i na dworze Filipa mówiło się bardzo dużo o Demostenesie. A gdy on sam przybył do Macedonii jako jeden z dziesięciu posłów, Filip wysłuchał wprawdzie wszystkich, ale odpowiedzieć starał się jak najdokładniej tylko na mowę Demostenesa. Zresztą nie przyjmował go z takimi samymi honorami i wyrazami uprzejmości jak innych i bardziej wyróżniał Ajschinesa i Filokratesa. Dlatego też potem, gdy ci dwaj posłowie wychwalali Filipa, mówiąc między innymi, że jest najzręczniejszym mówcą, najpiękniejszym mężczyzną i najpojemniejszym kompanem przy kielichu, Demostenes nie mógł się powstrzymać, żeby nie zakpić z nich w dowcipnej, ale złośliwej uwadze, że pierwsza pochwała godna jest sofisty, druga odpowiednia jest dla kobiety, a trzecia dotyczy gąbki, żadna z nich jednak nie jest właściwa dla króla.

Rozdział siedemnasty

Potem zaś, kiedy Filip nie umiał siedzieć beczynnie, Demostenes także nie pozwolił spać Ateńczykom i sprawy same parły do wojny. Najpierw udało się Demostenesowi podburzyć Ateńczyków do wyprawy na wyspę Eubeę, która za sprawą tamtejszych tyranów popadła w niewolniczą zależność od Filipa. Wyprawę uchwalono na wniosek samego Demostenesa, a owocem jej było wyzwolenie tej wyspy spod panowania macedońskiego. Drugim dziełem Demostenesa było w tym czasie wysianie pomocy zaatakowanym przez Filipa mieszkańcom Bizancjum i Peryntu. Przedtem jednak Demostenes musiał nakłonić lud ateński, aby zaniechał nieprzyjaźni z tymi miastami i zapomniał o przewinieniach, jakich dopuściły się one wobec Ateńczy-

ków w ich wojnie ze sprzymierzeńcami. Ostatecznie jednak pomoc ateńska rzeczywiście uratowała owe miasta od upadku. Teraz zaczął Demostenes jako wysłannik ateński prowadzić rozmowy z poszczególnymi miastami helleńskimi i buntując je zdołał prawie wszystkie, z wyjątkiem kilku, nakłonić do zbrojnego przymierza przeciw Filipowi; tak zebrała się armia, złożona z piętnastu tysięcy piechoty i dwóch tysięcy konnicy, nie licząc sił samych Aten. Z całą też gotowością dostarczano funduszy na utrzymanie wojsk najemnych. Teofrast opowiada, że gdy miasta sprzymierzone zażądały, aby im wyznaczyć wysokość opłat na rzecz wojny, ateński przywódca ludowy Krobylos odpowiedział, że wojna nie zaspokaja swego głodu odmierzonymi porcjami.

Cała Hellada w najwyższym napięciu oczekiwała dalszego rozwoju wypadków. Plemiona i miasta Eubei, Achai, Koryntu, Megary, Leukadii i Korkiry połączyły się już w zwarty, wspólny front, lecz Demostenesowi pozostało jeszcze jedno, najtrudniejsze zadanie: wciągnąć do tego przymierza wojennego również Teby, których kraj sąsiedował przecież z Attyką, a armia beocka, zaprawiona w boju, cieszyła się wówczas sławą najlepszej armii w Helladzie. Niełatwą jednak rzeczą było zmienić polityczną orientację Tebańczyków, których Filip pozyskał sobie niedawno, wyświadczając im pewną przysługę w wojnie z Fokidą, zwłaszcza że nieustanne spory o granicę, wynikające z sąsiedztwa Beocji z Attyką, stale utrzymywały oba te kraje we wzajemnej wrogości.

Rozdział osiemnasty

Tymczasem Filip, zachęcony sukcesem, odniesionym w związku ze sprawą miasta Amfissy, niespodzianie wpadł do Elatei i opanował Fokidę. Manewrem tym tak przeraził Ateńczyków, że na zgromadzeniu ludowym nikt nie miał odwagi wyjść na mównicę, bo nikt nie wiedział, co mówić. Wśród zebranych panowała cisza i bezradność. Wówczas to jeden Demostenes zabrał głos i radził Ateń-

czykom połączyć się z Tebami, dodawał im odwagi i swoim zwyczajem budził ich nadzieje chcąc podnieść na duchu.

Został też wysłany z kilku innymi w poselstwie do Teb. Historyk Marsias donosi, że i Filip wyprawił tam swoich ludzi: Amyntasa, Kleandrosa i Kasandra z Macedonii, Daochosa z Tesalii oraz Dikajarcha, którzy mieli przeciwdziałać staraniom Demostenesa.

Tebańczycy nie mylili się, co prawda, w obliczeniach, po której stronie leży ich korzyść, ale każdy z nich świeżo miał w oczach okropności wojny, bo nie zagoiły się jeszcze rany, jakie odnieśli w niedawnej wojnie fokejskiej. Mimo to potęga wymowy, jak mówi Teopompos, rozbudziła w nich ducha i zapaliła żądzę sławy, przyćmiewając swym płomieniem wszystko inne do tego stopnia, że ludzie wyzbyli się lęku, skrupułów i długów wdzięczności i pod wpływem żywego słowa ogarnięci zostali jakąś boską siłą, pchającą ich do pięknych czynów.

Dzieło Demostenesa było tak potężne i wspaniałe, że sam Filip wysłał natychmiast heroldów z prośbą o pokój, a cała Hellada odetchnęła swobodnie i z otuchą zaczęła patrzeć w lepszą przyszłość. Poleceniom Demostenesa podporządkowali się teraz nie tylko strategowie ateńscy, ale i najwyższe władze tebańskie. On kierował obradami na zgromadzeniach ludowych zarówno w Atenach jak i w Tebach — szanowany przez jednych i drugich; on był prawdziwym ich władcą — nie bezprawnie i ponad zasługę, jak pisze Teopompos, ale najzupełniej godzien tego zaszczytu.

Rozdział dziewiętnasty

Najwidoczniej jednak jakieś przeznaczenie boże na ową właśnie chwilę przewidziało w wiecznym biegu wypadków koniec wolności Hellady i stanęło w drodze wszystkim poczynaniom, wielu znakami zapowiadając to, co się niebawem stać miało. Między innymi Pytia dawała w odpowiedziach okropne wróżby, a stara przepowiednia z ksiąg sybilińskich głosiła:

Obym ja z dala od bitwy nad Termodontem się znalazł;
Obym był orłem w przestworzach i chmurach i patrzył nań
z góry,
Kiedy pobity zapłacze, a śmierć dosięgnie zwycięzcę.

Ów Termodont to podobno rzeczka u nas w Cheronei, wpadająca do Kefisosu. Ale ja nie znam tu teraz żadnej rzeki tej nazwy i przypuszczam, że dzisiejszy Hajmon, czyli Krwawą Rzekę, dawniej nazywano Termodontem. Płynie ona tuż koło świątyni Heraklesa, gdzie Hellenowie mieli swój obóz, więc domyślam się, że zmieniła swą nazwę, gdy po bitwie napełniła się krwią i trupami poległych. Natomiast historyk Duris twierdzi, że Termodont nie jest nazwą rzeki, lecz że jacyś żołnierze, okopując miejsce pod namiot, znaleźli tam kamienny posążek z napisem, który objaśniał, że jest to Termodont, niosący na ramionach raną Amazonkę. Zresztą na ten sam temat podają jeszcze inną przepowiednię:

Czekaj, o czarny ptaku, na bitwę nad Termodontem:
Będiesz tam mięsa ludzkiego miał dosyć na żer obfity!

Rozdział dwudziesty

Trudno dziś jednak rozstrzygnąć, ile w tym jest prawdy. Podobno Demostenes tak bardzo był pewny helleńskiego oręża, tak olśniony siłą i zapalem bojowym tyłu wojsk, wyzywających wroga do walki, że uniesiony radością nie pozwalał ani zważać na przepowiednie, ani słuchać wróżb, a nawet rzucił podejrzenie na Pytę, że jest w zмовie z Filipem. Przypominał Tebańczykom Epaminondasa, Ateńczykom zaś Peryklesa, mówił, że oni obaj uważali to wszystko za wybieg osłaniający strach i szli za tym, co im dyktował zdrowy rozum.

Dotychczas więc Demostenes zachował się jak prawdziwy mężczyzna. Kiedy jednak przyszło do bitwy, nie okazał żadnego bohaterstwa, nie popisał się żadnym czynem, który by odpowiadał jego pięknym słowom. Opuścił swe stanowisko na polu bitwy i uciekł haniebnie, porzuciwszy

broń, nie wstydząc się nawet tego, że — jak mówi Pyteas — na tarczy miał ułożony ze złotych liter napis: „Na szczęście, na zwycięstwo”.

Zwyciężył Filip i w pierwszej chwili tak był oszołomiony radością, że urządził uroczysty pochód ku stosom trupów nieprzyjacielskich i wybijając takt nogą zaczął śpiewać po pijanemu początek wniosku Demostenesa, który doprowadził do uchwalenia tej bitwy:

Demostenesa syn, Demostenes z gminy Pajania stawia ten
wniosek.

Kiedy jednak wytrzeźwiał i zastanowił się w duchu nad rozmiarami walki, jaką mu zgotowano, zadrżał na myśl o potędze słowa i talentu tego mówcy, który przez krótką chwilę jednego dnia zmusił go do narażenia swej władzy i życia na takie niebezpieczeństwo.

Sława Demostenesa dotarła aż do króla perskiego, który do satrapów nadmorskich prowincji rozesłał pisma z rozkazem udzielenia mu pomocy pieniężnej i ze wszystkich Hellenów polecił jego najbardziej respektować, jako tego, który może uwikłać Macedończyka w wewnętrzne walki helleńskie i powstrzymać od dalszych zapędów.

Wszystko to odkrył dopiero później Aleksander, kiedy w Sardes odnalazł pewne listy Demostenesa i pisma satrapów królewskich, podające wysokość sum pieniężnych, przekazanych Demostenesowi do rozporządzenia.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Po klęsce Hellenów polityczni przeciwnicy Demostenesa zaraz zaczęli go atakować, żądali od niego sprawozdań kasowych i pisali przeciw niemu skargi. Lud jednak nie tylko zwolnił go od tego, ale i w dalszym ciągu okazywał mu swoją cześć i zaprosił go znowu jako człowieka dobrej woli do udziału w życiu politycznym.

Kiedy zaś sprowadzono do Aten prochy poległych pod

Cheroneją i miano je grzebać, jemu powierzono wygłoszenie pochwalnej mowy na cześć tych żołnierzy, aby pokazać, że to, co się stało, lud ateński znieść umie, jak się wyraża w przesadnych słowach Teopompos, dumnie i bez poniżenia własnej godności, i przez to zaszczytne wyróżnienie swego doradcy dać dowód, że nie żałuje tego, iż szedł za jego radami.

I Demostenes wygłosił tę mowę. Odtąd jednak stawiając wnioski nie podawał swego imienia, lecz po kolei imiona poszczególnych swych przyjaciół, aby uniknąć złowróżbnego wpływu swego ducha i losu na sprawy publiczne; wiarę w siebie odzyskał dopiero ze śmiercią Filipa. Filip zaś zginął wkrótce po zwycięstwie pod Cheroneją. Do tego momentu zdają się odnosić ostatnie słowa przytoczonej przepowiedni:

Kiedy pobity zapłacze, a śmierć dosięgnie zwycięzcą...

Rozdział dwudziesty drugi

Demostenes dowiedział się o śmierci Filipa potajemnie i wykorzystał to najpierw do wzbudzenia w Atenach pocieszających nadziei na przyszłość. Przyszedł więc w pogodnym nastroju na posiedzenie Rady udając, że miał we śnie widzenie, które wróży Ateńczykom coś bardzo pomyślnego. I rzeczywiście, w niedługi czas potem zjawili się w Atenach ludzie, donoszący o zamordowaniu Filipa.

Natychmiast odprawiono ofiary w podziękę za pomyślne wieści, a mordercę króla, Pauzaniasa, postanowiono udekorować wieńcem. Demostenes wychodził na miasto ubrany we wspaniałą szatę i z wieńcem na głowie, choć dopiero przed siedmiu dniami umarła mu córka, o czym dowiadujemy się ze słów Ajschinesa, który mu tego nie omieszkiał wytknąć, pomawiając go o brak miłości do własnych dzieci. Lecz przez to właśnie sam okazał się człowiekiem pospolitym i pozbawionym męskiego charakteru, skoro tylko w zewnętrznych oznakach cierpienia i bóleści widział dowody dobrego i kochającego serca, a za błąd poczyty-

wał drugim ciche i spokojne znoszenie tego rodzaju nieszczęść.

Co się tyczy śmierci Filipa, nie powiedziałbym, żeby to pięknie było ze strony Ateńczyków składać ofiary dziękczynne i wieńczyć uroczyście głowy z okazji zamordowania króla, który w pełni powodzenia tak łaskawie i po ludzku obchodził się z nimi w ich nieszczęściach. Nie tylko bowiem ściąga to na ludzi karę bogów, ale i hańbą ich okrywa, jeżeli za życia kogoś czczą i obdarowują nawet obywatelstwem, a potem, gdy padnie z cudzej ręki, nie umieją opanować swej radości, lecz po prostu depczą po jego trupie i śpiewają triumfalne pieśni, jak gdyby sami dokonali bohaterskiego czynu. Niemniej jednak Demostenes zasługuje na nasze uznanie; zostawił bowiem domowe nieszczęścia, łzy i jęki kobietom, a sam robił to, czego od niego wymagało dobro ojczyzny. Jest to dowodem głębokiego patriotyzmu i prawdziwie męskiego ducha — stać zawsze na straży spraw publicznych i dobro ogółu stawiać wyżej niż kłopoty i zmartwienia prywatne, oraz strzec swej godności o wiele bardziej, niż to robią aktorzy na scenie, grający role królów czy samowładców, którzy jeśli w teatrze płaczą czy śmieją się, to nie z własnej woli, lecz tak jak tego wymaga od nich wyznaczona im rola.

Zresztą, gdy kogoś spotka nieszczęście, czujemy, że nie należy pozwalać, by pogrążał się w smutku, ani pozostawiać go bez słowa pocieszenia, lecz trzeba do niego przemówić i myśli jego skierować ku weselszym rzeczom, tak jak chorym na oczy każe się odwracać wzrok od przedmiotów błyszczących i silnie odbijających światło ku zieleni i łagodniejszym kolorom. A w chwilach domowych nieszczęść gdzież szukać lepszej pociechy niż ta, jaką można znaleźć w szczęściu ojczyzny, łagodząc własne cierpienie przez połączenie go z losami ogółu obywateli i zapominając w ten sposób wśród radośniejszych chwil o smutkach osobistych.

Musiałem to powiedzieć ze względu na wspomniana mowę Ajschinesa, która wzruszyła tłumy i rozczuliła je jak kobiety aż do łez.

Rozdział dwudziesty trzeci

Podburzone przez Demostenesa miasta helleńskie utworzyły nowy związek, a Tebańczycy zaatakowali nawet stacjonującą u nich załogę macedońską i znaczną jej część wymordowali. Z pomocą Demostenesa dostarczono im broń, Ateńczycy zaś robili przygotowania, chcąc się z nimi połączyć do walki ze wspólnym wrogiem. Demostenes znowu opanował mównicę, a do satrapów króla perskiego w Azji pisał listy, starając się wywołać tam wojnę przeciw Aleksandrowi, którego nazywał lekceważąco dzieciakiem i Margitesem.

Aleksander jednak, uporządkowawszy wewnętrzne sprawy Macedonii, wkroczył ze swą armią do Beocji, czym nie tylko przekreślił śmiałe plany Ateńczyków, ale zgasił także zapal samego Demostenesa. Zdradzeni zaś przez nich Tebańczycy, walcząc z najeźdźcą o własnych siłach, musieli w końcu oddać mu nawet stolicę.

W Atenach zapanował wielki popłoch. Do Aleksandra wysłano poselstwo, złożone z Demostenesa i kilku innych ludzi, ale Demostenes uląkł się gniewu króla i zawróciwszy z drogi koło gór Kitajronu, poselstwa tego zaniechał. Zaraz potem przybył wysłannik Aleksandra, żądając od Ateńczyków wydania dziesięciu przywódców politycznych. Taką liczbę podają historycy Idomeneus i Duris. Inni zaś, i to najpoważniejsi dziejopisarze, wymieniają przeważnie ośmiu, a mianowicie: Demostenesa, Polieuktosa, Efiatesa, Likurga, Mojroklesa, Demona, Kallistenesa i Charydemosa. Wówczas to opowiedział Demostenes ową bajkę o owcach, które zgodziły się na wydanie psów wilkom, i porównał siebie i swoich towarzyszy do psów, broniących bezpieczeństwa ludu, a Aleksandra Macedońskiego nazywał wilkiem nad wilkami. Dodał przy tym: "Widzimy, jak handlarze pokazują na małej misce próbki zboża, sprzedając przez te kilka ziaren całe ich masy; otóż tak samo i wy musicie pamiętać, że wydając nas kilku, wydajecie cały naród na łup przeciwnika". Tak przynajmniej pisze historyk Arystobulos z Kasandrii.

Ateńczycy więc długo naradzali się i nie wiedzieli, co mają zrobić, aż wreszcie Demades, utrzymawszy od wymienionych osób sumę pięciu talentów, zgodził się sam podjąć tego poselstwa i wstawiać się za nimi u króla. Liczył przy tym może na przyjaźń, jaką darzył go Aleksander, a może spodziewał się, że zostanie tego młodego lwa macedońskiego w chwili, gdy już będzie syty łupu i krwi. Ostatecznie jednak przekonał go i uprosił ułaskawienie dla tych ludzi Fokion. On też pogodził go z Ateńczykami.

Rozdział dwudziesty czwarty

Po odejściu Aleksandra w Atenach rej wodziło stronnictwo macedońskie, Demostenes zaś żył w zupełnym przygnębieniu. Zaczął się wprawdzie trochę ruszać, gdy król spartański Agis próbował wszcząć rozruchy, ale zaraz znowu przycichnął widząc, że Ateńczycy nie zdecydują się na ogólne powstanie, zwłaszcza że król Agis tymczasem zginął, a z nim razem rozpadły się siły spartańskie.

W tym czasie rozegrał się ów proces o wieniec, wytoczony Ktesyfontowi; wszczęty jeszcze za archontatu Chajrondasa na krótko przed bitwą pod Cheroneją, przeprowadzony został dopiero w dziesięć lat później, gdy archontem był Arystofont. Proces nabrał wielkiego rozgłosu, jakiego nie miał żaden inny proces polityczny, a to zarówno dzięki sławie występujących w nim mówców, jak dzięki szlachetnej postawie sędziów, na których oskarżyciele ścigający Demostenesa nie zdołali wymusić wyroku skazującego, mimo że oskarżycielami tymi byli bardzo wpływowi przedstawiciele stojącego wówczas u władzy stronnictwa macedońskiego. Demostenes wygrał proces tak wspaniałą większością głosów, że Ajschines nie otrzymał ani piątej ich części. Nic więc dziwnego, że zaraz potem oddalił się z Aten i żył na wyspie Rodos i w Jonii jako nauczyciel wymowy.

Rozdział dwudziesty piąty

Wkrótce potem zjawił się w Atenach Harpalos, który uciekł z Azji przed Aleksandrem, ponieważ miał na sumieniu ciężkie nadużycia, do których doprowadziła go rozrzutność i zbytek, i bał się króla, który stał się już surowy nawet dla swych najbliższych przyjaciół. Harpalos szukał więc schronienia u ludu ateńskiego i oddał się całkowicie w jego ręce razem z flotą i złotem.

Wtedy to różni przywódcy polityczni, olśnieni jego bogactwem, natychmiast zgodzili się udzielić mu pomocy i wspólnie starali się nakłonić Ateńczyków, by przyjęli go pod swoją opiekę i udzielili mu azylu jako błagalnikowi.

Demostenes początkowo radził ludowi odprawić Harpalosa i przestrzegał wszystkich, by nie wciągali Aten w wojnę bez koniecznego i usprawiedliwionego powodu. Kiedy jednak w kilka dni później przeglądano skarby królewskie i Harpalos zauważył, że Demostenes zachwyca się szczególnie perskim pucharem i dokładnie ogląda jego kształt i ornamentykę, kazał mu zważyć ten puchar w dłoni i sprawdzić ciężar złota. Widząc zaś dalej, że Demostenes podziwia jego wagę i pyta, ile ona wynosi, Harpalos uśmiechnął się znacząco i rzekł: „Dla ciebie wyniesie dwadzieścia talentów”. A gdy tylko nadeszła noc, posłał mu ten puchar razem z dwudziestu talentami. Trzeba przyznać, że Harpalos doskonale umiał z wyrazu twarzy, z ruchów i spojrzenia odgadywać charakter człowieka kochającego złoto. Bo Demostenes rzeczywiście nie oparł się pokusie, ale olśniony tym darem, jak gdyby otrzymał z nim razem gwarancję bezpieczeństwa, przeszedł całkowicie na stronę Harpalosa. Następnego dnia przybył na zgromadzenie ludowe z szyją starannie owiniętą i obwiązaną szalem, a kiedy go wezwano do zabrania głosu, zrobił odmowny ruch głową udając, że zupełnie stracił głos. Dowcipniejsi jednak żartowali sobie, że mówcę złapała tej nocy nie gorączka gardła, lecz gorączka złota. Później już całe miasto wiedziało o przyjęciu tego daru. Kiedy zaś chciał się usprawiedliwić, nie dopuszczono go do głosu, zaczęto hałasować i prze-

szkadzać. Wówczas też ktoś z zebranych powstał i głośno zakpił: „Jak to, Ateńczycy, nie będziecie słuchać człowieka, który ma puchar w ręku?”

Po tym wszystkim kazano Harpalosowi opuścić miasto. A ponieważ lud bał się, by go nie pociągano do odpowiedzialności za skarby rozgrabione przez różnych przywódców politycznych, zarządzono surową rewizję w mieście i przeszukano wszystkie domy z wyjątkiem domu niejakiego Kalliklesa, syna Arrenejdas. Jedynie tam nie pozwolono szukać, ponieważ — jak pisze Teopompos — Kallikles dopiero co się ożenił i miał w domu młodą małżonkę.

Rozdział dwudziesty szósty

Demostenes stanowczo się temu sprzeciwił i postawił wniosek, aby śledztwo w tej sprawie powierzyć radzie areopagitów z tym, że komu rada udowodni udział w przekupstwie, ten zostanie ukarany sędownie. Nic mu to nie pomogło, bo sam był jednym z pierwszych, na których Areopag wydał wyrok skazujący. Przyszedł do sądu, skazany został na pięćdziesiąt talentów grzywny i nie mogąc ich zapłacić dostał się do więzienia. Nie mogąc jednak z powodu słabego zdrowia i wstydu znieść życia w więzieniu wy dostał się stamtąd, czego jedni w ogóle nie spostrzegli, inni zaś pozwolili mu właśnie niepostrzeżenie się wymknąć.

W związku z tym opowiadają, że gdy się już nieco oddalił od miasta, zauważył idących za nim pośpiesznym krokiem jakichś ludzi. Poznał w nich swoich przeciwników i starał się przed nimi ukryć. Ale oni zawołali nań po imieniu i podszedłszy bliżej, prosili, by przyjął od nich trochę pieniędzy na drogę; oświadczyli, że w tym celu niosą je z domu i dlatego tak za nim pędzą. Jednocześnie zachęcali go, by nie tracił odwagi i nie brał sobie zbytnio do serca tego, co go spotkało. Demostenes wzruszył się podobno do łez i powiedział: „Jakże mam ciężko tego nie przeżywać, skoro muszę opuścić miasto, w którym mam takich wrogów, że gdzie indziej niełatwo by mi było znaleźć takich przyjaciół?”

Wygnańca tego nie znośli jednak po męsku. Przesiadywał przeważnie w Ajginie i w Trojdzieniu, spoglądając wciąż ze łzami w oczach w stronę Attyki. Wspominają jego wypowiedzi z tych czasów, mało dlań pochlebne i niezgodne z tym, co w młodzieńczym zapale tak pięknie głosił w swoich politycznych mowach. Piszą, że opuszczając Ateny wyciągnął ręce w stronę Akropolu i rzekł: „O, pani tego miasta, Ateno! Czemuż to upodobałaś sobie trzy najgorsze bestie: sowę, węża i lud?”

Młodym ludziom, którzy go odwiedzali, odradzał brać udział w życiu politycznym, mówiąc, że on sam, gdyby teraz miał zaczynać i gdyby mu dano do wyboru dwie drogi, jedną — wiodącą na mównicę polityczną i na zgromadzenie ludowe, a drugą — prosto do zguby, wybrałby bez namysłu tę krótką drogę ku niechybnej śmierci, bo wie, ile się człowiek w życiu politycznym musi nacerpieć krzywd, ile przeżyć strachu, zawiści, obelg i ciężkiej walki.

Rozdział dwudziesty siódmy

Ale oto jeszcze w czasie pobytu Demostenesa na wygnaniu umarł Aleksander. Hellada zaczęła znowu tworzyć jeden front antymacedoński i Leostenes, walcząc bohatersko i pomyślnie, oblegał już w Lamii pełnomocnika macedońskiego Antypatra. Z Aten musieli uciekać zwolennicy Macedonii, mówca Pyteas i Kallimedont zwany Karabosem. Obaj przeszli do Antypatra i wraz z jego przyjaciółmi i wysłannikami podjęli podróż okrężną po Helladzie, starając się nie dopuścić do tego, by Hellenowie oderwali się od Macedonii i zwiążali z Atenami. Z drugiej zaś strony Demostenes przyłączył się do ludzi posługujących z Aten do miast helleńskich i razem z nimi walczył o to, by wywołać ogólne powstanie miast przeciw Macedończykom i wyprzeć ich z całej Hellady.

Przy tej sposobności w Arkadii — jak pisze historyk Filarchos — przyszło do starcia między Pyteasem i Demostenesem na zgromadzeniu ludowym, gdzie jeden przemawiał za Macedonią, drugi bronił sprawy Hellenów. Pyteas miał

się wtedy wyrazić, że jak dom, do którego się wnosi ośle mleko, ludzie uważają za nawiedzony jakąś chorobą, tak chore musi być każde miasto, do którego wejdą posłowie ateńscy. Demostenes zaś odwrócił to porównanie mówiąc, że jak ośle mleko przynosi się chorym, aby ich uzdrowić, tak i poselstwo ateńskie niesie pomoc cierpiącym ucisk Hellenom.

Te słowa Demostenesa tak się podobały ludowi ateńskiemu, że uchwalono zezwolić Demostenesowi na powrót do Aten.

Wniosek postawił krewny Demostenesa z gminy Pajania, niejaki Demon. Wysłano nawet po Demostenesa specjalny okręt na Ajginę. A potem, gdy szedł z Pireusu do miasta, żaden urzędnik, żaden kapłan w Atenach nie pozostał w domu — wraz z nimi prawie wszyscy inni obywatele wyszli mu naprzeciw, witając go i przyjmując z radością. Demostenes wtedy — jak opowiada Demetrios z Magnazji — wyciągnął ręce w górę i błogosławił ten dzień i swoje szczęście mówiąc, że powrót jego jest jeszcze piękniejszy niż kiedyś powrót Alkibiadesa; bo obywatele, którzy jego przyjmują do miasta, robią to z przekonania i z własnej woli, a nie pod przymusem.

Ponieważ zaś ciążyła na nim jeszcze kara pieniężna — nie wolno było unieważniać tego rodzaju kary przez ułaskawienie — użyto wobec prawa pewnego wybiegu. W Atenach istniał mianowicie zwyczaj, że z okazji święta Dzeusa Wybawiciela urządzano i przyozdabiano uroczyście ołtarz tego boga, a ludziom, którzy się tym zajmowali, dobrze za to płacono. Tym razem więc powierzono tę pracę Demostenesowi i na pokrycie kosztów wyznaczono mu pięćdziesiąt talentów, a zatem sumę, na jaką opiewała ciężąca na nim grzywna.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ale niedługo cieszył się Demostenes powrotem do ojczyzny. Rychło zostały zniweczone wszystkie plany Hellenów: w miesiącu Metagejtnionie stoczono bitwę pod miastecz-

kiem Krannon, w następnym miesiącu, Boedromionie, wkroczyła już do ateńskiego portu Munichii załoga macedońska, a w miesiącu Pyanepsjonie zmarł Demostenes.

Mianowicie, kiedy nadeszła wiadomość, że Antypater i Krateros zbliżają się do Aten, Demostenes i jego stronnicy uszli czym prędzej z miasta, lud zaś na wniosek Demadesa wydał na nich wyrok śmierci. Ponieważ jednak rozproszyli się każdy w inną stronę, Antypater, chcąc ich dostać w swe ręce, zarządził pościg. Prowadził go niejaki Archias, który otrzymał stąd przydomek „zbiegołowcy”. Pochodził on z miasta Turioj i był niegdyś podobno aktorem, uczniem zaś jego miał być ów sławny aktor Polos z Ajginy, który w zakresie swej sztuki przeszedł wszystkich innych. Hermippos wymienia Archiasa wśród uczniów retora Lakrytasa, a Demetrios twierdzi, że był on słuchaczem Anaksymenesa. W każdym razie był to ów Archias, który mówcę Hyperejdesa i Arystonikosa z Maratonu, a nadto brata Demetriosa z Faleronu, Himerajosa, szukających schronienia w świątyni Ajakosa na Ajginie, przemocą stamtąd wyciągnął i odesłał do Antypatra do Kleonaj. Tam też zostali oni straceni, przy czym Hyperejdesowi — jak opowiadają — jeszcze za życia wycięto język.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Archias dowiedziawszy się, że Demostenes siedzi jako błagalnik w świątyni Posejdona na wyspie Kalaurii, przepłynął się na lekkich łodziach i wylądował tam w otoczeniu trackich siepaczy, namawiał Demostenesa, żeby poszedł z nim do Antypatra, bo może być pewny, że mu się nic złego nie stanie. Ale Demostenes przypadkowo miał owej nocy osobliwy sen. Śniło mu się mianowicie, że współzawodniczył z Archiasem w wystawianiu sztuki teatralnej i pomimo wielkiego powodzenia i przychylności widzów przepadł, ponieważ nie miał dosyć środków na wystawę sceniczną i wyposażenie chórów. Toteż słysząc od Archiasa tyle uprzejmych słów, spojrzął na niego i nie wstając

z miejsca rzekł: „Nie, Archiasie. Jak nie przekonywała mnie twoja gra na scenie, tak samo i obecnie nie przekonują mnie twoje obietnice”. A gdy Archias z gniewem zaczął mu grozić, Demostenes powiedział: „Teraz dopiero przemawiasz do mnie prawdziwie po macedońsku, bo przedtem grałeś komedię. Zaczekaj chwilę, zabierzesz ode mnie list do Aten”.

To powiedziawszy, usunął się w głąb świątyni i tam wziął do ręki papier udając, że chce pisać. Równocześnie przyłożył do ust trzcinę do pisania i chwycił ją zębami, jak to się zwykle robi, gdy człowiek się namyśla, co ma pisać. Przesiedział tak chwilę, a następnie zasłonił sobie twarz i skłonił głowę w dół. Wtedy ludzie Archiasa, którzy stali przy bramie świątyni, przekonani, że Demostenes się boi, zaczęli się z niego śmiać nazywając go nędznym tchórzem, Archias zaś podszedł do niego bliżej i zachęcając do powstania, powtarzał w koło to samo, obiecując mu pojednanie z Antypatrem. Wreszcie Demostenes czując, że trucizna rozeszła się już po organizmie i zaczyna działać, odsłonił twarz, spojrzał na Archiasa i rzekł: „Czemuż nie deklamujesz jeszcze tego, co Kreont mówi w tragedii, i nie wyrzucisz czym prędzej tego ciała, nie pozwalając go grzebać? Ja z tej świątyni, czcigodny Posejdonie, wychodzę żywy. To Antypater i Macedończycy nie zostawili bez skazy nawet twego świętego miejsca.”

Po tych słowach, czując, że już drży i nie może się utrzymać na nogach, polecił, żeby go ujęli pod ramiona. W końcu, zrobiwszy parę kroków i minawszy ołtarz boga, upadł i z głębokim westchnieniem wyzionął ducha.

Rozdział trzydziesty

Truciznę zażył Demostenes z owej trzciny do pisania, o której wspomniałem, i tak też przedstawia to Aryston. Natomiast jakiś Pappos, od którego tę wiadomość przejął Hermippos, twierdzi, że gdy Demostenes upadł już u stóp ołtarza, znaleziono na owym papierze skreślony początek

listu: „Demostenes do Antypatra...” i nic więcej. A gdy się dziwiono, że śmierć Demostenesa nastąpiła tak szybko, stojący u bramy świątynnej Trakowie mieli powiedzieć, że Demostenes wziął do ręki truciznę wyjętą z jakiegoś kawałka sukna, przyłożył ją do ust i połknął. Oni sami mieli wrażenie, że połknął złoto. Obecna przy tym młoda służąca, pytana przez Archiasa o szczegóły, miała powiedzieć, że Demostenes już od dawna nosił z sobą ten woreczek niby jakiś środek ratunku w krytycznej chwili. Pisze o tym także Eratostenes twierdząc, że Demostenes przechowywał truciznę w obrączce, która była wewnątrz pusta i którą nosił na ręce jako naramiennik. Ale nie ma potrzeby przytaczać tutaj i roztrząsać wszystkich różnic, jakie zachodzą między relacjami innych jeszcze autorów, którzy o tym piszą. Z wielkiej ich liczby wspomnę tylko o siostrzeńcu Demostenesa, mówcy Democharesie, który wyraził przekonanie, że Demostenes nie umarł od trucizny, lecz że to łaska i opatrność bogów, którzy go chcieli uratować przed okrucieństwem Macedończyków, zesłała mu śmierć tak szybką i bezbolesną.

Demostenes umarł szesnastego dnia miesiąca Pyanepsjona. Jest to dzień, który kobiety, obchodzące święto Tesmoforiów na cześć Demetry, spędzają przy posągu tej bogini w głębokim smutku i wstrzymują się od jedzenia.

Wkrótce po jego śmierci lud ateński, oddając mu cześć należną, postawił mu pomnik z brązu i uchwalił, że najstarszy członek jego rodziny ma prawo korzystać z posiłków w Prytanejonie na koszt publiczny. Na cokole pomnika umieszczono taki, powszechnie zresztą znany napis:

Gdybyś moc, Demostenesie, równą mądrości posiadał,
Nigdy by nad Hellenami miecz macedoński nie władał.

Niektórzy twierdzą, że napis ten Demostenes sam sobie ułożył na Kalaurii, kiedy się zdecydował zażyć truciznę. Ale to są już tylko niepoważne wymysły.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Na krótko przed moim wyjazdem do Aten zdarzyło się podobno, że jakiś żołnierz, wezwany przez swego dowódcę do raportu śledczego, wszystkie pieniądze, jakie miał, złożył w ręce posągu Demostenesa. Postać jego trzyma bowiem palce obu rąk ściśle z sobą splecione. Tuż obok zaś rośnie niewielki platan. Liście z tego drzewa, czy to przez wiatr zerwane, czy też przez człowieka, który tak schował swój depozyt, leżały w nieładzie na dłoniach posągu, dzięki czemu pieniądze przetrwały dłuższy czas w ukryciu. A gdy wreszcie ów żołnierz powrócił i znalazł swoje pieniądze, wieść o tym szybko rozeszła się po mieście i wielu ludzi znalazło w tym podniecie do układania coraz to dowcipniejszych epigramów na temat nieprzekupności Demostenesa.

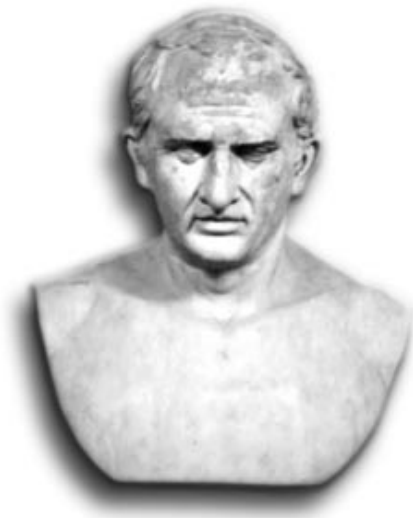
Niedługo też zażywał swej sławy Demades. Los, mszczący pamięć Demostenesa, zapędził go do Macedonii i tam przez tych samych ludzi, którym tak haniebnie schlebiał, doprowadził go do zasłużonej zguby. Już przedtem był on dla nich człowiekiem uciążliwym. Teraz stanął na domiar pod ciężkim zarzutem, od którego się uwolnić nie zdołał. Ujawniono bowiem jego listy, w których wzywał Perdykasa do uderzenia na Macedonię i wyzwolenia Hellenów, zawisłych — jak się wyraził o Antypatrze — od starego, zgniłego sznura.

Oskarżał go Dejnarchos z Koryntu, Kasander zaś wpadł z jego powodu w tak gwałtowny gniew, że syna, którego Demades trzymał na ręku, na miejscu zakłuł sztyletem, a zaraz potem kazał stracić jego samego.

Dotknięty tak strasznymi nieszczęściami Demades przekonał się o tym, co Demostenes nieraz mu mówił, ale w co on wierzyć nie chciał, mianowicie, że zdrajcy przekupują przede wszystkim samych siebie.

Oto więc masz, mój Sosjuszu, życiorys Demostenesa, taki, jaki zdołałem odtworzyć na podstawie lektury i ustnych wiadomości.

MAREK TULLIUSZ CYCERON



Rozdział pierwszy

Matka Cycerona, Helwia, pochodziła — jak powiadają — z dobrego domu i odznaczała się zacnością obyczajów. Natomiast co do jego ojca nie udało mi się zebrać pewnych wiadomości. Jedni podają, że urodził się i wychował jako syn folusznika, podczas gdy inni wyprowadzają jego ród od Attiusa Tulliusza, który sprawował ongi świetne rządy nad Wciskami i nawet nieźle bił się z Rzymianami.

Można też przypuszczać, że ten, kto pierwszy w tym rodzie otrzymał przydomek Cycerona, czyli Grochala, był człowiekiem zasługującym niewątpliwie na trwałą pamięć: dzięki temu potomkowie jego nie zarzucili tego przydomka, ale chętnie go sobie zatrzymali, choć z pewnością narażał ich na niejedną marną złośliwość. Bo po łacinie „cicer” oznacza groch, a ów pierwszy „Cyceron” miał właśnie, jak się zdaje, na końcu nosa ciemną brodawkę, podobną do grochu, i od niej otrzymał swój przydomek.

Toteż i Cyceron, o którym tu piszemy, mając rozpocząć swą karierę polityczną, gdy po raz pierwszy starał się o urząd i przyjaciele radzili mu unikać tego przydomka i zmienić go na inny, odpowiedział podobno chętnie, że postara się, aby Cyceron-Grochal stał się zaszczytniejszym przydomkiem niż nawet Skaurus-Krzywonogi lub Katulus-Szczeniak. Później zaś, gdy już jako kwesor składał na Sycylii na cześć bogów jakiś dar wotywny ze srebra, dał na nim wyryć dwa pierwsze swe imiona literami: „Marek Tulliusz...”, a zamiast trzeciego kazał rytownikowi dla żartu

wyrzeźbić obok tych liter groch. Oto, co opowiadają o samym imieniu Cyncerona.

Rozdział drugi

Cynceron urodził się trzeciego dnia nowego roku, a więc w dniu, w którym obecnie urzędnicy odprawiają modły i ofiary za cesarza. Podobno matka wydała go na świat bez bólów i bez wysiłku. Niance zaś objawiła się jakaś postać i powiedziała jej, że wychowuje „coś wielkiego na pożytek całego Rzymu”.

Z początku wydawało się to każdemu tylko marą senną i niedorzecznością. Rychło jednak, gdy tylko dorósł do lat szkolnych, dał dowód prawdziwości wróżby. Tak bowiem zabłysnął i taką sobie dzięki swym wybitnym zdolnościom zdobył sławę wśród uczniów, że ojcowie jego kolegów chodzili z nimi do szkoły, aby na własne oczy ujrzeć owego Cyncerona i przekonać się o jego pod niebiosa wysławianych postępkach i bystrości w naukach. Natomiast mniej wykształceni złościli się na swoich synów, gdy widzieli, jak idąc z Cyncerem ulicą, biorą go z szacunkiem do środka.

Człowiek ten, choć umiał — tak jak tego wymagał Platon od natury kochającej naukę i mądrość — kochać każdy przedmiot nauki i nie lekceważyć żadnej dziedziny wiedzy i wykształcenia, czuł w sobie jednak szczególny pociąg do poezji. Do dzisiaj przechował się jakiś mały utwór pt. Pontius Glaucus, napisany przez niego jeszcze w latach chłopięcych wierszem tetrametrycznym. Z biegiem czasu, przyłożywszy się jeszcze wszechstronnie do pracy nad sztuką, zyskał sobie opinię nie tylko najlepszego mówcy rzymskiego, ale i poety. O ile jednak jego sława oratorska przetrwała po dziś dzień, choć styl wymowy uległ z czasem wielkim i zasadniczym zmianom, o tyle jako poeta, w porównaniu z wielu utalentowanymi poetami, którzy żyli już po nim, Cynceron został całkowicie zapomniany.

Rozdział trzeci

Po ukończeniu nauki w szkołach początkowych Cynceron słuchał wykładów akademika Filona, który spośród uczniów Klejtomachosa zdobył sobie u Rzymian najwięcej

uznania dla swojej wymowy i najwięcej sympatii dla prawości swego charakteru. Poza tym przyswajał sobie znajomość prawa u wielkiego znawcy zagadnień politycznych i pierwszego naówczas senatora rzymskiego, Mucjusza Scewoli.

Przez jakiś czas w okresie wojny marsyjskiej odbywał także służbę wojskową pod Sullą. Potem jednak widząc, że sytuacja wewnętrzna przeradza się w wojnę domową, a z wojny domowej w nieograniczoną dyktaturę, przeszedł do życia oddanego nauce i pogłębianiu studiów: obcował wtedy dużo z uczonymi greckimi i pilnie słuchał ich nauk do czasu, gdy Sulla stał się panem położenia i w Rzymie nastąpił znowu jakiś porządek publiczny.

Wtedy to jeden z wyzwolenców Sulli, niejaki Chrysogonus, wystawił na licytację majątek jakiegoś człowieka, który został rzekomo stracony przez proskrypcję, i sam go nabył za dwa tysiące drachm greckich. Tymczasem syn i spadkobierca zmarłego, Roscjusz, oburzony tym, co go spotkało, udowodniał, że majątek ten ma wartość dwustu pięćdziesięciu talentów, a więc wart jest półtora miliona drachm. Wyszła przy tym na jaw wina Sulli, który wpadł w gniew i za sprawą Chrysogonusa wytoczył Roscjuszowi proces o ojcobójstwo. Nikt wtedy nie miał odwagi podjąć się obrony Roscjusza, wszyscy odmawiali z obawy przed gniewem Sulli. Tak więc młody człowiek opuszczony przez wszystkich uciekł się z prośbą o pomoc do Cycerona, którego przyjaciele gorąco też zachęcali do podjęcia się tej obrony twierdząc, że nigdy już potem nie nadarzy mu się równie świetna i piękna sposobność zdobycia rozgłosu przy pierwszym występie publicznym. Cyceron podjął się obrony i proces wygrał, zyskując sobie w Rzymie nadzwyczajny podziw.

Niemniej jednak wolał się ze stolicy usunąć z obawy przed Sullą. Rozpuściwszy więc pogłoskę, że wybiera się w podróż dla poratowania zdrowia, wyjechał do Grecji. Istotnie miał wadłą budowę fizyczną i był szczupły, bo z powodu niedomagania żołądka jeść mógł bardzo niewiele, i to dopiero późno wieczorem. Poza tym musiały to być same lekkie rzeczy. Głos miał dobry i silny, ale twardy jeszcze

i nie wykształcony; to zaś, że mówiąc gwałtownie i z patosem wpadał stale w wysokie tony, mogło budzić poważne obawy o ogólny stan jego zdrowia.

Rozdział czwarty

Gdy przybył do Aten, chodził pilnie na wykłady Antiocha z Askalonu i zachwycony był płynnością i pięknem jego słów; mniej natomiast podobało mu się nowatorstwo Antiocha w samej nauce. Antioch bowiem stanął już poza tak zwaną Nową Akademią i w nauce porzucił stanowisko Karneadesa. Do tego zaś kroku skłoniła go może oczywistość spostrzeganej zmysłami rzeczywistości albo też — jak twierdzą niektórzy — pewnego rodzaju ambicja osobista i chęć wprowadzenia poglądów odmiennych od poglądów szkoły Klejtomachosa i Filona, kazała mu dla odmiany hołdować w znacznej mierze nauce stoików. Cyceron jednak był zwolennikiem dawnej Akademii i tych poglądów trzymał się też z większym przekonaniem. Planował sobie przy tym, że jeśli będzie musiał zupełnie zrezygnować z udziału w życiu publicznym, to z forum sadowego i politycznego przejdzie na stałe do spokojnego życia i pracy w zakresie filozofii.

Tymczasem otrzymał wiadomość o śmierci SulH. Sam przez wytrwałe ćwiczenia doszedł już do odpowiednich sił fizycznych i zaczynał nabierać męskiej postawy. Głos jego także coraz bardziej się wyrabiał i zyskiwał przyjemną dla ucha barwę, a równocześnie zmęźniał dorównując w tym rozwojowi całego organizmu. Przyjaciele z Rzymu zasypywali go listami i prośbami, a także Antioch gorąco go zachęcał do podjęcia działalności publicznej.

Cyceron zaczął więc na nowo uprawiać wymowę jako narzędzie przyszłej swej pracy i wyrabiał w sobie odpowiednią sprawność polityczną, ćwicząc się z całą wytrwałością w wygłaszaniu przemówień i uczęszczając na wykłady wymowy do najznakomitszych jej nauczycieli. W tym celu Popłynął z Aten do Azji i na wyspę Rodos. W Azji słuchał retorów: Ksenoklesa z Adramytion, Dionizjosa z Magnezji

i Menipposa z Karii, na wyspie Rodos zaś retora Apolloniosa, syna Molona, i filozofa Posejdoniosa.

Tutaj to Apollonios, który nie znał języka łacińskiego, prosił podobno Cycerona, by swe przemówienie na ćwiczeniach wymowy wygłosił po grecku. Cyceron zgodził się na to chętnie, uważając, że w ten sposób lepiej będzie można przeprowadzić nad jego przemówieniem dyskusję, mającą na celu poprawienie usterek. Kiedy jednak skończył mówić i wszyscy starali się nawzajem prześcignąć w wyrażanych mu pochwałach i zachwytach, jeden Apollonios, który przedtem słuchał go z największym napięciem, teraz, gdy Cyceron skończył mówić, siedział dłuższą chwilę zamyślony. Wreszcie, gdy Cyceron dał z tego powodu wyraz swemu zakłopotaniu, odrzekł: „Ciebie, Cyceronie, chwale i podziwiam, ale martwi mnie los Hellady, gdy widzę, że nawet te wartości, które dotychczas były naszą wyłączną własnością — wykształcenie i wymowa — przez ciebie stają się teraz własnością Rzymu”.

Rozdział piąty

Tak więc Cyceron, pełen najlepszych nadziei, marzył już o karierze politycznej, gdy nagle zapał ten ostudziła w nim odpowiedź wyroczeni. Kiedy bowiem zwrócił się do boga delfickiego z pytaniem, w jaki sposób może zdobyć największą sławę. Pytia poleciła mu iść w życiu za głosem własnej natury, a nie kierować się opinią ludzką.

Toteż po powrocie do Rzymu zachowywał się Cyceron początkowo bardzo powściągliwie. O urzędy starał się bez większego zachodu, skutkiem czego przy wyborach bywał pomijany. Nieraz nawet musiał słuchać wypowiedzianych pod swoim adresem takich określeń, jak „Grek” albo „próżniak”, tak pochopnie i przy każdej okazji używanych przez najmniej wykształcone warstwy ludności rzymskiej.

Z czasem jednak, idąc za popędem własnej ambicji i ulegając zachętom ze strony ojca jak i przyjaciół, poświęcił się zawodowi obrońcy sądowego. Nie potrzebował przy tym

zdobywać sobie dopiero krok za krokiem przodującego miejsca wśród adwokatów, lecz od razu zabłysnął w opinii publicznej i daleko w tyle pozostawił innych mówców współzawodniczących na forum sądowym.

Zresztą i on, podobnie jak niegdyś Demostenes, miał duże braki w opanowaniu zewnętrznej formy występów krasomówczych; korzystać tu miał częściowo z nauk aktora komediowego Roscjusza, częściowo — aktora tragediowego Ezopa. Był to ów Ezop, który grając kiedyś w teatrze rolę Atreusa planującego zemstę na Tyestesie, tak się podobno przejął swą rolą, że odchodząc od zmysłów, w patetycznym napięciu gry uderzył berłem przebiegającego nagle niewolnika i zabił go na miejscu.

Niemale też znaczenie jako czynnik przekonywania miała potem w wymowie Cycerona ta zewnętrzna strona sztuki retorycznej. Sam Cyceron żartując sobie z mówców, którzy wrzaskiem pragną wygrać sprawę, mawiał później, że dają tym tylko dowód swojej bezsilności i chcą jechać na zgiełkliwym hałasie jak kulawy na koniu.

Ta zręczność w ciętych dowcipach i żartach, o ile sama przez się uchodziła za coś zupełnie zrozumiałego w praktyce sadowej i utrzymana była w formie całkiem wytwornej, o tyle jednak nadużywana przez Cycerona obrażała niektórych ludzi i wyrobiła mu opinię człowieka złośliwego.

Rozdział szósty

Gdy Cyceron został wybrany na kvestora, wylosował prowincję Sycylię. A ponieważ był to okres braku i drożyzny zboża, początkowo zraził sobie mieszkańców tej wyspy, zmuszając ich do wysyłki zboża do Rzymu. Później jednak gdy doświadczyli jego troskliwości, sprawiedliwości i uprzejmości, zaczęli go szanować bardziej niż któregokolwiek z dotychczasowych namiestników tej wyspy.

W tym czasie przysłano na Sycylię przed sąd tamtejszego pretora wielu młodych ludzi ze znakomitych domów rzymskich; oskarżano ich o brak posłuszeństwa i tchórzostwo podczas wojny. Obrony tych ludzi podjął się Cyceron

i przeprowadził ją tak wspaniale, że zdołał ich uratować. Wzbiło go to w wielką dumę i kiedy potem wracał do Rzymu, zdarzył mu się w drodze zabawny — jak sam pisze — przypadek. Spotkał mianowicie w Kampanii kogoś z wybitniejszych obywateli Rzymu i uważając go za swego przyjaciela zapytał, co tam w Rzymie mówią i myślą o jego działalności. Zdawało mu się bowiem, że jego imię i sława tego, co robił w czasie swej kwestury na Sycylii, głośne są w całym Rzymie. Na to tamten: „A gdzieżeś to, Cynceronie, był w ostatnich czasach?” To pytanie zupełnie go przygnębiło, zobaczył bowiem, że to, co o nim mówiono, utoneło w Rzymie jak w bezdennym oceanie i bynajmniej nie przyczyniło się do wzrostu jego sławy. Toteż później był już wobec siebie bardziej krytyczny i znacznie ukrócił swoją ambicję, mając świadomość, że cel jego wysiłków — sława — nie ma żadnych określonych granic i nieskończona wiedzie do niej droga.

Niemniej jednak wszelkie pochlebne słowa sprawiały mu wyjątkową radość i przez całe życie pozostała w nim ta jakaś wprost chorobliwa żądza sławy, która często psuła mu nawet wiele słuszych poczynań.

Rozdział siódmy

W miarę coraz większego udziału w życiu politycznym Rzymu doszedł do przekonania, że jeżeli prosty rzemieślnik, który posługując się przecież tylko martwym sprzętem i martwymi narzędziami, zna nazwę każdego z nich, zna ich miejsce i przeznaczenie, to i człowiek, który poświęca się sprawom życia publicznego i ma je załatwiać z pomocą innych ludzi, powinien się wstydzić, jeśli zaniedbuje i lekceważy dokładną znajomość obywateli. Starał się więc pamiętać nie tylko imiona poszczególnych osób, ale także znać miejsce ich stałego zamieszkania, ich posiadłości, przyjaciół, jakich każdy z nich posiada, ich sąsiadów. Toteż odbywając jakąś podróż, potrafił wskazać i nazwać pola i gospodarstwa swych znajomych przy każdej drodze na terenie całej Italii.

Jego własna posiadłość była wprawdzie stosunkowo niewielka, ale do zaspokojenia potrzeb życiowych zupełnie mu wystarczała. Tym bardziej więc podziwiano jego wstrzeźliwość w przyjmowaniu wynagrodzenia w formie honorarium czy podarków za usługi adwokackie — zwłaszcza gdy podjął się sprawy przeciw Werresowi.

Werres był jako pretor namiestnikiem Sycylii i dopuścił się przy tym wielu nadużyć. O to właśnie oskarżyła Werresa tamtejsza ludność, a Cynceron jako jej rzecznik ściągnął na niego w tym procesie wyrok skazujący nie przez wygłoszenie mowy, lecz — można powiedzieć — właśnie przez to, że jej nie wygłosił. Pretorowie bowiem, przychylnie usposobieni dla Werresa, ciągle odraczali termin rozprawy, wynajdując coraz to nowe przeszkody, aż wreszcie decydującą rozprawę wyznaczili na ostatni dzień swego urzędowania, wiedząc dobrze, że jednego dnia nie starczy na wygłoszenie wszystkich mów i że wobec tego wyrok nie będzie mógł zapaść. Tymczasem Cynceron powstał i oświadczył, że tu mów nie potrzeba, po czym przyprowadził świadków, kazał im złożyć zeznania i w ten sposób zmusił sędziów do przeprowadzenia głosowania.

W związku z tym procesem autorzy wspominają również niektóre dowcipne powiedzenia Cyncerona. Otóż słowo „verres” oznacza u Rzymian wykastrowanego wieprza. Kiedy więc pewien wyzwolenc, imieniem Cecyliusz, uważany za wyznawcę religii żydowskiej, starał się nie dopuścić mieszkańców Sycylii do wystąpienia przeciw Werresowi, ponieważ sam chciał go oskarżyć, Cynceron rzucił pytanie: „Co ma wspólnego Żyd z wieprzem?” Poza tym Werres miał dorastającego syna, który — według ogólnej opinii — nie strzegł piękności swego młodego wieku tak, jak przystało na chłopca z dobrego domu. Kiedy więc Werres wytknął Cynceronowi brak męskości, Cynceron odrzekł: „To właśnie możesz wytykać swoim synom we własnym domu!” Mówca Hortensjusz nie miał wprawdzie odwagi podjąć się obrony Werresa, ale dał się nakłonić do zabrania głosu, gdy chodziło o oszacowanie wyrządzonych przez niego szkód, za co też otrzymał od oskarżonego figurę sfinksa z kości słoniowej. Otóż gdy Cynceron odezwał się do Hortensjusza z czymś

dwuznacznym, a Hortensjusz odpowiedział mu, że nie umie rozwiązywać zagadek, Cynceron zdziwił się: „Jak to? Przecież masz sfinksa w domu!”

Rozdział ósmy

Werres został więc zasądzony, a odszkodowanie, jakie miał zapłacić, wynosiło tylko siedemset pięćdziesiąt tysięcy drachm. Ustalając tę sumę Cynceron ściągnął na siebie oszczercze podejrzenie, że dał się przekupić i dlatego tak obniżył wysokość odszkodowania. Tymczasem ludność Sy-cylii, poczuwając się względem niego do wdzięczności, przynosiła mu i przyprowadzała wiele dobytku i płodów ze swojej wyspy, a on sam w ogóle z nich nie skorzystał, ale piastując w tym czasie urząd edyla, wszystkie te dowody szlachetnych uczuć obracał na obniżkę cen artykułów spożywczych na rynku.

Osobiście posiadał piękny majątek koło miejscowości Arpinum, poza tym niewielkie kawałki pola w okolicy Neapolu i w pobliżu Pompejów. Do tego dochodził posag jego żony Terencji wartości stu dwudziestu tysięcy denarów oraz jakiś spadek łącznej wartości dziewięciu tysięcy denarów. Pozwalało mu to prowadzić życie wprawdzie oszczędne, ale niezależne, i gościć u siebie uczonych zarówno greckich jak i rzymskich. Sam rzadko kiedy zasiadał do stołu przed zachodem słońca, a to nie tyle z powodu nawału pracy i zajęć publicznych, ile raczej z powodu dolegliwości fizycznych, jakie mu sprawiał chorowity żołądek. W ogóle zresztą troszczył się o swe zdrowie i pielęgnował je starannie aż do przesady, tak że nawet nacieranie ciała i spacery uprawiał z matematyczną dokładnością. Ale też tylko dzięki takiej systematyczności w trosce o siły fizyczne zdołał uodpornić się przeciw chorobom i sprostać całej masie ciężkich zmaganiań i trudów.

Dom ojcowski odstąpił bratu, a sam zamieszkał w Rzymie w pobliżu wzgórza Palatyńskiego po to, by ludzie, składający mu wizyty, nie musieli odbywać dalekiej i uciążliwej drogi. A takich, co przychodzili do niego co-

dziennie rano z pozdrowieniem i ofiarowywali mu swe usługi, odwiedzała jego dom niemiejsza liczba niż dom Krassusa czy Pompejusza, którzy uchodzili wśród Rzymian za mężów najwybitniejszych i najbardziej podziwianych — jeden z powodów bogactwa, drugi przez swe wpływy i zasługi wojskowe. Zresztą Pompejusz sam składał Cynceronowi wizyty, a znów Cynceron nie mało przyczynił się przez swą polityczną działalność do potęgi i sławy Pompejusza.

Rozdział dziewiąty

Starając się o urząd pretora miał Cynceron wielu, i to bardzo poważnych rywali. Mimo to pierwszy z nich wszystkich został wybrany i ogłoszony pretorem, a sędziowski ten urząd sprawował potem — według powszechnej opinii — chwalebnie i nieskazitelnie. Dowodem tego może być sprawa, jaką miał Licyniusz Macer, człowiek już sam przez się bardzo wpływowy w Rzymie, a do tego jeszcze popierany przez Krassusa. Otóż Licyniusz, oskarżony o nadużycia finansowe, stawał przed sądem, któremu przewodniczył Cynceron; licząc na własne siły i na poparcie przyjaciół, jeszcze w czasie dyskusji sędziów nad wyrokiem, pobiegł z sądu do domu, dał sobie ostrzyc głowę, ubrał się w nową togę i czym prędzej wyszedł znowu na Forum, pewny, że proces już wygrał. Tymczasem Krassus, który wyszedł na jego spotkanie, zastąpił mu drogę u bramy podwórza i oświadczył, że został skazany wszystkimi głosami. Na to Licyniusz zawrócił do domu, położył się do łóżka i umarł. Wypadek ten przyniósł Cynceronowi sławę człowieka sprawującego swe obowiązki sędziowskie bardzo sumiennie.

Innym razem Watyniusz, który miał coś szorstkiego i lekceważącego w sposobie odnoszenia się do urzędników sprawujących swe funkcje, a poza tym posiadał na szyi pełno skrofulicznych zgrubień, przystąpił do Cyncerona w czasie rozprawy i prosił go o coś. A gdy Cynceron nie dawał mu przyzwalającej odpowiedzi i długo się zastanawiał, Watyniusz odezwał się do niego, że gdyby on był

pretorem, w ogóle by się nad tym nie namyślał. Na to Cynceron odpowiedział mu z miejsca: „Tak, ale ja nie mam tak grubego karku!”

Kiedy zaś Cynceronowi pozostawały do ukończenia pretury już tylko dwa czy trzy dni, stanął jeszcze przed nim niejaki Maniliusz, oskarżony o jakieś nadużycie. Publiczność darzyła tego Maniliusza dużą sympatią i popierała go, ponieważ myślano, że naraził się na ten proces, działając w interesie Pompejusza. Był on bowiem jego przyjacielem. Kiedy Maniliusz poprosił o odroczenie rozprawy o kilka dni, Cynceron dał mu tylko jeden dzień zwłoki. Publiczność była tym mocno oburzona, ponieważ zazwyczaj w takich wypadkach pretorowie dawali ludziom zagrożonym sądownie co najmniej dziesięć dni czasu. Trybunowie ludowi wezwali go też na mównicę i oskarżali o uchybienie w obowiązkach sędziowskich. Wówczas Cynceron poprosił o posłuchanie i oświadczył, że zawsze, gdy tylko prawo pozwalało mu na to, okazywał oskarżonym jak najwięcej ustepliwości i ludzkich uczuć, musiałby więc poczytywać sobie za niegodziwość, gdyby tego samego nie stosował do Maniliusza. „Ponieważ jednak — mówił dalej — pozostał mi jeszcze tylko jeden dzień pretury, ten więc z całą świadomością wyznaczyłem mu na rozprawę: nie uważam mianowicie, żeby oddawanie sprawy w ręce innego pretora było dowodem życzliwości dla oskarżonego.” To oświadczenie spowodowało od razu widoczną zmianę nastrojów wśród publiczności, tak że nawet zaczęto go prosić oklaskami, żeby sam podjął się obrony Maniliusza. Cynceron chętnie się na to zgodził, tym bardziej że samego Pompejusza wówczas w Rzymie nie było. Potem wystąpił jeszcze raz i wygłosił drugą mowę, w której śmiało zaatakował arystokratów i kierujących się zawiścią przeciwników Pompejusza.

Rozdział dziesiąty

Przy staraniach o konsulat poparło go jednak zarówno arystokratyczne stronnictwo optymatów, jak i ludowa partia popularów, a to ze względu na sytuację w Rzymie, ma-

jącą swe źródło w przeprowadzonych jeszcze przez Sullę zmianach ustrojowych. O ile bowiem początkowo wydawały się one nedorzeczne, o tyle po dłuższym czasie nabrały w oczach ogółu, który zżył się z nimi, charakteru czegoś opartego na dość silnych podstawach.

Tymczasem znaleźli się ludzie, którzy starali się znowu obalić i zmienić istniejący stan rzeczy, mając przy tym na celu wyłącznie osobiste korzyści, a nie naprawę rzeczypospolitej, i korzystając z tego, że Pompejusz walczył jeszcze na Wschodzie z królami Pontu i Armenii, a w Rzymie nie było chwilowo żadnych sił zbrojnych odpowiednich do walki z rewolucjonistami. Przywódcą tych ludzi był Lucjusz Katylina, człowiek śmiały i przedsiębiorczy, ale zmienny w swym postępowaniu, który też oprócz innych zbrodni dopuścił się kazirodztwa ze swą dorosłą córką i dokonał morderstwa na własnym bracie; potem, bojąc się za to odpowiedzialności sądowej, nakłonił Sullę, żeby imię zabitego umieścił na liście proskrybowanych, jak gdyby jeszcze żył.

Tego człowieka zatem obrali sobie wywrotowcy na wodza, przy czym między innymi sposobami zaprzysiężenia wzajemnej wierności zastosowali i ten, że wszyscy kosztowali mięsa z człowieka, zabitego w tym celu na ofiarę. Katylina przyczynił się niemało do demoralizacji młodzieży rzymskiej, w każdej chwili ułatwiając każdemu zabawy, pijatyki i stosunki z kobietami.

Udało im się podburzyć do powstania całą Etrurię i dużą część Galii przedalpejskiej. Największe jednak niebezpieczeństwo przewrotu groziło samemu Rzymowi, a to z powodu różnic majątkowych: ludzie, którzy dotychczas mieli największe znaczenie i poczucie własnej wyższości, stracili majątki na teatry i ucztę, na zdobywanie urzędów i budowę wspaniałych domów, a bogactwa ich skupiły się w rękach jednostek, należących dotychczas do warstw ubogich i upośledzonych. Wystarczył więc tylko lekki ruch, żeby zburzyć równowagę sytuacji, i każdy, kto tylko miał w sobie dość odwagi, obalić mógł panujący porządek w państwie, już i tak trawionym wewnętrzną chorobą.

Rozdział jedenasty

Katylina pragnął znaleźć dla przeprowadzenia swych planów odpowiednio silny punkt oparcia i to skłoniło go do ubiegania się o konsulat. Żywił przy tym niemałe nadzieje, że zostanie konsulem wraz z Gajuszem Antoniuszem, człowiekiem, który wprawdzie sam przez się nie umiał sprawą pokierować ani na lepsze, ani na gorsze, ale pod kierownictwem drugiego mógłby się przyczynić do pomnożenia jego sił.

Te plany Katyliny zrozumieli jednak w porę ludzie uczciwi i zdrowo myślący, i dlatego przy wyborach na konsulów wysunęli kandydaturę Cynceron. Stronnictwo ludowe przyjęło ją również chętnie, wskutek czego Katylina przepadł, a konsulami zostali Cynceron i Gajusz Antoniusz. Warto zauważyć, że wśród ubiegających się o ten urząd Cynceron był jedynym kandydatem, pochodzącym ze stanu rycerskiego, a nie senatorskiego.

Rozdział dwunasty

Tak więc przygotowania Katyliny zostały na razie wstrzymane i ogół jeszcze się w nich nie zorientował. Pierwsze rozgrywki na większą skalę przypadły już na początku konsulatu Cynceron. Z jednej strony bowiem silna i liczna grupa ludzi, których ustawy Sulli odsunęły od udziału w rządach, pragnąc dojść do władzy, wicherzyła wśród ludu i podnosiła wiele skarg i zarzutów przeciw samowładnej dyktaturze Sulli, zgodnych z prawdą i słusznych, ale wstrząsających podstawami państwa nie we właściwej porze i bez naglącej potrzeby. Z drugiej strony trybunowie ludowi wystąpili z projektem dotyczącym tej samej sprawy, postanawiając powołać do życia komisję dziesięciu obywateli o nieograniczonych pełnomocnictwach, którzy byliby uprawnieni do przeprowadzenia w całej Italii, w całej Syrii i na innych świeżo przez Pompejusza podbitych terenach sprzedaży dóbr państwowych, oraz mogliby każdego według własnego uznania pociągać do odpowie-

działności sądowej i skazywać na wygnanie, kolonizować miasta, rozporządzać skarbem publicznym, przeprowadzać pobór wojska i utrzymywać odpowiednią armię, zależnie od bieżącej potrzeby.

Te uprawnienia pociągały wiele znakomitych osobistości rzymskich, a przede wszystkim kolegę Cyncerona w konsulacie, Antoniusza, który spodziewał się, że zostanie jednym z dziesięciu członków owej komisji. Poza tym był on niewątpliwie wtajemniczony w wywrotowe plany Katyliny, które aprobował z powodu ogromnej ilości ciężących na nim długów. To właśnie najbardziej niepokoiło arystokratyczne stronnictwo optymatów.

Otóż Cynceron, chcąc sobie pozyskać przede wszystkim tego człowieka, przeprowadził głosowanie nad przydziałem prowincji, dzięki czemu Antoniusz otrzymał Macedonię, sam Cynceron zaś dobrowolnie zrzekł się przydzielonej mu prowincji Galii. Tym pociągnięciem tak sobie zobowiązał Antoniusza, że ten jak najęty aktor grał ową drugorzędną rolę dla dobra ojczyzny.

Złapawszy i obłaskawiwszy Antoniusza, Cynceron zaczął już z większą odwagą występować przeciw zamachom na istniejący porządek rzeczy. Przede wszystkim więc wygłosił w senacie mowę potępiającą projekt nowej instytucji i przemówieniem tym tak pogiębił wnioskodawców, że ani słowem nie umieli mu odpowiedzieć. Potem jednak po przeprowadzeniu odpowiednich przygotowań dokonali nowej próby i wezwali konsulów do wypowiedzenia się przed zgromadzeniem ludowym. Cynceron nie uląkł się tego, wezwał senat, by poszedł za nim, wstąpił na mównicę i nie tylko obalił projekt ustawy, ale doprowadził do tego, że trybunowie ludowi zrezygnowali ze stawiania dalszych wniosków: tak dalece rozbroiło ich jego przemówienie.

Rozdział trzynasty

Nikt lepiej od Cyncerona nie pokazał Rzymianom, ile ujmującej siły może dodać słowo szlachetnej sprawie, nikt ich tak nie przekonał, że sprawiedliwość i słusność zawsze

zwycięży, jeśli tylko zostanie w mowie należycie przedstawiona, i że dbający o dobro ogółu maż stanu w czynach musi zawsze przekładać szlachetną sprawę nad schlebianie tłumom, a w słowach od wszystkiego, co służy dobru ogółu, oddzielić to, co sprawia mu przykrość.

Przykładem uroku wymowy Cyncerona jest jego wystąpienie w związku z zajściami w teatrze, w czasie gdy sprawował konsulat. Dotychczas ludzie ze stanu rycerskiego siedzieli w teatrze po społu z resztą publiczności i razem z ludem z tych samych miejsc przyglądali się przedstawieniom. Dopiero ówczesny pretor Marek Oton, wyróżniając rycerzy, oddzielił ich od reszty obywateli i przyznał im w teatrze osobne miejsca, które do dziś dnia są ich przywilejem. Lud jednak poczuł się tym obrażony i kiedy Oton zjawił się w teatrze, przyjął go z szyderstwem i wygwizdał. Rycerze przeciwnie — przywitali go głośnymi oklaskami. Na to lud zaczął jeszcze bardziej gwizdać, a tamci powtórzyli oklaski. W końcu wynikła gwałtowna kłótnia i obie strony zaczęły się wzajemnie obrzucać obelgami. W teatrze powstało zamieszanie. Dowiedział się o tym Cynceron. Przyszedł na miejsce i wezwał lud, żeby udał się z nim pod świątynię Bellony. Tam przemówił, udzielając tłumowi nagany i przestróg. Skutek był taki, że gdy lud wrócił znowu do teatru, obsypał Otona rzęsyistymi oklaskami i wraz z rycerstwem prześcigał się w objawach czci i uznania dla tego człowieka.

Rozdział czternasty

Tymczasem spiskowcy z otoczenia Katyliny, którzy początkowo ułękli się i trochę przycichli, znowu zaczęli nabierać odwagi, urządzali wspólne narady i wzajemnie się zachęcali, by śmieiej przystąpić do dzieła i opanować sytuację przed powrotem Pompejusza, który — jak mówiono — wracał już z wojskami do Rzymu. Najbardziej podburzali Katylinę do buntu dawni żołnierze Sulli, rozproszeni po całej Italii. Najwięcej z nich, i to najbitniejszych, siedziało po miastach i marzyło o nowych rozbojach i grabieży cudzego mienia. Mieli oni wśród siebie Maniliusza, jednego

z tych, co się szczególnie odznaczyli w armii Sulli, pod jego dowództwem przyłączyli się do Katyliny, a nawet przybyli do Rzymu, żeby go poprzeć przy zbliżających się wyborach. Katylina bowiem znowu zgłosił kandydaturę na konsula, decydując się równocześnie na zamordowanie Cyncerona podczas zamieszek wywołanych w okresie wyborów.

Nawet boskie siły przez trzęsienie ziemi, błyskawice i inne zjawiska wyraźnie zapowiadały wypadki owych dni. Doniesienia różnych ludzi były niewątpliwie oparte na prawdzie, ale jeszcze nie wystarczające do wystąpienia przeciw człowiekowi tak znanemu i potężnemu, jakim był Katylina.

Na razie Cynceron odłożył wybory i wezwał Katylinę do senatu na przesłuchanie w sprawie krążących o nim wiadomości. Katylina, przekonany, że większość ludzi w senacie tak samo jak on pragnie przewrotu politycznego, a równocześnie chcąc się pokazać współtowarzyszom spisku, z furją odpowiedział Cynceronowi: „Cóż strasznego robię, jeśli widząc przed sobą dwa organizmy, jeden słaby i przeżyty, choć posiada głowę, a drugi silny i zdrowy, ale bez głowy, chcę sam temu drugiemu nałożyć głowę na kark?”

Zagadkowe te słowa, w których kryła się wyraźna aluzja do senatu i mas ludowych, dosyć zaniepokoiła Cyncerona. To też na Pole Marsowe poszedł ubrany w pancerz, w otoczeniu wszystkich wpływowych obywateli i liczego orszaku młodych ludzi, którzy go odprowadzili z domu aż na miejsce wyborów. Tam zaś umyślnie rozpiął trochę na ramieniu swą togę, aby spod niej widać było ten pancerz, mający uprzytomnić grożące niebezpieczeństwo. I istotnie, oburzony tłum otoczył go zwartym kołem i głosował tak, że Katylina znowu przepadł, a na konsulów wyznaczeni zostali Syllanus i Murena.

Rozdział piętnasty

Niedługo potem, kiedy w Etrurii gromadzili się już i formowali ludzie Katyliny i gdy zbliżał się ustalony dzień zamachu stanu, do domu Cyncerona przybiegli o północy pierwsi najbardziej wpływowi obywatele Rzymu, Marek

Krassus, Marek Marcellus i Scypion Metellus. Zapukali do drzwi i wywoławszy odźwiernego, kazali mu zbudzić Cyncerona i zawiadomić o ich przybyciu. Chodziło mianowicie o to, że odźwierny Krassusa doręczył mu po kolacji listy, przyniesione przez jakiegoś nieznanego człowieka i zaadresowane do różnych osób, w tym jeden anonimowy list do samego Krassusa. Ten jeden list Krassus przeczytał; było to zawiadomienie, że w Rzymie nastąpi straszna rzeź, przygotowana przez ludzi Katyliny, a zarazem ostrzeżenie, żeby się z miasta usunął. Dalszych listów Krassus już nie czytał, lecz natychmiast udał się do Cyncerona, przerażony groźącym niebezpieczeństwem i chcąc zarazem odwrócić od siebie winę, do której się poczuwał z powodu przyjaznych stosunków z Katyliną.

Cynceron zastanowił się nad sytuacją i o świcie zwołał posiedzenie senatu, na które przyniósł ze sobą owe listy. Tam wręczył je ludziom, do których były adresowane, i kazał je głośno odczytać. Wszystkie bez wyjątku mówiły o zamachu. Ponadto były pretor Kwintus Arriusz zameldował o formowaniu wojsk na terenie Etrurii i dowiedziano się, że Manliusz z silnym oddziałem siedzi pod tamtejszymi miastami i ciągle wyczekuje jakiejś wiadomości ze stolicy.

To skłoniło senat do uchwalenia dekretu, który bezpieczeństwo republiki składał w ręce konsulów, a ci utrzymawszy to uprawnienie mieli zgodnie z najlepszym swym sumieniem kierować sytuacją w państwie, by je ocalić. Trzeba pamiętać, że zdarza się to bardzo rzadko: tylko wtedy senat ucieka się do tego środka, gdy nad państwem zawiśnie jakaś naprawdę wielka groza.

Rozdział szesnasty

Otrzymawszy tę władzę, Cynceron powierzył kierownictwo sprawami poza Rzymem Kwintusowi Metellusowi, sam zaś wziął w swe ręce miasto. Wczesnym rankiem wychodził z domu w otoczeniu ludzi, uzbrojonych we włócznie, w takiej liczbie, że gdy wkraczał z nimi na Forum, zajmowali dużą część placu.

Katylina nie mogąc dłużej zwlekać postanowił sam pośpieszyć do obozu Manliusza, a Marcjuszowi i Cetegusowi kazał pójść o świcie pod dom Cyclerona niby to w celu ofiarowania mu swych usług i złożenia wyrazów uszanowania, w rzeczywistości zaś dla dokonania zamachu na jego życie.

Ale o tym zawiadomiła już Cyclerona jedna z poważniejszych kobiet rzymskich, niejaka Fulwia. Przyszła do niego w nocy i poleciła mu strzec się Cetegusa i jego towarzyszy. Ci rzeczywiście przybyli, skoro tylko się rozwidniło, a gdy nie dopuszczono ich do bramy domu, zaczęli się oburzać i awanturować przy drzwiach, co tym bardziej wydało się podejrzane.

Cyceron wyszedłszy później na miasto zwołał senat do świątyni Jowisza, zwanego przez Rzymian Statorem. Stoi ona na Forum u wylotu Świętej Drogi, wiodącej na wzgórze Palatyńskie. Zjawił się tam również Kąty lina ze swymi współnikami, by bronić się przed zarzutami. Ale gdy zajął miejsce, żaden z senatorów nie chciał siedzieć obok niego — wszyscy opuścili swe ławy i przenieśli się na inne. Kiedy zaś zaczął mówić, zakrzyczano go, a Cyceron powstał i wezwał go do opuszczenia murów stolicy. „Ja — powiedział — kieruję rzecząpospolitą za pomocą słowa, ty chcesz to robić za pomocą broni: musi więc przedzielać nas mur”.

Katylina opuścił więc niezwłocznie bramy Rzymu w towarzystwie trzystu uzbrojonych ludzi i jak wysoki urzędnik, w otoczeniu liktorów z różgami i toporami, pomaszerował do Manliusza. Gdy zebrało się już przy nim blisko dwa tysiące ludzi, rozpoczął marsz od miasta do miasta i nakłaniał je do buntu. Wojna była nieunikniona, do walki z Katyliną wezwano więc drugiego konsula, Antoniusza.

Rozdział siedemnasty

Przekupionych przez Katylinę ludzi, którzy pozostali w Rzymie, zebrał koło siebie i zagrzewał do czynu Korneliusz Lentulus z przydomkiem Sura. Był to człowiek znakomitego pochodzenia, ale w życiu prowadził się źle i z powo-

du rozpusty został nawet usunięty niegdyś z senatu. Wówczas jednak piastował po raz wtóry urząd pretora; tak robili zazwyczaj wszyscy, którzy chcieli na nowo odzyskać godność senatorską.

Z owym przydomkiem rzecz miała się podobno tak: Lentulus będąc w czasach Sulli kwestorem sprzeniewierzył i roztrwonił dużo pieniędzy publicznych. Rozgniewany Sulla kazał mu zdać z tego sprawę w senacie. Lentulus jednak wystąpił naprzód i lekceważąco, pogardliwie oświadczył, że sprawozdania złożyć nie może, ale może zebrany pokazać łydkę — tak jak pokazują chłopcy przy grze w piłkę, kiedy zrobią błąd. Od tego czasu miał przydomek Sura. Bo w języku łacińskim wyraz „sura” oznacza łydkę.

Kiedy indziej ten sam Lentulus mając sprawę sądową przekupił kilku sędziów. A gdy został zwolniony od kary większością zaledwie dwu głosów, powiedział otwarcie, że niepotrzebnie wydał pieniądze na jednego z dwu sędziów: wystarczyłoby mu bowiem, gdyby uzyskał przewagę większością tylko jednego głosu.

Człowieka z takim charakterem, pozyskanego przez Katylinę, gubiły w dodatku puste nadzieje i obietnice, robione mu przez różnych rzekomych proroków i czarodziejów, którzy dawali mu fałszywe wróżby i przepowiednie, niby to wyjęte z Ksiąg Sybillińskich. Mówiły one, że z woli przeznaczenia trzej Korneliusze mają być w Rzymie samowładnymi panami: dwóch już dokonało swego losu, mianowicie Cynna i Sulla; pozostał jeszcze jeden Korneliusz i oto zbliża się spełnienie woli nieba, niosącej mu samowładne panowanie. Trzeba tylko, by natychmiast wziął władzę w ręce, a nie marnował tylu okazji zwlekając jak Katylina.

Rozdział osiemnasty

Niemale więc i nieblahe były plany Lentulusa. Postanowił on wymordować cały senat i ilu tylko zdoła obywateli oraz spalić do szczętu całe miasto, nie oszczędzając nikogo oprócz dzieci Pompejusza. Te mianowicie chciał porwać i zatrzymać jako zakładników przy ewentualnych

układach z samym Pompejuszem. Dużo bowiem pewnych wiadomości nadchodziło już do Rzymu o jego powrocie z tej olbrzymiej wyprawy wojennej.

Ustalono nawet noc do wykonania tego zamachu. Miała to być jedna z nocy przypadających na okres Saturnaliów. Broń, pochodnie i zapasy siarki zniesiono do domu Cetegusa i tam ukryto. Do podpalenia Rzymu wyznaczono stu ludzi i na tyleż części podzielono miasto, tak by na każdego człowieka przypadała jedna część i aby miasto, w tylu na raz punktach podpalone, w najkrótszym czasie całe stanęło w płomieniach. Inni mieli przerwać dopływ wody, a ludzi, noszących wodę do gaszenia pożaru, mordować.

W czasie tych przygotowań znaleźli się przypadkiem w Rzymie dwaj posłowie z kraju Allobrogów, którzy bardzo byli wówczas uciskani i z niechęcią znosili ciężar rzymskiego panowania. Lentulus i jego towarzysze uznali, że posłowie ci mogą się przydać do wywołania rozruchów i powstania w Galii, toteż wciągnęli ich także do udziału w sprzysiężeniu. Wręczyli im nawet pismo do tamtejszej rady starszych, a nadto list do Katyliny: Allobrogom przyrzekali w tym piśmie wolność, Katylinę natomiast wzywali, by obdarzył wolnością niewolników i jak najszybciej poprowadził ich na Rzym. Razem z posłami wysłano do Katyliny jakiegoś Tytusa z miasta Krotonu, i on właśnie nosił do niego wspomniany list.

Ale spiskowcy okazali się ludźmi, na których nie można było polegać. Spotykali się przeważnie przy winie i w towarzystwie kobiet, więc nic dziwnego, że Cynceron, zadając sobie niemało trudu, rozumując trzeźwo i wnikając bystro we wszystkie szczegóły, mógł śledzić każdy ich krok. Poza tym miał na służbie wielu ludzi, którzy obserwowali, co się dzieje w mieście, i współpracowali z nim w wywiadzie, a nadto kilku takich, którzy tylko pozornie należeli do spisku, a potajemnie przychodzili do niego na poufne rozmowy. W ten sposób dowiedział się Cynceron o układzie spiskowców z Allobrogami. Nocą więc pojmał z zasadzki owego Krotoniatę i przejął niesione przez niego pismo, w czym zresztą dopomogli mu potajemnie sami Allobrogowie.

Rozdział dziewiętnasty

Gdy nastał dzień, Cynceron zwołał senat do świątyni Zgody, przeczytał głośno przejęte pisma i przesłuchał ludzi, którzy mieli odpowiednie wiadomości. Między innymi Syllanus Juniusz oświadczył, że pewni ludzie słyszeli, jak Cetegus mówił, iż zginąć ma trzech konsulów i czterech pretorów. Podobne wiadomości miał także skądinąd były konsul Pison. Poza tym wysłano Gajusa Sulpicjusza, jednego z pretorów, do domu Cetegusa i rzeczywiście znaleziono tam całe składy pocisków i różnego rodzaju broni, przede wszystkim mieczów i sztyletów — wszystko świeżo naostrzone. W końcu senat, zapewniwszy owemu Tytusowi z Krotonu bezpieczeństwo osobiste w zamian za złożenie zeznania, udowodnił Lentulusowi planowane zbrodnie. Lentulus musiał złożyć urząd pretorski, na miejscu zdjąć z siebie togę z purpurowym obramowaniem i zmienić szatę na inną, bardziej odpowiednią w jego sytuacji. Następnie zarówno jego jak i jego współników oddano w ręce pretorów, którzy mieli zatrzymać ich pod strażą, ale bez kajdan.

Zapadł już wieczór i zgromadzony lud czekał jeszcze na Forum, gdy na mównicę wystąpił Cynceron i powiadomił obywateli o wypadkach. Potem, odprowadzany przez tłumy, udał się do domu przyjaciela sąsiada, ponieważ w jego własnym domu kobiety urządziły misteryjne uroczystości ku czci bogini zwanej przez Rzymian Dobrą Boginią, a przez Hellenów Boginią Kobiet. Ofiarę na jej cześć składa się co roku w domu konsula za pośrednictwem jego żony lub matki i w obecności Westalek.

Wszedłszy do domu sąsiada i znalazłszy się na uboczu, Cynceron zastanawiał się wraz z kilku obecnymi, co począć z tymi ludźmi. Zastosować wobec nich najwyższą i zupełnie zasłużoną karę za tak wielkie zbrodnie — tego się na razie wystrzeżał. Wzdragał się przed tym z wrodzonej łagodności usposobienia, a przy tym wołał uniknąć podejrzeń i zarzutów, że nadużywa władzy i zbyt surowo nastaje na los ludzi, którzy pochodzili przecież z pierwszych rodzin i mieli w Rzymie potężnych przyjaciół. Z drugiej strony

jednak — lękał się niebezpieczeństwa grożącego mu z ich strony, w razie gdyby się obszedł z nimi zbyt łagodnie. Przypuszczał bowiem, że poniosłszy karę łagodniejszą niż kara śmierci nie zadowolą się tym, ale dołączywszy do dawnych zbrodni nową nienawiść, posuną się do najdalszych granic zuchwałości. Sam zresztą naraziłby się na opinię człowieka mało energicznego i bojaźliwego, choć już i tak w oczach ogółu nie uchodził za zbyt odważnego.

Rozdział dwudziesty

Gdy Cynceron tak się kłopotał, co dalej robić, w jego domu tymczasem kobietom składającym ofiary pokazał się jakiś cudowny znak. Zdawało się bowiem, że ogień na ołtarzu już zupełnie wygasł, a tu nagle z popiołu i spalonego na węgiel drewna buchnął wielki i wspaniały płomień. Kobiety rozbiegły się na wszystkie strony, Westalki zaś poleciły żonie Cyncerona, Terencji, pójść czym prędzej do męża i zachęcić go, by dla dobra ojczyzny śmiało przeprowadził wszystko, co uzna za słuszne, ponieważ bogini daje mu dużo światła do ratunku i sławy. Terencja, która z usposobienia w ogóle nie była kobietą łagodną ani bojaźliwą, ale raczej ambitną, i jak mówi Cynceron, chętniej sama brała na siebie jego troski o ojczyznę, niż obarczała go własnymi troskami o dom, powiedziała mężowi o tym, co zaszło, i podburzyła go przeciw spiskowcom. Podobnie postąpił także brat jego, Kwintus, oraz jego towarzysz studiów filozoficznych, Publiusz Nigidiusz, z którego rad Cynceron dużo korzystał we wszystkich ważniejszych sprawach politycznych.

Następnego dnia przyszło w senacie do debaty nad sposobem ukarania tych ludzi. Zapytany o zdanie, pierwszy przemówił Syllanus i opowiedział się za tym, żeby zastosować najwyższy wymiar kary i odprowadzić ich do więzienia. Do jego zdania przyłączali się potem jeden po drugim wszyscy inni senatorowie, aż przyszła kolej na Gajusza Cezara, późniejszego dyktatora. Był on wówczas człowiekiem jeszcze młodym i stał dopiero u począt-

ków swej wielkości. Niemniej jednak już wtedy w polityce i w planach swoich wkroczył na drogę, której celem była zmiana ustroju Rzeczypospolitej w monarchię. Inni tego nie dostrzegali, ale Cynceron już wtedy powziął co do niego poważne podejrzenia, jakkolwiek nie miał jeszcze żadnego oczywistego dowodu. Słyszało się nawet zdania, że Cezar wymknął się Cynceronowi w chwili, gdy omal nie został przez niego złapany. Inni jednak twierdzą, że Cynceron świadomie nie uwzględniał doniesień na Cezara i pomijał je milczeniem, bojąc się jego przyjaciół i jego wpływów w Rzymie: dla każdego bowiem było rzeczą jasną, że raczej oni przyłożyliby rękę do ocalenia Cezara niż Cezar do ich ukarania.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kiedy więc przyszła kolej na Cezara, powstał i opowiedział się za tym, żeby tych ludzi nie karać śmiercią, ale skonfiskować ich majątki, a ich samych odstawić do miast italskich, wyznaczonych przez Cyncerona, i tam trzymać w więzieniu pod strażą do czasu ukończenia wojny z Katyliną.

Była to myśl całkiem ludzka, a ten, który z nią wystąpił, był nie byle jakim mówcą. Niemało też przyczynił się do jej przewagi sam Cynceron; bo gdy zabrał głos, rozważał sprawę z obu punktów widzenia, częściowo przyznając rację pierwszemu wnioskowi, częściowo wnioskowi Cezara. Wszyscy przyjaciele Cyncerona uważali, że dla niego osobiście korzystne jest zdanie Cezara, motywując to tym, że jeśli się wstrzyma od kary śmierci, mniej będzie później narażony na oskarżenia i zarzuty. Wybrali więc raczej ten drugi wniosek, wskutek czego Syllanus zmienił zdanie i ponownie zabrawszy głos tłumaczył się, że i on nie myślał o karze śmierci, za najwyższy bowiem wymiar kary wobec senatora rzymskiego uważa więzienie.

Ale wypowiedzi tej sprzeciwił się gwałtownie najpierw Lutatius Katulus, a zaraz po nim Katon. Ten

w przemówieniu swoim ostro podkreślił podejrzenia kierowane przeciw samemu Cezarowi, napelnił senatorów oburzeniem i natchnął nowym duchem, tak że ostatecznie przy głosowaniu wydano na uwięzionych wyrok śmierci.

Wobec tego Cezar sprzeciwił się konfiskacie ich majątków, twierdząc, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą odrzucać z jego wniosku to, co w nim było ludzkiego, a wykonywać jedynie to, co było w nim najsurowsze. Większość senatorów oparła się temu i Cezar odwołał się do trybunów ludowych. Ci wprawdzie nie chcieli o niczym słyszeć, ale ustąpił sam Ciceron, wobec czego wniosek o konfiskacie majątków upadł.

Rozdział dwudziesty drugi

Po tym posiedzeniu Ciceron wraz z senatem udał się do więźniów. Nie byli oni umieszczeni w jednym miejscu, każdy bowiem pretor strzegł innego skazańca. Najpierw Ciceron zabrał z Palatynu Lentulusa i otoczony przez najznakomitszych obywateli niosących włącznie prowadził go Świętą Drogą przez Forum, a lud patrzył na to, co się działo, z odrazą i przechodził obok w milczeniu. Zwłaszcza młodzież miała wrażenie, jakby wśród przerażenia i dziwów tej chwili przechodziła jakieś wtajemniczenie w misteria dawnych swobód arystokracji.

Przeszedłszy przez Forum, zatrzymał się Ciceron przed więzieniem, oddał Lentulusa katowi i kazał go zgładzić. Potem przyprowadzono i stracono w ten sposób Cetegusa i każdego z pozostałych uwięzionych.

Ale wielu ludzi, należących do tego spisku, stało jeszcze gromadą na Forum: nie wiedzieli oni, co zaszło, oczekiwali więc nocy, przekonani, że tamci jeszcze żyją i będzie ich można przemocą uwolnić. Widząc to Ciceron zawołał głośno w ich stronę: „Już dokonali żywota”. Tak bowiem Rzymianie określają fakt śmierci, kiedy nie chcą używać wyrazów złowróżbnych.

Nastał już wieczór, gdy Ciceron wracał do domu przez

Forum. Teraz obywatele nie odprowadzali go już w milczeniu, ustawieni w szeregi, ale tłumnie witali oklaskami i okrzykami, nazywając go zbawcą i wskrzesicielem ojczyzny. Liczne światła oświetlały wąskie ulice, przy bramach ustawiono lampy i pochodnie. Kobiety wyszły na tarasy dachów, aby zobaczyć i uczcić tego człowieka, kroczącego uroczyście w towarzystwie obywateli z najznakomitszych domów. Wielu z nich było zwycięzcami w wielkich wojnach, wielu odbyło wspaniałe triumfy, zdobywszy dla Rzymu rozległe lądy i morza. Ale w tym pochodzie wszyscy przyznawali, że wprawdzie swe bogactwo, łupy i potęgę naród rzymski zawdzięcza niejednemu z ówczesnych wodzów i pretorów, jednakże utrzymanie i ocalenie tego wszystkiego zawdzięcza wyłącznie samemu Cynceronowi, który odwrócił od rzeczypospolitej tak wielkie i straszne niebezpieczeństwo.

Podziw budziło zresztą nie tyle stłumienie spisku i ukaranie jego przywódców, ile raczej fakt, że choć ze wszystkich przewrotów, jakie kiedykolwiek Rzym przeżył, ten był najgroźniejszy, mimo to zgnieciony został kosztem najmniejszych ofiar, bez wzajemnych walk i bez wewnętrznych zaburzeń. Bo i z ludzi, którzy byli w porozumieniu z Katylina, przeważna część, dowiedziawszy się o losach Lentulusa, Cetegusa i innych, opuściła go i uciekła. Sam Katylina wraz z podobnymi do niego szaleńcami utracił swe wojska i zginął w rozstrzygającej bitwie z armią konsula Antoniusza.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jednakże znaleźli się ludzie, gotowi z tego powodu prześladować Cyncerona słowem i czynem, a przywódcami ich byli wyznaczeni na najbliższy rok urzędnicy: Cezar jako pretor, Metellus i Bestia jako trybunowie ludowi. Objąwszy urząd, gdy Cynceronowi pozostawało jeszcze kilka dni do ukończenia konsulatu, nie pozwolili mu już występować na zgromadzeniach ludowych, zatarasowali mównicę ławami i robiąc mu trudności nie dopuszczali

go do głosu. Oświadczyli, że jeśli chce, może jedynie złożyć przysięgę, iż zrzeka się urzędu, po czym musi mównicę opuścić. Cynceron godząc się na złożenie tej przysięgi wszedł na mównicę, ale gdy nastąpiła cisza, wypowiedział ją nie w tradycyjnej formie, lecz w nowym, własnym ujęciu, mówiąc, że zbawił ojczyznę i uratował państwo rzymskie. Za nim zaś te same słowa przysięgi powtórzył cały lud.

Rozgniewało to jeszcze bardziej Cezara i trybunów. Zaczęli knuć nowe intrygi przeciw Cynceronowi i przeprowadzili postanowienie, by wezwać do Rzymu Pompejusza wraz z wojskami celem ukrócenia udzielnych rządów konsula.

Tymczasem wielką podporą Cyncerona i Rzeczypospolitej okazał się ówczesny trybun ludowy Katon. Zwalczał on politykę tamtych, mając równą z nimi władzę, ale większą powagę osobistą. Toteż nie tylko łatwo obalił ich plany, ale nadto w przemówieniu swoim w tak wspaniałym świetle przedstawił konsulat Cyncerona, że uchwalono dla niego najwyższe z przyznawanych dotychczas odznaczeń i nadano mu tytuł „ojca ojczyzny”. Był on — jak się zdaje — pierwszym człowiekiem, którego spotkał ten zaszczyt, ponieważ tak właśnie nazwał go przed ludem Katon.

Rozdział dwudziesty czwarty

Cynceron cieszył się w tym czasie największym znaczeniem w państwie, ale sam zrażał sobie obywateli, budząc ich niechęć nie przez jakieś niegodziwe czyny, lecz przez swoją chępliwość i ciągle wynoszenie samego siebie w pochwałach. Dokądkolwiek się przyszło, do senatu, na zgromadzenie ludowe czy do sądu, wszędzie musiało się słuchać nieustannej gadaniny o Katylinie i Lentulusie. Wreszcie nawet swoje książki i pisma zaczął wypełniać tymi pochwałami. Każda najpiękniejsza i najbardziej porywająca jego mowa wywoływała przesyt i niesmak u słuchaczy, ponieważ każda była jak gdyby zarażona tą nieznośną chorobą jego chępliwości.

Ale mimo tak wielkiej żądzy sławy uchronił się Cyce-ron od zawiści w stosunku do innych i bez cienia zazdrości wygłaszał pochwały różnych dawniejszych i współczesnych mu ludzi. Można się o tym przekonać na podstawie jego własnych pism i wielu innych zachowanych wzmianek. Tak na przykład o Arystotelesie powiedział, że jest jak nurt rzeczny płynący złotem, a o dialogach Platona wyraził się, że tak właśnie mówiłby sam Jowisz, gdyby miał mówić językiem ludzi. Teofrasta nazywał zwykle swoją rozkoszą. Zapytany raz o mowy Demostenesa, którą z nich uważa za najpiękniejszą, odrzekł: „Te, która jest najdłuższa”. Co prawda, niektórzy ludzie, podający się za szczególnych wielbicieli Demostenesa, czepiają się pewnej wypowiedzi Cycerona umieszczonej w jednym z jego listów do przyjaciół, gdzie pisze, że Demostenes w swoich mowach tu i ówdzie się zdrzemnął. Ale nie pamiętają oni o wielkich słowach uznania i podziwu, jakimi Cyce-ron wielokrotnie obdarza tego polityka, i zapominają, że swoje mowy przeciw Antoniuszowi, w które włożył najwięcej trudu i staranności, sam nazywał właśnie filipikami.

Podobnie wśród współczesnych mu wybitniejszych mówców czy uczonych nie ma ani jednego, któremu by Cyce-ron nie dodał rozgłosu, życzliwie o każdym bądź pisząc, bądź mówiąc. Dla perypatetyka Kratypposa wyjednał nawet u Cezara, kiedy ten był już panem Rzymu, prawo obywatelstwa rzymskiego, a w ateńskiej radzie Areopagu przyczynił się do przeprowadzenia uchwały, dzięki której zaproszono Kratypposa na stały pobyt do Aten, aby uczyć młodzież stał się chlubą tego miasta.

Cyce-ron pisze o tym w liście do Herodesa, a nadto w liście do syna, któremu nakazuje uczęszczać do Kratypposa na naukę filozofii.

Natomiast mówcy Gorgiasowi robi wyrzuty, że uczy chłopca tylko przyjemności i picia, i zabrania synowi jego towarzystwa. Jest to jeden z jego listów greckich, drugi — do Pelopsa z Bizancjum — także pisany jest z pewnym gniewem. Na Gorgiasa, trzeba przyznać, unosi się zupełnie słusznie, jeśli istotnie był on takim złym i zepsutym

człowiekiem, za jakiego uchodził. Ale do Pelopsa ma pretensje próżne i małostkowe, robi mu bowiem wyrzuty, że nie postarał się o uchwalenie dla niego przez mieszkańców Bizancjum pewnych odznaczeń i zaszczytów.

Rozdział dwudziesty piąty

Oczywiście grała tu rolę ta sama ambicja, która nieraz doprowadzała go do tego, że dla podkreślenia swej zręczności w wymowie rezygnował nawet z przyzwoitości. Kiedyś Munatius dzięki temu, że bronił go Cynceron, uszedł kary sądowej, potem jednakże sam wytoczył sprawę przyjacielowi Cyncerona, Sabinusowi. Cynceron wpadł wtedy w taką wściekłość, że powiedział: „Nie myśl sobie, Munatiusie, że sam byłbyś uniknął wówczas kary sądowej, gdybym ja nie przesłonił sędziom światła gęstą mgłą ciemności”.

Innym razem wśród hucznych oklasków publiczności wygłosił Cynceron z mównicy na Forum pochwałę Marka Krassusa. Ale już w kilka dni później wyrażał się o nim znowu ujemnie. A gdy Krassus zwrócił mu uwagę: „Jak to? Czyż sam przed paru dniami nie wygłaszałeś tu na moją cześć mowy pochwalnej?” Cynceron odrzekł: „Owszem — chciałem na tak marnym przedmiocie wypróbować dla ćwiczenia swą sprawność w wymowie.”

Pewnego razu Krassus zauważył, że ani jeden z Krassusów w Rzymie nie żył dłużej niż sześćdziesiąt lat. Ale później wypierał się tych słów, pytając: „Cóż bym miał za powód, żeby tak mówić?” Na to Cynceron: „Wiedziałeś, że Rzymianom sprawisz tym przyjemność, i chciałeś się im przypodobać”.

Kiedy Krassus wyrażał swój zachwyt dla twierdzenia stoików, że „mędrzec jest bogaty”, Cynceron dodał: „Zastanów się, czy raczej nie chcą przez to powiedzieć, że Wszystko należy do mędrca”. Była to aluzja do osławionej zachłanności Krassusa na pieniądze.

Jeden z dwóch synów Krassusa bardzo był podobny do jakiegoś Aksjosa, co ściągnęło na jego matkę sromotne

podejrzanie o stosunki z tym człowiekiem. Otóż młody Krassus wygłosił raz w senacie przemówienie, które się spotkało z ogólnym uznaniem. Wówczas Cynceron, zapytany, co o tym myśli, odrzekł po grecku: „Aksjos Krassu”, to znaczy godny Krassusa.

Rozdział dwudziesty szósty

Krassus, wybierając się do Syrii, chciał jednak mieć w Cynceronie raczej przyjaciela niż wroga i dlatego bardzo grzecznie napomknął, że chciałby z nim zjeść kolację. Cynceron przyjął go oczywiście uprzejmie. W kilka dni później przyszli do niego przyjaciele w sprawie Watyniusza, który był wrogiem Cyncerona, i oświadczyli, że Watyniusz pragnie się pojednać i żyć z nim w przyjaźni. Na to Cynceron: „Ale chyba Watyniusz nie chce być u mnie także na kolacji!”

Taki był stosunek Cyncerona do Krassusa.

Ów Watyniusz miał szyję nabrzmiałą od skrofułów i gdy raz przemawiał w sądzie, Cynceron nazwał go „nadętym” retorem. Kiedy zaś doszła do jego uszu wieść o śmierci Watyniusza, a wkrótce potem dowiedział się znowu z całą pewnością, że Watyniusz jednak żyje, wykrzyknął: „A niechże zginie marnie ten, co tak marnie skłamał!”

Gdy Cezar przeprowadził ustawę o podziale dóbr w Kampanii na rzecz swoich żołnierzy, wielu ludzi w senacie wyraziło z tego powodu swe oburzenie, a niejaki Lucjusz Gelliusz, najstarszy bodaj z nich wszystkich, oświadczył, że dopóki on żyje, nigdy do tego podziału nie dojdzie. Na to Cynceron: „Zaczekajmy więc, Gelliusz żąda tak niewielkiej zwłoki...”

Żył też wówczas jakiś Oktawiusz, któremu wytykano, że pochodzi z Afryki. Gdy przy jakiejś rozprawie sądowej ów Oktawiusz powiedział, że nie dosłyszał Cyncerona, ten odparł: „Rzecz jasna — masz przecież dziurę w uchu!”

Metellus Nepos pozwolił sobie raz na uwagę, że Cynceron więcej ludzi zgubił jako świadek oskarżenia, niż uratował jako obrońca. Wtedy Cynceron mu odrzekł: „Owszem,

przyznaję, że więcej jest we mnie godnej zaufania rzetelności niż adwokackiej zręczności w wymowie".

Jakiś młody człowiek został oskarżony o otrucie ojca, któremu miał podać truciznę w pieczywie. Ale nie tracił pewności siebie i twierdził, że obrzuci Cynceron obelżywymi słowami. A Cynceron: „Chętniej przyjmę to od ciebie niż ciastko”.

Publiusz Sestiusz wziął sobie raz Cyncerona wraz z kilku innymi na adwokatów w jakiejś sprawie sądowej. Ale potem chciał wszystko sam mówić i nikogo nie dopuszczał do głosu. Kiedy zaś było widać, że sędziowie go uniewinnią, i już zaczęli oddawać swe głosy, Cynceron rzucił taką uwagę: „Korzystaj dzisiaj, Sestiuszu, z dobrej sposobności: jutro będziesz znowu człowiekiem prywatnym”.

Publiusz Kosta chciał uchodzić za dobrego prawnika, w rzeczywistości jednak był tępym nieukiem. Zdarzyło się, że Cynceron wezwał go w jakiejś sprawie na świadka do sądu. Gdy Kosta oświadczył, że nic o tym nie wie, Cynceron na to: „Ach, ty myślisz, że pytają cię o coś z zakresu prawa?”

Kiedyś Metellus Nepos w sprzeczce z Cynceronem powtórzył raz i drugi pytanie: „Kim właściwie jest twój ojciec, Cynceronie?” A Cynceron: „Tobie trudniej byłoby odpowiedzieć, kim jest twoja matka!” Matka tego Metellusa uchodziła bowiem za bardzo rozwiązłą kobietę. On sam zresztą był także człowiekiem lekkomyślnym. Kiedyś rzekł się nagle trybunatu i popłynął na okręcie do Syrii do Pompejusza, a potem jeszcze bardziej nieoczekiwanie stamtąd powrócił. Toteż później, gdy pogrzebał uroczyscie swego nauczyciela Filagrosa i na grobie jego umieścił wyrzeźbionego w kamieniu kruka, Cynceron nie omieszkał zauważyć: „To najmądrzejsze twoje pociągnięcie. Bo rzeczywiście zrobił z ciebie raczej latawca niż mówcę”.

Marek Appiusz, przemawiając raz w sądzie, powiedział na wstępie, że przyjaciel prosił go, by dołożył w jego sprawie wszelkich starań i użył całej swej wymowy i powagi. Podchwycił to Cynceron i rzekł: „Cóż za nieugięty z ciebie człowiek, żeś ze wszystkich rzeczy, o które cię prosił przyjaciel, nie dał mu ani jednej”.

Rozdział dwudziesty siódmy

O ile jednak tego rodzaju złośliwe dowcipy, zwrócone przeciw osobistym wrogom lub godzące w przeciwników sądowych, uchodzą nawet za zaletę mówcy, o tyle nie-miłe żarty, mające na celu tylko ośmieszenie drugich, ściągnęły na Cynceron dużo nienawiści. Wspomnę tu również kilka takich żartów:

Marek Acylliusz miał dwóch zięciów na wygnaniu i Cynceron nazwał go złośliwie Adrastosem.

Kiedy Lucjusz Kotta, który bardzo lubił wino, pełnił urząd cenzora, Cynceron starał się o konsulat i mając raz pragnienie, napił się wody. A ponieważ dokoła stali wtedy jego przyjaciele, powiedział do nich: „Macie rację, że mnie zasłaniacie, bojąc się, by cenzor nie miał mi za złe, że pije wodę!”

Spotkawszy na drodze Watyniusza, idącego w towarzystwie trzech swych córek bardzo skąpej urody, zadekla-mował:

Ten ci wbrew Apollina woli płodził dzieci!

Marek Gelliusz, którego podejrzewano, że nie pochodził z ludzi wolnych, przeczytał raz w senacie jakieś pi-smo głośno i dobitnie. Na to Cynceron: „Nie dziwcie się! On także jest jednym z byłych wywoływaczy publicznych.”

Faustus Sulla był synem znanego dyktatora rzymskiego, który przez proskrypcję zgubił wielu ludzi i wystawił ich mienie na sprzedaż publiczną. Kiedy ów Faustus znalazł się potem w długach i wielką część majątku roztrwo-nił, a resztę wystawił na licytację, Cynceron zauważył: „Ta licytacja w każdym razie bardziej mi się podoba od tej, jaką uprawiał ojciec!”

Rozdział dwudziesty ósmy

Przez takie postępowanie Cynceron narobił sobie dużo wrogów. Między innymi powstałi przeciw niemu ludzie, skupiający się koło Klodiusza, od którego też wszystko się zaczęło.

Klodiusz pochodził z rodu arystokratycznego. Wiekiem był wprawdzie jeszcze młody, ale z usposobienia hardy i zuchwały. Zakochawszy się w żonie Cezara, Pompei, zakradł się raz potajemnie do jego domu, ubrany w strój cytryzyski z instrumentem muzycznym w ręku. Kobiety urządały wtedy w domu Cezara owe ofiary misteryjne, niedostępne dla oczu mężczyzn, i w domu nie było ani jednego mężczyzny. Klodiusz, będąc jeszcze młodzieńcem bez zarostu, miał nadzieję, że nie zostanie rozpoznany i że razem z kobietami uda mu się dotrzeć do Pompei. Kiedy jednak wszedł nocą do ogromnego domostwa, nie mógł się zorientować w rozkładzie jego korytarzy i zaczął błądzić. Zauważyła to służebna matki Cezara, Aurelii i zapytała go o imię. Zmuszony do odezwania się, powiedział, że szuka służącej Pompei, imieniem Abra. Owa służebna poznawszy męski głos podniosła krzyk i zwołała inne kobiety. Te poodmykały drzwi, przeszukały wszystko, bo Klodiusz tymczasem uciekł, i złapały go w końcu w izbie jednej ze służących, z którą razem wszedł do tego domu.

Zajście stało się od razu głośnie w całym Rzymie. Cezar usunął Pompeję ze swego domu, a Klodiuszowi któryś z trybunów ludowych wytoczył proces o świętokradztwo.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Początkowo Cynceron żył z Klodiuszem w zupełnie dobrych stosunkach i w okresie zajść z Katyliną miał w nim nawet gorliwego pomocnika i osobistego stróża. Ale gdy Klodiusz, pozwany przed sąd, wypierał się przestępstwa i twierdził, że w tym czasie w ogóle nie był w Rzy-

mie, lecz przebywał gdzieś w odległych dobrach, Cynceron świadczył przeciw niemu, stwierdzając, że Klodiusz był wówczas u niego w domu i rozmawiał z nim o pewnych sprawach.

I to było prawdą. Cynceron jednak powiedział to, jak się zdaje, nie gwoli prawdy, lecz po to, by uwolnić się od zarzutów ze strony własnej żony, Terencji. Nienawidziła ona Klodiusza z powodu jego siostry Klodii, która podobno chciała się wydać za Cyncerona i starała się o to za pośrednictwem jakiegoś Tulliusza z Tarentu. Był to dobry znajomy Cyncerona i żył z nim w najbardziej zażyłych stosunkach, a równocześnie często zajeżdżał do Klodii, która mieszkała w pobliżu domu Cyncerona, i składał jej wizyty. To właśnie dawało Terencji powody do podejrzeń. A że była kobieta z natury zawzięta i nad Cyncerona miała w domu zupełną przewagę, poduszczyła go, by w jej interesie wystąpił przeciw Klodiuszowi i przeciw niemu składał w sądzie zeznania.

Zresztą wielu innych, i to bardzo poważnych ludzi zeznawało także przeciw Klodiuszowi, oskarżając go o krzywoprzysięstwo, o lekkomyślne oszustwa, o przekupywanie ludu, o uwodzenie kobiet. Lukullus przyprowadził nawet służące, które zeznały, że Klodiusz miał stosunki miłosne ze swą najmłodszą siostrą, kiedy ta była jeszcze żoną Lukullusa. Wiele też mówiono o jego współżyciu z obu pozostałymi siostrami, z których jedna, imieniem Tertia, była żoną Marcjusza Reksa, a drugą, Klodię, miał za żonę Metellus Celer. Nazywano ją także Kwadrantarią, ponieważ któryś z kochanków posłał jej kiedyś zamiast srebra sakiewkę napelnioną miedzakami, a Rzymianie najmniejszą monetę miedzianą nazywają kwadrantem. Ta siostra najbardziej też psuła sławę Klodiuszowi.

Jednakże lud przeciwstawiał się wówczas tym, którzy występowali i świadczyli przeciw Klodiuszowi, i sędziowie dla bezpieczeństwa obstawili sąd posterunkami straży, a tabliczki przy głosowaniu oddawali przeważnie z obiema literami. Mimo to gdy okazało się, że większość sędziów głosowała za uniewinnieniem Klodiusza, zaczęto mówić, że nie obyło się przy tym bez przekupstwa. Dla-

tego Katulus, natknawszy się na sędziów tego procesu, powiedział im: „Istotnie mieliście powód, żeby żądać postępków dla własnego bezpieczeństwa: baliście się, żeby wam ktoś nie zabrał pieniędzy”. A gdy Klodiusz wytknął Cynceronowi, że jako świadek nie znalazł wiary u sędziów, Cynceron odparł: „Owszem, dwudziestu pięciu sędziów uwierzyło moim słowom, bo tylu cię potępiło. Ale tobie nie wierzyło trzydziestu: żaden z nich cię nie uwolnił, dopóki nie dostał do ręki pieniędzy”.

Poza tym jest faktem, że Cezar, wezwany na świadka, nie mówił nic przeciw Klodiuszowi. Oświadczył, że nic nie wie o cudzołóstwie żony, a jeżeli ją odsunął od siebie, to tylko dlatego, że małżeństwo Cezara musi być wolne nie tylko od hańbiących postępów, ale nawet od cienia złej opinii.

Rozdział trzydziesty

W ten sposób Klodiusz uszedł kary, a gdy potem wybrany został trybunem ludowym, natychmiast podjął walkę z Cynceronem, wykorzystując do tego każdą sposobność, skupiając koło siebie i buntując przeciw niemu wszystkich obywateli. Masy pozyskał sobie przez korzystne dla ludu ustawy, a dla obu konsulów postarał się o przydział wielkich prowincji, tak że Pisonowi przypadła Macedonia, a Gabiniusowi Syria. Nadto wciągnął do swych planów politycznych wielu ludzi, znajdujących się bez środków do życia, a przy sobie miał stale gromadę uzbrojonych niewolników.

Z trzech najbardziej podówczas wpływowych ludzi w Rzymie Krassus prowadził z Cynceronem otwartą walkę, Pompejusz dąsał się na obu, a Cezar wraz z wojskiem zabierał się do wyprawy na Galie. U niego też Cynceron starał się znaleźć bezpieczne schronienie, jakkolwiek Cezar wcale nie był jego przyjacielem i od czasu zajść z Katyliną odnosił się do niego nieufnie. Mimo to Cynceron zdecydował się wyruszyć z Cezarem jako jego legat wojskowy, a Cezar przyjął chętnie tę propozycję.

Klodiusz jednak widząc, że Cynceron wymknie mu się z rąk w czasie jego trybunatu, zaczął udawać, że chce się z Cynceronem pojednać: większość nieporozumień między nimi zwał na Terencję, Cyncerona wspominał zawsze bardzo życzliwie i wyrażał się o nim jak najlepiej, jak gdyby nie czuł do niego nienawiści ani urazy, a miał tylko pretensje o drobiazgi, co się zdarza i między przyjaciółmi. Tak dalece więc uspił wszelkie obawy Cyncerona, że ten zrezygnował ze służby w wojsku Cezara i znowu zabrał się do polityki.

Cezar poczuł się tym bardzo dotknięty. Teraz więc nie tylko Klodiusza umocnił w jego zamiarach, ale także Pompejusza rozmyślnie odwrócił od Cyncerona, a sam na zgromadzeniu ludowym oświadczył, że jego zdaniem skazanie na śmierć Lentulusa, Cetegusa i innych bez postępowania i wyroku sądowego było niezgodne z etyką i z prawem. To bowiem było głównym zarzutem przeciw Cynceronowi i o to wytoczono mu potem sprawę.

Znalazłszy się w obliczu niebezpieczeństwa i zagrożony dochodzeniem sądowym, Cynceron zmienił szatę na żałobną, zapuścił brodę i włosy i tak chodził po mieście, prosząc lud o łaskę. Wszędzie jednak, w każdej uliczce, zachodził mu drogę Klodiusz w otoczeniu ludzi zuchwałych i bezczelnych, którzy naigrawali się bezkarnie z tej zmiany w stroju Cyncerona i w całym jego wyglądzie i przeszkadzali mu w zanoszeniu próśb do ludu, nieraz nawet obrzucając go kamieniami i błotem.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Mimo to cały prawie stan rycerski również zmienił swój ubiór na żałobny, a nadto nie mniej niż dwadzieścia tysięcy młodych ludzi z zapuszczonymi włosami towarzyszyło Cynceronowi i popierało jego prośby. Potem zebrał się senat i chciał uchwalić zarządzenie, wzywające lud do zmiany szat na znak żałoby jak w czasie wielkich nieszczęść publicznych. Ale sprzeciwili się temu obaj konsulowie, a Klodiusz z uzbrojonymi ludźmi krążył pod

gmachem posiedzeń senatu. Widząc to, znaczna grupa senatorów wypadła z sali posiedzeń na ulicę i rozdarła na sobie szaty, głośno wyrażając swą boleść. Skoro jednak i ten widok na nic się nie zdał i nie wzbudził w nikim litości i wstydu, nie pozostało Cynceronowi nic innego, jak tylko uciekać albo sprawę z Klodiuszem rozstrzygnąć siłą i żelazem.

Cynceron zwrócił się jeszcze o pomoc do Pompejusza. Pompejusz jednak rozmyślnie usunął się wtedy z Rzymu i przebywał na wsi w swoich dobrach koło Gór Albańskich. Najpierw więc wysłał Cynceron z prośbami do Pompejusza swego zięcia Pisona. Potem udał się osobiście. Pompejusz dowiedziawszy się o jego przybyciu, nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy: z jednej strony bowiem czuł się ogromnie zawstydzony wobec tego człowieka, który stoczył dla niego tyle ciężkich bojów i w dużej mierze kierował polityką pod kątem widzenia jego interesów, z drugiej zaś strony jako zięć Cezara liczył się z jego życzeniami i ostatecznie dla niego wyparł się dawnego długu wdzięczności wobec Cyncerona. Innymi drzwiami wymknął się więc z domu i uciekł przed tym spotkaniem.

Tak zatem Cynceron, zdradzony przez Pompejusza i opuszczony przez wszystkich, szukał w końcu ratunku u konsulów. Gabiniusz jednak odnosił się do niego zawsze nieprzychylnie. Pison zaś przeprowadził z nim bardzo uprzejmą rozmowę, radząc mu opuścić Rzym, usunąć się z drogi atakom Klodiusza i przeczekać, a gdy czasy zmienią się na lepsze, stać się po raz wtóry zbawcą ojczyzny, która przez Klodiusza popadła w nowe wewnętrzne walki i nieszczęścia.

Otrzymawszy taką odpowiedź, Cynceron postanowił poradzić się przyjaciół. Lukullus kazał mu zostać na miejscu, twierdząc, że w końcu musi wyjść z tego zwycięsko. Inni radzili mu pójść na wygnanie, w przekonaniu, że lud bardzo szybko za nim zatęskni, kiedy już będzie miał dosyć szaleństw i głupich wybryków Klodiusza.

Cynceron zdecydował się na to drugie. Zaniósł więc jeszcze na Kapitol posąg Minerwy, który od dawna miał w domu i otaczał wyjątkową czcią, i postawił tam jako

wotum z napisem: „Minerwie, opiekunce Rzymu”. Potem otrzymawszy od przyjaciół ludzi, którzy go mieli bezpiecznie odprowadzić, około północy wyszedł z miasta i przez Lukanię pieszo podążył w kierunku Sycylii.

Rozdział trzydziesty drugi

Skoro ucieczka Cyclerona wyszła na jaw, Klodiusz przeprowadził formalną już uchwałę skazującą go na wygnanie i wydał rozporządzenie, które wszystkim mieszkańcom państwa rzymskiego w promieniu pięciuset mil nakazywało wzbraniać mu ognia, wody i dachu nad głową.

Mało kto jednak przywiązywał wagę do tego rozporządzenia wobec czci, jaką wszyscy otaczali Cyclerona: każdy okazywał mu całą życzliwość w czasie tej wędrówki. Jedynie Wibiusz w lukańskim mieście Hipponium, zwanym dzisiaj Wibo, człowiek, który odebrał od Cyclerona wiele dowodów życzliwości, a za konsulatu jego został nawet naczelnikiem oddziałów rzemieślniczych, nie wpuścił go teraz do swego domu, tylko obiecał mu odstąpić miejsce w swej posiadłości wiejskiej, gdzie mógłby się zatrzymać. A pretor Sycylii, Gajusz Wergiliusz, także jeden z tych, którzy bardzo dużo zawdzięczali Cycleronowi, zawiadomił go pismem, że nie wolno mu wylądować na Sycylii.

Po takich doświadczeniach Cycleron, przybity na duchu, pośpieszył do Brundisjum i tam wsiadł na okręt odpływający do Dyrrachium. Ale niebawem pomyślny wiatr się zmienił, okręt nazajutrz zawinął z powrotem do Brundisjum i dopiero za drugim razem dotarł do Dyrrachium. Opowiadają nadto, że gdy Cycleron po przybyciu do tego portu chciał wysiąść na ląd, nastąpiło trzęsienie ziemi i morze silnie się wzburzyło. Wróżbicy przepowiedzieli mu na tej podstawie niedługi pobyt na wygnaniu, tłumacząc, że są to znaki zapowiadające zmianę.

Wielu ludzi, wiedzionych współczuciem i życzliwością, odwiedzało Cyclerona w Dyrrachium, a miasta helleńskie prześcigały się w przysyłaniu do niego honorowych poselstw. Ale on spędzał dni przeważnie w smutku i przy-

gnębieniu i tylko na Italię spoglądał jak nieszczęśliwy kochanek. Pod wpływem tego ciosu stał się małym i słabym człowiekiem; nikt by się nie spodziewał, że ktoś, co przez całe życie studiował filozofię, tak może podupaść na duchu. Nieraz przecież zwracał uwagę swoim przyjaciołom, żeby nie nazywali go mówcą, lecz filozofem, bo filozofię obrał sobie jako właściwy przedmiot studiów, natomiast wymowa służy mu tylko w razie potrzeby za narzędzie w pracy politycznej. Tymczasem żądza sławy ma taką siłę, że zdolna jest z duszy ludzi oddających się działalności publicznej spłukać wszelki rozum jak farbę, a przez stałe ich obcowanie i współzycie z masami wszczepić im w serce namiętności ludzi pospolitych; chyba że ktoś z całą świadomością zachowuje taki stosunek do rzeczy zewnętrznych, że bierze wprawdzie udział w samym biegu spraw, ale pozostaje przy tym niedostępny dla zbyt silnych podniet i uczuć, jakie się z tymi sprawami wiążą.

Rozdział trzydziesty trzeci

Wypędziwszy Cyncerona z Rzymu, Klodiusz spalił jego domy na wsi, spalił jego dom w Rzymie i postawił w tym miejscu świątynię wolności. Resztę majątku próbował sprzedać i codziennie wywoływał go przy licytacji, ale nikt nie chciał kupić ani kawałka ziemi.

Z kolei zaczął się stawać coraz groźniejszy dla arystokratów i pociągawszy za sobą rozpuszczone i rozzuchwalone masy ludowe, zaatakował samego Pompejusza: zniósł mianowicie szereg zarządzeń przeprowadzonych przezeń na stanowisku głównego dowódcy. Pompejusz widząc, że to podważa jego opinię, sam zaczął żałować okazanej Cynceronowi obojętności. Zmienił więc taktykę i wszelkimi siłami starał się przy pomocy jego przyjaciół umożliwić mu powrót do Rzymu. A gdy Klodiusz zaczął temu gwałtownie przeciwdziałać, senat powziął postanowienie, że żadnej bieżącej sprawy nie zatwierdzi, żadnej nie załatwi, dopóki nie zapadnie uchwała przyznająca Cynceronowi prawo powrotu.

W następnym roku jednak, za konsulatu Lentulusa, ruchy w Rzymie jeszcze bardziej przybrały na sile, niektórzy z trybunów ludowych zostali ranni, a brat Cycerona, Kwintus, ledwie uszedł śmierci, padając na ziemię między trupami i udając zabitego.

Wtedy i lud zaczął zmieniać zdanie. Z trybunów ludowych Anniusz Milon pierwszy zdobył się na odwagę, by Klodiusza pozwać do odpowiedzialności karnej za popełnione bezprawia i gwałty publiczne. Pompejusz zaś pozyskał już sobie wielu zwolenników zarówno wśród ludu, jak i w okolicznych miastach italskich. Wystąpił więc z tymi ludźmi na Forum, wypędził stamtąd Klodiusza i wezwał obywateli do głosowania. I lud głosował za odwołaniem Cycerona podobno tak jednomyślnie, jak mu się to nigdy dotychczas nie zdarzało. A senat, nie chcąc pozostać w tyle, ogłosił publiczną pochwałę wszystkich miast, które Cyceronowi w czasie wygnania okazały gotowość do usług, i wydał rozporządzenie o odbudowie na koszt publiczny zburzonych przez Klodiusza domów Cycerona na wsi i w Rzymie.

Powrót Cycerona nastąpił w szesnastym miesiącu od chwili opuszczenia Rzymu. We wszystkich miastach po drodze witano go z taką radością, wszędzie ludność okazywała mu takie względy, że to, co Cyceron później o tym mówił, nie oddawało nawet części prawdy. Powiedział zaś w jednej z mów, że Italia na barkach swoich zniosła go do Rzymu. Nawet Krassus, który przed wygnaniem Cycerona był jego wrogiem, teraz chętnie wyszedł na jego spotkanie i starał się z nim pojednać, robiąc to, jak mówił, dla syna swojego, Publiusza, gorącego wielbiciela Cycerona.

Rozdział trzydziesty czwarty

W jakiś czas potem Cyceron, wykorzystując moment, gdy Klodiusz wyjechał z Rzymu na wieś, poszedł z całą gromadą ludzi na Kapitol, gdzie kazał usunąć i zniszczyć tablice z czasów jego trybunatu, na których były wypisane przeprowadzone przez niego rozporządzenia i uchwały.

A gdy Klodiusz wniósł o to skargę, Cynceron oświadczył mu, że jako patrycjusz nieprawną drogą doszedł do trybunatu ludowego i że żadne jego zarządzenie nie posiada mocy obowiązującej.

Katon jednak przyjął to z oburzeniem i sprzeciwił się temu. Oczywiście nie miał zamiaru chwalić i bronić Klodiusza, przeciwnie, na całą jego działalność polityczną patrzył z odrazą. Ale wskazywał, że byłoby to groźnym naruszeniem praworządności, gdyby senat przegłosował nagle zniesienie tylu ustaw i dekretów prawnych, między którymi znajduje się też — jak mówił — jego własna delegacja na Cypr i do Bizancjum i związane z nią postanowienia.

To wystąpienie doprowadziło do pewnych niesnasek między Katonem a Cyncerem, jakkolwiek niesnaski te nigdy nie przerodziły się w jawnie wrogi stosunek. Niemniej jednak ich serdeczna przyjaźń doznała pewnego ochłodzenia.

Rozdział trzydziesty piąty

Klodiusz zginął w końcu za sprawą Milona, który został z tego powodu oskarżony o morderstwo. Na obrońcę sądowego wziął sobie Milon Cyncerona. Ale senat obawiał się, by w czasie procesu nie doszło do rozruchów, gdy przed sądem stanie w obliczu niebezpieczeństwa człowiek tak popularny i tak nieugięty, jakim był Milon. Dla zapewnienia więc bezpieczeństwa i spokoju na mieście i w sądach, senat powierzył przewodnictwo w tym i w innych procesach samemu Pompejuszowi, który już w nocy zamknął w tym celu Forum od szczytów wzgórzy posterunkami wojskowymi. Skutkiem tego znowu Milon bał się, że Cynceron przerażony tym niezwykłym widokiem będzie go bronił za słabo. Dlatego też wymusił na nim, żeby na Forum przybył w lektyce i pozostał w niej tak długo, aż zejda się sędziowie i sąd wypełni się ludźmi.

Lecz Cynceron, jak wiadomo, nie tylko na widok broni tracił odwagę, ale i na mównicę wstępował zawsze z pew-

nym lakiem: bardzo trudno przychodziło mu opanować drżenie i bicie serca nawet wtedy, gdy po wielu występach wymowa jego w pełni się już wydoskonalila i oparła się na silnych podstawach. Mając bronić Licyniusza Mureny w procesie wytoczonym mu przez Katona, za wszelką cenę starał się przewyższyć Hortensjusza, który swym przemówieniem odniósł nadzwyczajny sukces: pracował całą noc bez przerwy i w końcu, wskutek przemęczenia umysłu i braku snu, poszło mu gorzej, niż sam się spodziewał.

Tak więc i na procesie Milona, kiedy wyszedłszy z lektyki ujrzał Pompejusza siedzącego na podwyższeniu jak w obozie wojskowym i błyskającą broń żołnierzy dokoła Forum, zmieszał się i ledwie mógł przemówić, trzęsąc się cały i z trudem dobywając głosu. Tymczasem Milon stał koło niego w czasie rozprawy pewny siebie i nieustraszony, bez zapuszczonych włosów, bez szaty żałobnej, niezdolny do takiego ponizenia; to zresztą najbardziej przyczyniło się do jego skazania. Natomiast Cynceron wyglądał dzięki temu raczej jak zaniepokojony przyjaciel, niż jak człowiek z natury tchórzliwy.

Rozdział trzydziesty szósty

Po śmierci Krassusa Młodszeo, który zginął w kraju Partów, Cynceron został wybrany na jego miejsce członkiem kolegium kapłanów, zwanych w Rzymie augurami. Później otrzymał przez losowanie zarząd prowincji Cylicji; przydzielono mu wojska w liczbie dwanaście tysięcy piechoty i tysiąc sześćset jazdy, z którymi odpłynął na wschód, mając równocześnie polecenie przywieść Kapadocję do zgody i posłuszeństwa wobec króla Ariobardzanesa. Polecenie to wykonał bez użycia broni i wszystko nienagannie przeprowadził do porządku. W Cylicji zaś, gdzie klęski Rzymian w wojnie z Partami i rozruchy w Syrii budziły nastroj podniecenia, opanował sytuację przez łagodne rządy.

Nie przyjmował tam żadnych darów, nawet tych, które mu przysyłali królowie, a mieszkańców prowincji zwolnił od obowiązku urządzania na jego cześć uczt, którymi

zwykle podejmowano namiestników prowincji. Natomiast dla ludzi z miejscowej inteligencji sam wydawał u siebie codzienne przyjęcia, wprawdzie nie wystawne, ale i nie skąpe. W mieszkaniu jego nie było odźwiernego, ale też nie dopuszczał, by go ktoś kiedykolwiek zastał jeszcze w łóżku. Od świtu stał lub przechadzał się przed domem, przyjmował ludzi, przychodzących do niego z pozdrowieniem. Nikogo — jak mówią — nie bił kijami, z nikogo nie kazał ściągać odzienia, w gniewie nie odzywał się do ludzi obelżywie ani ich niesprawiedliwie nie karał. Kiedy się dowiedział, że rozgrabiono wiele pieniędzy publicznych, miastom kazał przywrócić ich zasobność, a ludzi, którzy sobie te pieniądze przywłaszczyli, dalej nie ścigał, umożliwiając im przez to zachowanie praw obywatelskich.

Trochę jednak miał tam do czynienia również z wojną: zmusił mianowicie do ucieczki bandy rozbójników, mieszkające w okolicy góry Amanus. Żołnierze obwołali go za to imperatorem. Kiedy zaś mówca Celiusz prosił go potem, żeby mu przysłał z Cylicji do Rzymu kilka panter potrzebnych do jakiegoś publicznego widowiska, Cynceron, dumny ze swych sukcesów, odpowiedział mu w liście, że w Cylicji nie ma już panter, bo wszystkie uciekły do Karii, niezadowolone z tego, że tylko z nimi prowadzi się wojnę, podczas gdy wszystko inne zażywa tam spokoju.

Wracając z tej prowincji, zatrzymał się na wyspie Rodos, a potem z wielką radością zawinął na dłuższy pobyt do Aten, dokąd wiodła go tęsknota za dawnymi znajomymi z czasów studiów. Złożył więc wizyty czołowym przedstawicielom świata nauki, odwiedził swoich przyjaciół i znajomych, podziwiany zasłużenie przez wszystkich Hellenów. W końcu powrócił do Rzymu, gdzie wszystko jakby w gorączce parło już do wojny domowej.

Rozdział trzydziesty siódmy

Toteż gdy w senacie chciano mu przyznać prawo odbycia triumfu, oświadczył, że przyjemniej by mu było kroczyć w triumfie za wozem Cezara, gdyby tylko doszło do

zgody wewnętrznej w państwie. Doradzał tą zgodę Cezarowi w wielu prywatnych listach, wiele też razy zwracał się z prośbami w tej sprawie do Pompejusza, starając się jednego i drugiego ułagodzić i doprowadzić do pojednania.

Kiedy zaś wojna była nieunikniona i Pompejusz na wieść o powrocie Cezara nie został w Rzymie, lecz z wielu najpoważniejszymi obywatelami opuścił miasto, Cynceron zrezygnował z ucieczki. Wydało się, że chce stanąć po stronie Cezara. I rzeczywiście wiadomo, że był wtedy w wielkiej rozterce, szarpany myślami to w jedną, to w drugą stronę. Píše bowiem w swych listach, że nie wie, dokąd się zwrócić: piękne i wzniosłe są wprawdzie motywy, które Pompejusza skłaniają do wojny, ale Cezar umie lepiej wykorzystywać sytuację i więcej się troszczy o życie własne i przyjaciół. „Wiem zatem dobrze — pisał między innymi — przed kim mam uciekać, ale nie wiem, do kogo mam uciekać”.

Trebatius, jeden z przyjaciół Cezara, przysłał mu wtedy list, w którym pisał, że Cezar jest zdania, iż Cynceron powinien bezwzględnie do niego przystąpić i z nim razem budować swą przyszłość; a jeśli mu wiek ciąży, powinien udać się do Grecji i tam siedzieć spokojnie, usunawszy się z drogi jednemu i drugiemu. Cynceron jednak, zaskoczony niemile tym, że Cezar nie napisał do niego osobiście, odpowiedział z oburzeniem, że nie zrobi niczego, co byłoby niegodne jego dotychczasowej polityki. Takie szczegóły w związku z tymi wypadkami można znaleźć w jego listach.

Rozdział trzydziesty ósmy

Z chwilą gdy Cezar wyruszył do Hiszpanii, Cynceron bezwzględnie popłynął do Pompejusza. Wszyscy ucieszyli się jego widokiem, ale Katon w prywatnej rozmowie w cztery oczy bardzo zganiał go za to, że przyłączył się do Pompejusza. Mówił, że jemu teraz nie wypada porzucać stanowiska, jakie zajmował od samego początku; ale Cynceron lepiej służyłby sprawie ojczyzny i sprawie swych przyja-

ciół, gdyby nie podejmował żadnych kroków i pozostał w Rzymie, a potem dostosował się do sytuacji, jaka z tego ostatecznie wymknie: nie ma bowiem żadnego rozumnego powodu ani żadnej potrzeby robić sobie z Cezara wroga i przybywać tu tylko po to, żeby wspólnie z innymi narażać się na takie niebezpieczeństwo.

Te słowa znowu wywołały zmianę w umyśle Cyncerona, tym bardziej że i Pompejusz do żadnych ważnych spraw go nie używał. Trzeba jednak stwierdzić, że winę za to ponosił sam Cynceron, bo nie tylko nie ukrywał, że żałuje swego kroku, ale jeszcze naigrawał się z przygotowań Pompejusza, o wydanych przez niego zarządzeniach wyrażał się poza jego plecami z niechęcią i nie mógł się powstrzymać od ciągłego robienia złośliwych i ośmieszających uwag, zwróconych przeciw jego sojusznikom. Wprawdzie sam chodził po obozie zawsze bez uśmiechu i z ponurą miną, ale rozśmieszał innych, nawet gdy im to było nie na rękę. Dobrze będzie przytoczyć i tutaj kilka przykładów:

Otóż gdy Domitius zamierzał raz zrobić dowódcą kogoś, kto nie miał pojęcia o sztuce wojennej, i twierdził, że to człowiek bardzo przyzwoity i rozumny, Cynceron wtrącił: „To czemuż nie zachowasz go dla siebie na wychowawcę swych dzieci?”

Innym razem jacyś ludzie wyrażali się z uznaniem o Teofanesie z Lesbos, który był głównym dowódcą oddziałów rzemieślniczych w obozie Pompejusza: opowiadali sobie, że tak pięknie przemówił do Rodyjczyków i pocieszył ich po stracie floty; a na to Cynceron: „Jak to dobrze mieć Greka na stanowisku głównego dowódcy!”

Gdy Cezar odnosił ciągle zwycięstwa i niejako zamykał ze wszystkich stron Pompejańczyków, a Lentulus mimo to powiedział przy jakiejś okazji, że podobno przyjaciele Cezara są jacyś posepni, Cynceron rzekł: „Innymi słowy — oni nienawidzą Cezara!”

Jakiś Morykkus, który niedawno przybył z Italii do obozu Pompejusza, opowiadał, że w Rzymie rozeszła się pogłoska, jakoby Pompejusz był już oblegany. A na to Cynceron: „Ach, i tyś się tu przedostał, żeby się o tym naocznie przekonać?”

Już po klęsce Noniusz powiedział, że nie trzeba tracić nadziei, bo w obozie Pompejusza pozostało siedem chorągwi z orłami. „Dobra by to była pociecha — powiedział wtedy Cynceron — gdybyśmy prowadzili wojnę z wronami.”

Labienus, opierając się na jakiejś przepowiedni, twierdził, że ostatecznie musi jednak zwyciężyć Pompejusz. „Oczywiście! — odrzekł Cynceron. — Bo to, żeśmy teraz utracili cały obóz, to tylko zręczne pociągnięcie strategiczne.”

Rozdział trzydziesty dziewiąty

W bitwie pod Farsalos Cynceron nie brał udziału z powodu złego stanu zdrowia. Po bitwie zaś i po rozbiciu wojsk Pompejusza Katon, który w Dyrrachium miał znaczną ilość wojska i wielką flotę, chciał oddać dowództwo nad tymi siłami Cynceronowi, uważając, że mu się to prawnie należy ze względu na jego godność konsularną. Cynceron odmówił przyjęcia dowództwa i w ogóle chciał się wycofać z dalszego udziału w walkach. I o mało nie przypłacił tego życiem, ponieważ Pompejusz Młodszy i jego towarzysze obwołali go zdrajcą i byliby zakłuli sztyletami, gdyby nie Katon, który go zasłonił, zabrał ze sobą i wyprowadził z obozu.

Przedostawszy się do Brundisjum, Cynceron zatrzymał się tu dłużej, czekając na Cezara, którego przybycie opóźniały sprawy związane z Azją i Egiptem. A kiedy wreszcie nadeszła wiadomość, że Cezar wpłynął do Tarentu i stamtąd maszeruje lądem do Brundisjum, Cynceron ruszył mu naprzeciw nie tracąc bynajmniej nadziei, chociaż wstydem przejmowała go myśl, że przy tylu świadkach ma się wystawić na próbę w spotkaniu ze zwycięskim przeciwnikiem.

Tymczasem nie musiał ani robić, ani mówić niczego, co by go upokarzało. Cezar bowiem, zobaczywszy z daleka, że wyprzedza wszystkich i idzie mu naprzeciw, zsiadł z konia, przyjaźnie go pozdrowił i z nim tylko rozmawiając przeszedł spory szmat drogi.

Od tego czasu nie przestawał okazywać mu szacunku i życzliwości, do tego stopnia, że nawet gdy Cynceron napi-

sał pochwałę Katona, Cezar, odpowiadając na to pismo z przeciwnego stanowiska, z uznaniem wyrażał się o wymowie Cyclerona i o jego życiu, które porównywał z życiem Peryklesa i Teramenesa. Pismo Cyclerona nosiło tytuł „Katon”, a Cezara — „Antykaton”.

A kiedy Kwintus Ligariusz został oskarżony o to, że był jednym z przeciwników Cezara, i Cycleron podjął się jego obrony, Cezar miał podobno powiedzieć do swoich przyjaciół: „Co nam szkodzi po dłuższej przerwie znowu posłuchać mowy Cyclerona? Tamten i tak już jest dawno osądzony jako nikczemnik i nasz wróg.” Kiedy jednak Cycleron zaczął przemawiać, od razu wywarł silne wrażenie. W miarę zaś, jak mówił, wywołując coraz to inne uczucia i coraz większy zachwyt, twarz Cezara zaczęła się mienić i ujawniać wszystkie jego wewnętrzne przeżycia. Wreszcie gdy mówca wspomniał o zmaganiach wojennych pod Farsalos, Cezar przestał nad sobą panować, zaczął cały drżeć, z ręki wypadły mu jakieś pisma. Ostatecznie, zniewolony tą mową, winę oskarżonemu darował.

Rozdział czterdziesty

Potem, gdy rzeczpospolita zmieniła się w monarchię, Cycleron odsunął się od życia politycznego i poświęcał swój czas nauczaniu młodych ludzi pragnących poznać filozofię. Ponieważ zaś była to młodzież z najlepszych i najznakomitszych rodzin w Rzymie, przez codzienne z nią obcowanie doszedł znowu do bardzo wielkich wpływów w państwie.

Pracował wówczas nad wykończeniem swych dialogów filozoficznych i nad tłumaczeniami z autorów greckich, starając się oddać po łacinie każde pojęcie filozoficzne z zakresu dialektyki i fizyki. Takim bowiem pojęciom, jak wyobrażenie, wstrzymanie się od sądu, przyzwolenie, spostrzeżenie, nadto takim, jak atom, niepodzielność, próżnia i wiele innych — on pierwszy podobno nadał łacińskie nazwy, względnie, używając przenośni lub wyrazów bliskoznacznych, najbardziej przyczynił się do poznania i zrozumienia tych terminów przez Rzymian.

Z łatwości w pisaniu wierszy robił użytek tylko dla rozrywki. Opowiadają, że gdy razu pewnego poniosła go ta namiętność, w ciągu nocy napisał pięćset heksametrów!

Większą część czasu spędzał w tym okresie w swych posiadłościach wiejskich koło Tuskulum. Pisał wtedy do przyjaciół, że żyje życiem Laertesa. Nie wiadomo jednak, czy pisał tak, bo zwykł był żartować, czy dlatego, że kierowany ambicją tęsknił za działalnością publiczną i ze smutkiem patrzył na to, co go otaczało.

Rzadko odwiedzał w tym czasie Rzym, i tylko dla złożenia Cezarowi wyrazów czci. Był pierwszym z tych, którzy przemawiali za przyznaniem Cezarowi różnych zaszczytów i godności, i zawsze miał do powiedzenia coś nowego i pochlebnego o nim i jego postępowaniu. Tak na przykład w związku ze zburzeniem i usunięciem pomników Pompejusza w Rzymie, które z rozkazu Cezara miały być postawione na nowo i rzeczywiście postawione zostały, Cynceron powiedział, że przez ten czyn prawdziwie ludzki Cezar, stawiając pomniki Pompejusza, utrwala własne.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Cynceron nosił się także podobno z zamiarem napisania historii ojczyzny, w której chciał uwzględnić wiele wydarzeń z dziejów Hellady i w ogóle wykorzystać zebrane w tym celu różne opowiadania i legendy. Ale w urzeczywistnieniu tego dzieła przeszkodziły mu rozmaite kłopoty i zmartwienia natury częściowi prywatnej, częściowo zaś politycznej, których najwięcej sam sobie zresztą narobił.

Przede wszystkim więc rozwiódł się ze swą żoną Terencją, a to dlatego, że w czasie wojny zupełnie się o niego nie troszczyła; kiedy opuszczał Rzym, nie dała mu na drogę nawet najpotrzebniejszych rzeczy, a gdy znowu powrócił do Italii, nie znalazł u niej żadnego zrozumienia, żadnej życzliwości: nie tylko bowiem sama nie przybyła do niego, choć tak długo przecież bawił w Brundisjum, ale nawet córce, młodej dziewczynie, udającej się w tak daleką drogą, nie dała ani służby, ani też dostatecznej ilości

pieniędzy. Dom zaś, mimo wielu poważnych długów, jakie pozaciągała, doprowadziła mu do zupełnej pustki i ruiny.

Takie są ponoć najpoważniejsze powody jego rozwodu z Terencją. Terencja jednak zaprzeczała ich prawdziwości i broniła się przed tymi zarzutami, a najlepiej w tym przysłużył się jej on sam, gdy po niedługim czasie pojawił się za żonę młodą dziewczynę. Terencja opowiadała wtedy, że Cynceron zakochał się w młodocianej piękności tej dziewczyny. Natomiast wyzwoleniec Cyncerona, Tyron, pisał, że Cynceron zrobił to z powodu jej zamożności, pragnąc z jej pomocą pozbyć się długów. Była to bowiem dziewczyna bogata, a Cynceron czuwał nad jej majątkiem jako spadkobierca z imienia. Ponieważ zaś miał długi idące w dziesiątki tysięcy, mimo swego wieku dał się przyjaciołom i krewnym nakłonić do tego małżeństwa, aby dzięki posagowi uwolnić się od wierzycieli. Antoniusz także wspomina o tym małżeństwie w swych replikach na filipiki Cyncerona. Mówi tam, że Cynceron wyrzucił z domu kobietę, przy której się zestarzał, i bardzo wyrafinowanie szydzi z domatorstwa tego człowieka, który ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny na nic się państwu nie przyda.

Wkrótce po zawarciu nowego małżeństwa umarła Cynceronowi przy porodzie córka Tullia, która była wtedy żona Lentulusa; za niego bowiem wyszła po śmierci swego pierwszego męża, Pisona. Przychodziło wtedy do Cyncerona bardzo wielu przyjaciół ze słowami współczucia i pociechy. Bardzo ciężko bowiem przeżywał tę stratę i nawet usunął od siebie drugą żonę, zauważywszy u niej jak gdyby zadowolenie ze śmierci Tullii.

Rozdział czterdziesty drugi

Tak przedstawiały się rodzinne i domowe stosunki Cyncerona.

W spisku uknutym na Cezara Cynceron udziału nie brał, mimo że był jednym z najlepszych przyjaciół Brutusa, i widać było, że panujący porządek mu ciąży i że jak nikt tęskni do dawnych stosunków. Spiskowcy bali się jednak

jego usposobienia, któremu brak było dostatecznej odwagi, i jego wieku, w którym śmiałość nie dopisuje nawet ludziom z natury najbardziej nieustraszonym.

Kiedy więc Brutus i Kasjusz dokonali zamierzonego czynu i przyjaciele Cezara zaczęli się organizować przeciw spiskowcom, nad Rzymem zawisła znowu groza wojny domowej: wtedy to ówczesny konsul Antoniusz zwołał posiedzenie senatu i powiedział kilka słów zachęcając do zgody. Długo natomiast, stosownie do wymagań chwili, mówił Cynceron, starając się nakłonić senat, by poszedł w ślady Ateńczyków i uchwalił amnestię dla wszystkich poczynań zwróconych przeciw Cezarowi, oraz proponując nadanie Brutusowi i Kasjuszowi namiestnictwa prowincyj. Ale żadna z tych propozycji nie doszła do skutku.

Lud był już do głębi wstrząśnięty tym, co zaszło. Kiedy zaś ludzie zobaczyli jeszcze, jak zwłoki zabitego Cezara niosą przez Forum, kiedy Antoniusz pokazał im szatę dyktatora całą zakrwawioną i pokłutą od sztyletów — wpadli w taką wściekłość i szal, że zaczęli po całym Forum szukać morderców, porwali ogień i pobiegli podpalać ich domy. Ale spiskowcy, przygotowani na takie niebezpieczeństwo, wyszli z niego cało. Potem, przewidując grozę dalszych i wielkich walk, opuścili miasto.

Rozdział czterdziesty trzeci

Zaraz też Antoniusz podniósł głowę i wszyscy zaczęli się go bać przypuszczając, że będzie rządził samowładnie; największym postrachem był dla samego Cyncerona. Antoniusz widząc bowiem, że jego pozycja polityczna znowu się bardzo wzmocniła, nie mógł znieść obecności Cyncerona w Rzymie, zwłaszcza że znał go jako przyjaciela Brutusa. Zresztą w ogóle istniała między nimi już przedtem jakaś wzajemna nieufność i podejrzliwość, wynikająca po prostu z różnic i przeciwieństw w kolejach ich życia.

Na skutek tych obaw Cynceron postanowił zrazu udać się z Dolabellą do Syrii jako jego legat. Tymczasem jednak obaj wyznaczeni konsulowie, którzy mieli objąć swe sta-

nowiska po Antoniuszu, mianowicie Hirtius i Pansa, ludzie zacni i wielcy wielbiciele Cyncerona, zaczęli go prosić, żeby ich nie opuszczał, ponieważ mieli zamiar z jego pomocą obalić przemoc Antoniusza. Cynceron nie mogąc im w pełni zaufać, ale nie mając też powodu nie ufać im zupełnie, zrezygnował wprawdzie z wyjazdu z Dolabellą, ale ułożył się z Hirtiusiem, że lato spędzi w Atenach, a gdy oni obejmą już urządowanie, wróci do Rzymu. I sam odpłynął.

Ale żegluga się jakoś opóźniała, a tymczasem, jak to zwykle bywa, z Rzymu nadchodziły nowe wieści, że Antoniusz dziwnie się jakoś zmienił, że w całej polityce i w całym swoim postępowaniu stosuje się do woli senatu i że w Rzymie brakuje jeszcze tylko Cyncerona, by wszystko wróciło do największego porządku. Wtedy Cynceron sam sobie zaczął wyrzucać zbytnią ostrożność i natychmiast powrócił do stolicy. I rzeczywiście w pierwszej chwili nadzieje go nie zawiodły. Takie tłumy ludzi, pełne radości i tęsknoty za nim, wyszły na jego spotkanie, że prawie cały dzień zeszedł mu na powitaniach i uściskach przy bramach miasta i po drodze.

Zaraz następnego dnia Antoniusz zwołał senat na posiedzenie i zaprosił także Cyncerona. Ale Cynceron nie poszedł i pozostał w łóżku pod pozorem, że wyczerpany wczorajszym dniem źle się czuje. W rzeczywistości jednak bał się widocznie zasadzki, a podejrzewał ją na podstawie pewnych danych, które odebrał już w czasie drogi. Antoniusz wszakże uznał to za ciężką osobistą obrazę i wysłał żołnierzy z rozkazem przyprowadzenia Cyncerona do senatu albo spalenia jego domu. Dopiero na skutek ogólnego sprzeciwu i próśb obecnych cofnął ten rozkaz i zadowolił się pobraniem od niego odpowiedniego zastawu.

Od tego czasu Antoniusz i Cynceron unikali się wzajemnie, a przy spotkaniu ignorowali. Aż oto z Apollonii zjawił się w Rzymie młody Cezar i odebrawszy spadek po Juliuszu Cezarze poróżnił się z Antoniuszem o dwadzieścia pięć milionów drachm, które Antoniusz z majątku Cezara sobie przywłaszczył.

Rozdział czterdziesty czwarty

Wkrótce potem zjawili się u Cyncerona dwaj ludzie, mianowicie ówczesny ojczym młodego Cezara, Filip, oraz mąż jego siostry, Marcellus. Przybyli razem z tym młodzieńcem i zawarli umowę, że Cynceron wymową i politycznymi wpływami będzie służył jego sprawie w senacie i przed ludem, on zaś przy pomocy swych pieniędzy i wojsk zapewni Cynceronowi całkowite bezpieczeństwo. Młody Cezar miał już bowiem na swoje usługi niemały zastęp ludzi, którzy niegdyś służyli pod Juliuszem Cezarem.

W tym, że Cynceron tak chętnie przyjął przyjaźń młodego Cezara, grała podobno rolę pewna inna, wyższa przyczyna. Bo jak się zdaje, jeszcze za życia Pompejusza i Cezara Cynceron miał sen, w którym widział, jak ktoś zwołuje młodzież senatorską na Kapitol, bo sam Jowisz chce jednego z niej wyznaczyć na władcę Rzymu. Pośpieszyli tam również obywatele i stanęli dokoła świątyni, a chłopcy w togach obramowanych purpurą siedzieli i milczeli. Nagle otwarła się brama świątyni, a chłopcy po kolei wstawali i jeden po drugim podchodzili przed oblicze boga, który jednak spoglądał na każdego z góry i strapionych odsyłał z powrotem. Dopiero gdy ten właśnie przystąpił do boga, bóg wyciągnął nad nim swą dłoń i przemówił: „Rzymianie! Oto wasz władca, który położy kres waszym bratobójczym walkom.”

Takie więc, jak mówią, było senne widzenie Cyncerona; wyraźnie utkwiała mu w pamięci postać tego chłopca, jakkolwiek go przedtem nie znał. Następnego dnia, kiedy poszedł na Pole Marsowe, odchodzili stamtąd po ćwiczeniach gimnastycznych chłopcy i pierwszy, którego Cynceron zobaczył, był właśnie taki, jakiego widział we śnie. Uderzony jego widokiem, zapytał go o ojca i matkę. Otóż był to syn Oktawiusza, jednego z nie wyróżniających się niczym obywateli, i Atii, siostrzenicy Cezara, który nie mając własnych dzieci, jemu zapisał w testamencie dom i całą puściznę. Od tego czasu Cynceron spotykając chłopca podobno zawsze

z nim chętnie rozmawiał, a on uprzejmie przyjmował te dowody sympatii. Przypadek zdarzył, że chłopiec ten urodził się w roku konsulatu Cyncerona.

Rozdział czterdziesty piąty

Takie podawano powody ich porozumienia. W istocie zaś to przyłączenie się Cyncerona do młodego Cezara spowodowała przede wszystkim jego nienawiść do Antoniusza, a po wtóre jego natura, która nie mogła się oprzeć żądzy sławy: Cynceron liczył bowiem, że uda mu się wykorzystać jego siły wojskowe dla swojej polityki, a młodzieniec tak zrećźnie go podchodził, że nazywał go nawet swoim ojcem.

Brutus bardzo był z tego niezadowolony i w listach do Attyka mocno ganił Cyncerona za to, że ze strachu przed Antoniuszem niewolniczo oddaje się na usługi Cezarowi, dowodząc przez to wyraźnie, że chodzi mu nie o wolność rzeczypospolitej, ale o pozyskanie sobie łaski i życzliwości despotycznego władcy. Mimo to Brutus przyjął u siebie syna Cynceronowego studiującego wówczas w Atenach filozofię, nadał mu stopień wojskowy i z powodzeniem w wielu sprawach korzystał z jego pomocy.

Były to czasy, kiedy Cynceron osiągnął w państwie największe wpływy i znaczenie. Mogąc przeprowadzić, co tylko chciał, zmusił Antoniusza do usunięcia się z Rzymu, zbuntował przeciw niemu obywatele i wyprawił do walki z nim obu konsulów, Hirtiusa i Panse, a w senacie przeprowadził przyznanie Cezarowi liktorów i oznak władzy pretorskiej jako „obrońcy ojczyzny”. Ale gdy Antoniusz został pobity, a wojska obu konsulów, którzy polegli na polu bitwy, przyłączyły się do Cezara, senat bojąc się młodego człowieka, któremu sprzyjało tak wspaniałe szczęście, starał się te wojska różnymi nagrodami i odznaczeniami od niego oderwać i przeciągnąć na swoją stronę, oświadczając, że skoro Antoniusz został rozbity, ojczyzna nie potrzebuje już „obrońców”.

W tej sytuacji Cezar, zaniepokojony, posłał do Cyncerona ludzi, którzy prośbami mieli nakłonić go do takiego pokie-

rowania sprawą, by oni obaj razem zostali konsulami, z tym że Cynceron będzie rządził tak, jak sam uzna za stosowne, weźmie całą władzę w swe ręce i będzie wydawał polecenia swemu młodemu koledze, któremu, zależy tylko na sławie i tytułach. Cezar jednak sam otwarcie mówi, że bał się, by go nie obalono, i widząc, że grozi mu zupełne opuszczenie, chciał w tej krytycznej dla siebie chwili wykorzystać słabość Cyncerona do piastowania godności urzędowych i dlatego nakłaniał go do starań o ten konsulat, obiecując mu swą współpracą i poparcie.

Rozdział czterdziesty szósty

Istotnie stary Cynceron dał się skusić i podejść młodemu Cezarowi: poparł go przy wyborach i postarał się dla niego o przychylność senatu. Przyjaciele jednak od razu robili mu o to gorzkie wymówki, a niebawem i on spostrzegł, że w ten sposób zgubił samego siebie i zaprzepaścił wolność ludu. Bo młodzieniec utrzymawszy awans i osiągnąwszy konsulat podziękował pięknie Cynceronowi, a sam zawarł przyjaźń z Antoniuszem i Lepidusem, połączył swoje siły zbrojne z ich siłami i podzielił się z nimi władza, jakby ona była jego własnością.

Zaraz też ci trzej ludzie ogłosili listy proskrypcyjne osób, które miały być stracone; obejmowały one ponad dwieście nazwisk. Największy spór rozgorzał wokół sprawy proskrybowania Cyncerona. Antoniusz nie chciał słyszeć o żadnym wzajemnym porozumieniu bez uprzedniego stracenia tego człowieka, w czym popierał go Lepidus, a Cezar usilnie sprzeciwiał się jednemu i drugiemu. W pobliżu miasta Bononii odbywały się więc przez trzy dni tajne spotkania, w których tylko oni brali udział. Schodzili się w miejscu otoczonym wodami rzeki, z dala od wojsk i obozów. Przez dwa pierwsze dni Cezar prowadził podobno zaciętą walkę o życie Cyncerona, trzeciego dnia jednak ustąpił i wydał go. Warunki wymiany były następujące: Cezar zobowiązał się

poświęcić Cycerona, Lepidus — brata swego, Paulusa, Antoniusz — swego wuja, Lucjusza Cezara.

W swej zawziętości i zaślepieniu do tego stopnia wyzbyli się wszelkiego ludzkiego uczucia i rozumu! Dali przez to dowód, że najdziksze zwierzę nie jest tak krwiożercze jak człowiek, kiedy działa pod wpływem niepohamowanych namiętności i rozporządza odpowiednią siłą.

Rozdział czterdziesty siódmy

W czasie tych wypadków Cyceron wraz z bratem Kwintusem przebywał w swoim majątku koło Tuskulum. Dowiedziawszy się, że obaj znajdują się na liście proskrybowanych, postanowili się przenieść do nadmorskiej miejscowości Astura, gdzie Cyceron również posiadał własność ziemską. Stamtąd mieli się przedostać dalej drogą morską do Macedonii do obozu Brutusa, który według ostatnich wiadomości był już panem tych terenów. Ruszyli w tę smutną podróż niesieni w lektykach. Po drodze kazali się służbie zatrzymywać, ustawiać lektyki obok siebie i rozplýwali się we wzajemnych żalach i płaczach nad swoim losem. Bardziej jednak rozpaczał Kwintus, zwłaszcza gdy sobie uprzytomnił, że jest zupełnie bez środków do życia; nie zabrał bowiem z domu niczego, a Cyceron także skąpo zaopatrzył się na drogę. W końcu uznali, że najlepiej będzie, jeżeli Cyceron będzie uciekał dalej sam, a on podąży za nim, gdy zabierze z domu potrzebne rzeczy. Decyzja zapadła i wśród wzajemnych uścisków i głośnych łkań pożegnali się. W kilka dni później Kwintus, zdradzony przez służbę domową i wydany poszukującym go siepaczom, zginął wraz ze swym synem.

Cyceron dotarł do Astury, od razu wsiadł na pierwszy okręt, jaki mu się nadarzył, i przy pomyślnym wietrze, dopłynął aż do przylądka Cyrceum. Załoga okrętu chciała natychmiast znowu odbić od brzegu, ale Cyceron, czy to bojąc się morza, czy też nie tracąc jeszcze całkowicie wiary w przyjaźń i wierność młodego Cezara, wysiadł na ląd i pieszo, przebywając sto stadiów, ruszył w kierunku Rzy-

mu. I znowu zaczął się wahać, zmienił decyzją i skrzył nad morze z powrotem do Astury. Tam spędził noc wśród strasznych i bezpłodnych rozmyślań: zamierzał nawet wejść potajemnie do domu Cezara i przy jego domowym ołtarzu popełnić samobójstwo, aby w ten sposób ściągnąć nań zemstę bogów. Ale od tego kroku wstrzymał go strach przed ewentualnymi torturami. Wreszcie po wielu niespokojnych rozmyślaniach i coraz to nowych postanowieniach kazał służbie, by go odwiozła do portu Kajety, gdzie miał nad morzem posiadłość i miłe miejsce odpoczynku na czas letnich upałów, kiedy wieją tam bardzo przyjemne, coroczne wiatry północne.

W miejscu tym znajduje się w niewielkiej odległości od morza świątynia Apollina. Stamtąd to zerwały się całą gromadą kruki i z wielką wrzawą poleciały na łódź Cyncerona, która przybijała właśnie do brzegu. Usiadły po obu stronach poprzeczki żaglowej i jedne krakały, drugie dziobały końce lin. Wszyscy widzieli, że to nie wróży nic dobrego. Ale Cynceron wysiadł na ląd, poszedł do domu i położył się, aby odpocząć. Kruki jednak obsiadły okno i kracząc podnosiły hałas, a jeden usiadł nawet na kanapie Cyncerona i dziobem ściągnął mu nieco z twarzy szatę, którą się okrył. Na ten widok służący domowi zaczęli sobie robić wyrzuty, że ptaki przychodzą na pomoc ich panu i ostrzegają go, że źle robi, a oni czekają, aż staną się świadkami jego śmierci, i nie chronią go przed groźącym mu nieszczęściem. Po trosze więc prośbami, a po trosze przemocą wzięli go i w lektyce ponieśli nad morze.

Rozdział czterdziesty ósmy

W owej chwili nadeszli oprawcy: setnik Herenniusz i trybun wojskowy Popiliusz, którego Cynceron obronił niegdyś w procesie o ojcobójstwo, a z nimi grupa pomocników. Zastawszy drzwi domu zamknięte, wyłamali je, ale Cyncerona już nie było. Służba mówiła, że nie wie, gdzie pan przebywa. Dopiero jakiś młody człowiek imieniem Filologus, wychowanek i uczeń Cyncerona, a wyzwolieniec brata

Cyceronowego Kwintusa, powiedział trybunowi, że służba poniosła go w lektyce przez park i ocienione ścieżki w kierunku morza. Trybun wziął więc ze sobą kilku ludzi i ruszył z nimi okrężną drogą do wyjścia, a Herenniusz pobiegł przez park ścieżkami. Widząc go, Cyceron kazał służbie przystanąć i trzymając się lewą ręką za brodę, bo taki miał zwyczaj, wzrokiem niewzruszonym spojrzął na siepaczy. Twarz miał zarośniętą, okrytą kurzem i ściągniętą od trosk, tak że w chwili, gdy Herenniusz zadał mu cios śmiertelny, prawie wszyscy zamknęli oczy. Z lektyki podał szyć pod miecz i tak został zabity — w sześćdziesiątym czwartym roku życia.

Zgodnie z rozkazem Antoniusza oprawcy obcięli mu następnie głowę i ręce. Ręce za to, że pisał nimi filipiki. Tak bowiem sam Cyceron zatytułował swe mowy przeciw Antoniuszowi i do dziś dnia woluminy te noszą nazwę filipik.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Odciętą głowę i ręce Cycerona zanieśli do Rzymu. Antoniusz zajęty był wtedy przeprowadzaniem wyborów. Usłyszawszy o śmierci Cycerona i ujrawszy na własne oczy jego szczątki, zawołał: „Teraz już koniec proskrypcjom!"; głowę i ręce zabitego kazał złożyć na mównicy. Widok ich przejął Rzymian zimnym dreszczem. Wszyscy mieli wrażenie, że patrzą nie na twarz Cycerona, lecz na obraz duszy samego Antoniusza.

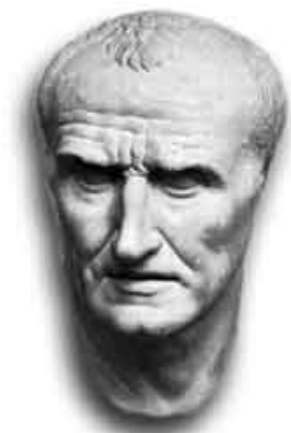
Jedno tylko zrobił może słusznie: oddał owego Filologusa żonie Kwintusa, Pomponii. Ta zaś dostawszy go w swe ręce, mściła się na nim na różne sposoby, między innymi kazała mu krajać własne ciało po kawałku, a potem piec je i zjadać. Tak przynajmniej opowiadają niektórzy z autorów. Natomiast wyzwoleniec samego Cycerona, Tyron, w ogóle nie wspomina o wydaniu Filologusa w ręce Pomponii.

Dowiaduję się także, że kiedyś, po długim czasie Cezar przyszedł do jednego ze swych wnuków, gdy ten trzymał

właśnie w rękach jakieś pismo Cyncerona i przerażony starał się je ukryć w fałdach szaty. Cezar, widząc to, wziął od niego pismo i stojąc przeczytał zeń dość duży ustęp. Następnie oddał je chłopcu z powrotem i powiedział: „Uczony to był człowiek, uczony — i prawdziwie miłujący ojczyznę”.

Bezpośrednio po zwycięstwie nad Antoniuszem Cezar, pozostawszy sam na stanowisku konsula, przybrał sobie za kolegę syna Cyncerona; za jego to konsulatu senat uchwalił zburzenie posągów Antoniusza, unieważnił wszystkie przyznane mu godności i odznaczenia, a nadto wydał dekret, na mocy którego nikomu w rodzinie Antoniuszów nie wolno było nosić imienia Marek. Tak więc z woli bogów dom Cyncerona mógł wymierzyć ostateczną karę Antoniuszowi.

MARIUSZ



Ogromna, niezgrabna i surowa postać zdołała charakter Mariusza. Stosownie do niskiego stanu, wychowanie jego toporne i sumienne wprawiło go w dziką nieużytość, od której się i w najwyższych stopniach nie mógł odzwyczaić.

Urodził się na wsi, w powiecie Arpinum. Zaciągnawszy się do wojska, pierwszą kampanię przeżył pod Scypionem młodszym Afrykańskim i był przy zdobyciu Numancji. Nadzwyczajna moc, wielka odwaga i pracowitość zjednały mu względy. A gdy na oczach wodza - znakomitego w wojsku Celtyberów rycerza w szczególnej potyczce pokonał, tak go ujął ku sobie, iż dopuścił go do towarzystwa i częstokroć używał w różnych sytuacjach. Trafiło się jednego razu, gdy przy uczcie była mowa o wodzach wówczas u Rzymian znakomitych, a jeden ze stołowników pytał Scypiona, kogo by uważał za godnego siebie następcę, Scypion uderzył z lekka po ramieniu siedzącego przy sobie Mariusza i rzekł: A kto wie czy nie ten? Słowo to było wyrokiem dla młodego rycerza i odtąd nabrał otuchy względem swojej wielkości.

W młodym wieku zostawszy trybunem, chcąc się pospółstwu przypodobać, zaczął urzędowanie od tego, iż ułatwił mu zdobycie większej jeszcze niż przedtem władzy w głosowaniu. Takemu wnioskowi, uwłaczającemu swej władzy, oparł się senat, mając na czele konsula Kottę. Ale Mariusz, ufny w powagę swojego urzędu, przybył na miejsce obrad i gdy Mettelusowi, który konsula wspierał, wraz z samym konsulem pogroził więzieniem, tak strwożył opornych, iż otrzymawszy co chciał, wrócił do ludu i wyrok taki, jaki był wniósł, ogłosił. Taki krok na samym wstępie dał poznać nieustraszonego umysłu i niewzruszoną stałość, i przyniósł mu także nienawiść senatu, jako że okazał się zbyt porywczy w dogadzaniu żądom pospółstwa, - gdy jednak w innej

okoliczności, gdzie mógł bardziej jeszcze lud dla siebie ująć (chodziło bowiem o rozdawanie zboża), temuż ludowi sprzeciwił się, wszyscy nie uniesieni przesądem poczęli w nim szanować prawdziwe, bo bezwzględne obywatelstwo. Sprawował dalej urząd pretora zawsze cnotliwie działając, przez co, mimo iż nie miał zaszczytu urodzenia ani bogactw, zaskarbił sobie u wszystkich poważanie. Z czasem doszedł do znacznego majątku i spowinowacenia, gdy pojął małżonkę z domu Cezarów, siostrę ojca Juliusza.

Wyznaczony na wyprawę przeciw królowi Jugurcie Metellus wybrał go na legata i udali się do Afryki. Tam wslawił się walecznością, a wstrzeźliwością przewyższył wszystkich. Żołnierze widząc, iż znosił głód i niewygody na równi z nimi, wzmagali się jego przykładem i sprzyjali mu wielce. Doszły te wieści do Rzymu. Dowiedział się także o usilnej żądzy wojska, iżby go wodzem mieć chciało, a przeto pragnęło jego wyniesienia na konsulat z pewną nadzieją, iż on zakończy wojnę trwającą dotąd upornie.

Dobrze wiedział o takim sposobie myślenia żołnierzy Metellus, a posądzając Mariusza, iż on ze swej strony największą był do tego pobudką, nękał go w każdej okoliczności, która mu się tylko mogła zdarzyć. Zrazu nie dał się tym obrazić Mariusz; znużony jednak ustawicznym prześladowaniem, wyjednał sobie pozwolenie powrotu do Rzymu, gdzie podczas kandydowania w wyborach został jednogłośnie wybrany konsulem. W mowie, którą wygłosił, dziękując za wybór, przyrzekł, iż zakończy wojnę z Jugurtą i jego samego w więzach odstawi do Rzymu. Zaraz po objęciu stanowiska czynił przygotowania na przyszłą wyprawę, nakazał pobór, i tak był w tej mierze porywczy, iż mimo prawa zakazującego umieszczać niewolników w wojsku, on ich brał, a z nimi wszystkich włóczęgów i próżniaków, których tylko mógł znaleźć. Był to precedens w Rzymie, albowiem dawniej pilnowano tego, by żołnierze byli osiadli, a dając w majątkach, które zostawiali, rękojmię swojej wierności, bronili ojczyzny i zarazem strzegli swej własności.

Jeżeli nowość postępu obrażała wielu, chętność Mariusza była nie mniej przykra: "Mój wybór, mówił on, jest zwycięstwem, otrzymanym nad gnuśnością i zbytkami majątnych. Ja na sobie noszę istotne znamiona usług, blizny dla ojczyzny zyskane, oni się nadymają obrazami przodków swoich; a gdy bez własnych dzieł okazują tylko sławne imię, godni są tym większej wzgardy, im usilniej pragną poważania". Takie mowy poruszały senat i patrycjuszy, ale tak samo, jak możliwych upokarzały, miłe były ludowi, który się im przysłuchiwał.

Gdy w Afryce stanął jako następca Metellusa, zastał taką rzecz do wykonania. Jugurtę pokonano, kraj opanowano, tego tylko brakło, żeby tego nieszczęsnego monarchę dostać. I jakby los czuwał nad ukaraniem chytryści, ten sam podstęp, który przedtem

Jugurta uknuł względem Metellusa, teraz dla niego przyrządzono. Bokchus, król Numidii, teść Jugurty, przyjmował go u siebie. Ten, ujęty przysługami, a bardziej obawiając się przemocy rzymskiej, przyrzekł Mariuszowi, iż mu go wyda. Mariusz natychmiast posłał swego kvestora, Sullę. Gdy ten przybył, przewyciężył resztę oporów króla Numidii, odebrał z rąk jego więźnia i przywiódł do obozu. Ale dumny z takiego wyniku sobie dzieło przypisując, pojmanie Jugurty kazał wyryć na kamieniu, który oprawiony w pierścień nosił na palcu i pieczętował nim swe listy. Ta mniej warta wzmianki okoliczność stała się potem główną przyczyną nienawiści między Sullą a Mariuszem, jak się to niżej okaże.

Wiść o zakończonej wojnie i pojmaniu Jugurty ucieszyła Rzym, ale zatrwożyła go druga - o zbliżających się Cymbrach i Teutonach, których niezmierne gromady groziły Italii. Te dzikie narody, nieznanym dotąd były Rzymianom. Wyszły z północy, gdzie były ich pierwotne siedliska. Nie mając żadnego kontaktu z innymi, nie dawały się dotąd poznać i bardzo niejasne wieści o nich dochodziły. Wiedziano tylko, iż przyszły z Germanii i wtoczywszy się w Galieję, znaczną jej część posiadły. Inni początki ich wywodzili od Celtów i Scytów północnych. Sposób ich życia był prosty, postać ogromna, powierzchowność odznaczała się chamstwem i dzikością. Czerń tę obliczano na trzysta tysięcy ludzi zdatnych do boju. Że zaś szli do nowych osad, snuły się za nimi niezliczone orszaki niewiast, dzieci i starców. Osiedlali ci przybysze w zdobytych krajach; którzy się zaś nie mogli pomieścić, szli dalej. Nikt im dotąd jeszcze nie mógł stawić oporu. Już kilkakrotnie znieśli wojska, które przeciw nim wysłano.⁶ Ośmieleni więc zwycięstwami, a mając Italię otwartą, wygrażali na Rzym i planowali iść prosto ku niemu, zburzyć go doszczętnie i spustoszyć Italię, dopiero ustanowić swoje osady.

Cały pierwszy konsulat Mariusza minął, po zakończonej wojnie z Jugurtą, na przygotowaniach do wojny z Cymbrami, o których dochodziły coraz świeższe wieści, jako gotowych do wkroczenia głębiej na teren Italii. Odprawiwszy tryumf, w którym Jugurtę wieziono przed jego wozem, resztę roku poświęcił Mariusz, jak się już wyżej rzekło, przyszłej wyprawie.

Powtórnie na rok następny wybrany konsulem, czynił przygotowania z większą jeszcze gorliwością. Ażeby zaś były skuteczne, zaczął od tego, aby wojska przeszłych wodzów pobłażaniem krnąbrne, do zbytków i rabunków przywykłe, - przyzwyczaić do pracy, szykowności, posłuszeństwa i wstrzemięźliwości. Takowe na wstępie rozwiązania wydały się niedogodne i zbyt ostre, zwłaszcza że ich łagodnym wyglądem i słowami nie chciał, a raczej nie mógł. Był bowiem, jak się już rzekło, nie tylko srogi z postaci, ale i dźwięk głosu miał straszny i przeraźliwy, wymagał karności, a popędliwość jego nie dawała przystępu łagodnym względom i słodkiej wymowie. Ostrość jego wyroków była nieubłagana; w istocie chciał, aby się go bano, i na

tym opierał swe postępowanie. Zrazu napotkał wiele sprzeciwu, któryby może mniej stałego odwiódł od przedsięwzięcia; ale jego umysł nie ustępliwy, im więcej znajdował przeszkód, tym dzielniej się wznagał. Na koniec zwalczył prawie powszechny opór i tego dokonał, iż z czasem nowozacieżni przyzwyczaili się do jego postaci, głosu, pogroźek, i do tego wszystkiego, co ich zrazu odstręczało. Uważając, iż to co czynił, zmierzało jedynie do ich własnego dobra, i zapatrując się na wielkość dzieł, do których ich zaprawiał, dali się powodować, a przeto stali się zdolniejszymi, niż ich poprzednicy, do zwycięstwa nad nieprzyjacielem, który w swoją siłę ufny i już nauczony jak Rzymian zwyciężać, groził całemu państwu ostateczną zgubą.

Strzegąc granic, cały rok Mariusz spędził na takich przygotowaniach, a tymczasem owe dzikie tłumy zwróciły się ku Hiszpanii, którą wedle swojego zwyczaju pustosząc, zasiedlali. Były to zdarzenia szczęśliwe dla Italii i Rzymu, albowiem przez ten czas mieli sposobność gotować się na walkę z tak straszną potęgą, która powróciwszy z Hiszpanii, znowu ku Italii miała się obrócić. Tymczasem, gdy już kończył drugi rok urzędowania swego, na trzeci przedłużono mu urząd konsula razem z władzą nad wojskiem. Dopomogło do trzeciego konsulatu, iż przyzwyczajeni do rządów jego żołnierze wyrażali najgłębszą niechęć do innego wodza, którego by im dano.

Wbrew oczekiwaniom i Rzymian i Mariusza ten trzeci rok przeszedł spokojnie. A że drugi konsul, Aureliusz, umarł w czasie swojego urzędowania, - gdy miał się zaczynać rok czwarty, na czas wybierania nowych konsulów przybył do Rzymu Mariusz, i za sprawą trybuna Saturnina czwarty raz został wybrany konsulem, za kolegę mając Lutacjusza Katullusa, męża o wielkiej wziętości tak u patrycjuszów, jak i u pospólstwa. Mariusz niby sprzeciwiał się swojemu wybraniu, ale lud, albo w prostocie swojej wierząc takiemu sprzeciwowi, albo udając, iż wierzy, przymusił go gwałtem do objęcia urzędu. Wkrótce po owych wyborach przyszła wiadomość, iż nieprzyjaciół zbliża się do granic. Jak najspieszniej Mariusz ruszył z Rzymu do wojska i rozłożył obóz nad rzeką Rodan, opatrując go w żywność dostateczną na długi czas. Co aby mu łatwiej przyszło, kazał kopać kanały i nimi ją spławiał z krain nadbrzeżnych. W tej pracy używał własnych żołnierzy, by także pospólstwu ulżyć i ludzi swych co raz bardziej wprawiać do trudów i pracy. Dotąd jeszcze łatwo zobaczyć owe koryta, które zwą fosami Mariusza, *fossae Marianae*.

Barbarzyńcy rozdzielili się na dwie części; tym, którzy mieli iść przez Norycję, na drodze stanął Katullus, - Mariusz zajmował Ligurię, przez którą przechodzić miała część z nich. Mający iść Norycją Cymbrowie spóźnili się; Ambronowie zaś i Teutoni, na których czekał Mariusz, przeszedłszy Alpy, stanęli przed jego obozem. Ich stanowiska zajęły ogromny obszar, a po okolicach

odbijały się ryki niezliczonego tłumu. Gdy już się roztasowali zupełnie, wywabiali w pole Rzymian zamkniętych w obozie. Ale przezorny Mariusz wstrzymywał porywczosć żołnierzy i swoich dowódców, którzy nie mogąc znieść pogróżek i urągania, rwali się do oręża. Jest zdrajcą ojczyzny ten, kto o dobro publiczne nie dba. Nie o zdobyczy i tryumfach, lecz o ocaleniu ojczyzny myśleć teraz należy. Tymi i podobnymi słowami hamował przedniejszych; żołnierzy zaś jak najdłużej wstrzymywał na szanćcach, aby patrząc na obóz nieprzyjacielski przyzwyczaili się do dotąd im nieznanego widoku dzikich postaci, i nie dali się uwieść zbyt żywej imaginacji, która jeszcze straszniejszymi czyniła ich w oczach, niż byli w istocie. I tak się stało. Pomału przyzwyczajani żołnierze przestali dziwić się, a w końcu czynili sobie kabaret z pogróżek tej dzicy. Ufni więc w własną dzielność, żalili się wodzowi, iż ich gnuśnie trzyma w zamknięciu. Właśnie na to czekał Mariusz, a widząc, iż wszystko idzie po jego myśli, przyrzekł, iż wkrótce dogodzi ich żądaniom, jako że i doświadczona w przepowiadaniu wieszczka, którą naumyślnie sprowadził do obozu, upewniała go (jak twierdził) o zwycięstwie dla Rzymian.

Jeszcze przez pewien czas Rzymianie nie wychodzili z obozu, albowiem Mariusz czekał dogodnej pory do bitwy z Teutonami. Wtem oni nagle napadli na obóz i z niezmierną wrzawą szturmowali okopy i szanćce. Ale przeraźliwe krzyki nie zastraszyły wojska; odparli ich Rzymianie z ich wielką stratą. Widząc zatem, iż darmo czas tracą, ruszyli się ze stanowisk i minęli obóz rzymski, zmierając ku ziemiom Italii. Przez sześć dni snuły się tłumy barbarzyńców, wołając na zamkniętych, iż już idą do Rzymu, i pytali ze śmiechem, czy nie każą pozdrowić ich żon i dzieci. I jeszcze wtedy Mariusz wstrzymał zapalczywość swoich, ostatnich granic już sięgającą, i gdy przeszli, on także ruszył ze stanowiska i szedł za nimi, zawsze jednak miał się na baczności i nie inaczej rozkładał obóz, jak w warownych miejscach, gdzie mógł być bezpieczny od napaści siły powielokroć go przewyższającej. Takim sposobem ścigając ich, doszedł do miejsca, które zwano źródłami Seksta, *Aquae Sextia*.⁹ Tam, gdy się zdecydowali Teutonowie, i on obozem stanął. A widząc takie miejsce, które zdawało się być wielce dogodne, tam postanowił stoczyć bitwę i prędzej, niż myślał, przypadek mu ją nastęrczył.

Dość daleko od obozu była woda, więc trzeba było iść po nią wspólnie i pod bronią. Gdy przyszli tam Rzymianie, zastali Teutonów; doszło do zajścia, a gdy tak jednym i drugim przybywały na pomoc świeże posiłki, nie było już w mocy Mariusza wstrzymać raz wszczęty zapał. Wpierw Ligurzy rządnie wpadli na nieprzyjaciela. Wsparły ich pułki rzymskie tak potężnie, iż złamawszy gęste orszaki dziczyzny, pędzili je w rzekę. Wiele ich legło w niej, utopiło się bez porównania więcej. Noc przerwała rzeź, a rozproszeni barbarzyńcy w wielkiej klęsce powrócili na

stanowiska. Ze swojej strony to samo uczynili Rzymianie, oczekując dnia, który miał szczęśliwie dopełnić już rozpoczętego dzieła.

Tej nocy u Teutonów nie było już słycać wycia i krzyków, jakie przedtem bywały, co znamionując trwogę, dodawało jeszcze bardziej odwagi Rzymianom. Przyszedł dzień długo oczekiwany, a gdy Teutoni nie śmieli wyjść w pole, Mariusz też swoich zatrzymał. Jednak dla większej pewności przygotował zasadzki, i polecił Marcellusowi, aby, gdy dojdzie do bitwy, zaszedł tyły nieprzyjaciela.

Gdy wszystko było gotowe, Mariusz wyprowadził swoje wojsko w pole; wyszli i Teutoni z Ambronami. Pierwsi Rzymianie szli w bój, i wszczęła się owa pamiętna bitwa, od której wyniku zależał los tylu ludów. Z początku była wyrównana i nie znać było, gdzie skłania się zwycięstwo. Ale gdy na dany znak ukazał się Marcellus z zasadzki, padł strach na barbarzyńców; zmieszali się w szyku, a widząc się otoczonymi, tłoczyli się wspólnie, nie wiedząc z której strony się bronić. Wzmogli się Rzymianie na widok mieszającego się nieprzyjaciela; i jeszcze silniej nań napierając, poczęli rozpraszać dotąd zwarte w szyku niezmierne zgraje; powszechna zatem trwoga je ogarnęła i uciekali w te pędy. Zbiegłych wszędzie ścigali zwycięzcy, a w owej straszliwej pogoni zajadłych żołnierzy dzicz poniosła nieprawdopodobne straty, gdyż liczono do stu tysięcy tak poległych, jak jeńców. Zdobyto obóz nieprzyjacielski; znaleziono w nim niezmierne łupy. Z nich najcenniejsze Mariusz zachował na ozdobę tryumfu, wiele oddał Bogom na służbę, resztę podzielił między wojsko. W tym czasie przybyli z Rzymu legaci, donosząc mu, iż piąty raz został wybrany konsulem. Ale jak gdyby na przekór tak wielkiej pomyślności dawano znać, iż Cymbrowie, przebywszy górskie zapory, które Katullus przyrządził, rozbili Rzymian pilnujących mostu i twierdzy, po czym wkroczyli w głąb kraju, pustosząc nabrzeża Adygi. Wyruszył przywołany do Rzymu Mariusz; i mimo, że miał wyznaczony tryumf, odłożył go, spiesząc na pomoc koledze. Połączywszy się z nim, szedł przeciwko Cymbrom, którzy nie mieli jeszcze pojęcia o klęsce swoich sprzymierzeńców. Gdy przeprawili się z Katullusem przez rzekę Pad, przybyli do nich posłowie wyprawieni od Cymbrów; wyraziwszy chęć osiedlenia się w Italii, żądali, aby im wyznaczono miejsca na osady. „To zaś (dodali) mówimy wam w imieniu naszym i naszych współbraci”. Którzy to są ci wasi współbracia? pytał Mariusz. Gdy odpowiedzieli, że Teutoni i Ambronowie, ze wzgardą i śmiechem rzekł: Jużem ja ich osadził, i dał spoczynek. Zrazu nie wiedzieli, co oznaczają te słowa, dopiero kiedy ujrzeli przywódców teutońskich w kajdanach, zaczęli złorzeczyć i narzekać, i pełni rozpaczycy wrócili do swoich. Wieść o straszliwej klęsce, którą tam rozgłosili, zasmuciła wielce, ale zarazem tak zapaliła do zemsty, że chępliwymi okrzykami i

wyciem grożąc Rzymianom, stanęli do walki.

Ich król, Bojoryks, na czele wybranej jazdy pierwszy zbliżył się pod szanice Mariusza i wyzwiał go w pole; na co ten kazał mu powiedzieć: Rzymianie nie radzą się nieprzyjaciół w tym, co mają czynić, ale tym razem posłuchają Cymbrów. Za wspólną umową wyznaczono teren do bitwy, mającej nastąpić za trzy dni na polach werceleskich.

Rzymianie i Cymbrowie stawili się na placu w dzień wyznaczony. Katullus wiódł dwadzieścia tysięcy, Mariusz trzydzieści dwa tysiące pieszego żołnierza. Liczba nieprzyjaciół była niezmierna, dobrej jazdy mieli piętnaście tysięcy w pułkach. Wojska najmocniej zbiły się tam, gdzie stał Katullus. Albowiem Mariusz w porywie za nieprzyjacielem oddalił się ze swoim skrzydłem od środkowych pułków, i w gęstym tumanie stracił je z oczu. Ale kurzawa ta, kryjąc liczbę Cymbrów, Rzymianom pomogła. Również zbyteczna spiekota dnia szkodziła nieprzywykłym do upału Cymbrom, ledwo więc mogli znieść ciężar zbroi i oręża. Zaczęli zatem ustępować, a w końcu poszli w rozsypkę. Wtedy to nastąpił największy rozlew krwi; rozjuszeni oporem żołnierze nie znali miary i względów; ścigając uciekających Rzymianie dotarli aż do obozu. Tam ukazał się straszliwy i osobliwy widok zjadłych kobiet wstrzymujących mężczyzn i zawracających ich do boju. Zabijały zbiegów, a widząc Rzymian tuż przed sobą, na ich oczach rozszarpały swoje dzieci, a potem zabijały się same. Ten pamiętny dzień przewyższył pierwsze zwycięstwo. Znaczny wkład do wspólnej wygranej wniósł Katullus, i owszem tak on, jak jego żołnierze, najwięcej przyczynili się do zwycięstwa. Że jednak pierwszeństwo władzy znajdowało się przy Mariuszu, on zyskał zaszczyt nagrody. Wiódł jednak tryumf razem z Katullusem, zapraszając go dobrowolnie, przez co zjednał sobie jego przyjaźń oraz wielkie względy u wojska i ludu rzymskiego.

Po odbytych dwóch tryumfach i pięcioletnim piastowaniu konsulatu zdawało się, iż los układał się bardzo po myśli Mariusza. Ale ta sama pomyślność, która go nad wszystkich współczesnych wyniosła, dała poznać, jak nieograniczone są żądze ludzkie, zwłaszcza gdy je rozpieści zbytne szczęście.

Syt sławy, piastując piąty konsulat i mianowany trzecim fundatorem Rzymu, wszelkich starań dokładał, aby szósty raz jeszcze urząd ten sprawować. A że wraz z nim o tę godność starał się dawny wódz jego, Metellus, - chcąc mu się oprzeć, złączył się z Saturninem, trybunem najzuchwalszym i najbardziej bezbożnym ze wszystkich Rzymian, i deprecując wszystkie względy postanowił wygnać z Rzymu przezacnego męża, który był mu na przeszkodzie, i wymógł gwałtem, iż szósty raz lud go musiał mianować konsulem. Nim go wybrano, jeszcze w czasie wojennych wypadków, nadał był prawo obywatelstwa rzymskiego tysiącowi mieszkańców Kamerynu. Taka decyzja sprzeciwiała się

dawnym zwyczajom i prawom; albowiem zaszczytem takiego przywileju obdarzano nieczęsto i tylko za wielkie przysługi. Gdy więc po jego powrocie wyrzucano mu owo bezprawie, ufny w przemocę śmiał odpowiedzieć: "Pośród broni prawa milczą" (inter arma silent leges)". Powiedzenie to stało się słynne i bywa przytaczane do dzisiaj.

Metellus stał na czele senatu i patrycjuszy nieprzyjanych Mariuszowi. Chcąc dokuczyć swym nieprzyjaciołom, konsul zmówił się z Saturninem co do nowego podziału gruntów między pospólstwo, wiedząc, iż senat będzie temu przeciwny, jak się i dawniej okazywał w podobnych okolicznościach. Saturnin wniósł więc takie żądanie na zgromadzeniu ludu. Przyjęte zostało z niewymowną radością. Że zaś dla większego bezpieczeństwa wniósł także i to, aby przed ludem stawił się senat i przyrzekł uroczyście, że temu, co lud ustanowi i nakaze, sprzeciwić się nie będzie, - Mariusz wydał się być obrażony takim, jak mówił, podejściem, i w senacie z tym się odezwał, iż ze swej strony takiego przyrzeczenia nie złoży. Albowiem choćby samo przez się prawo nie było szkodliwe, przymuszanie senatu jest nieprzyzwoite i uwłaczające jego powadze.

Metellus takie słowa słysząc powstał z miejsca i podobnie oświadczył, iż nakazanego przyrzeczenia nie dotrzyma; to samo powtórzyli senatorowie. Gdy nadszedł dzień wyznaczony na stanowienie prawa, a Saturnin przywołał senat do przyrzeczenia, wystąpił pierwszy Mariusz i rzekł: Jeżeli ma to być prawem, ja będę prawu posłuszny. Senat zdziwiło owo obrotne, prawda, ale przeciwne dawnemu oświadczeniu zdanie, lud zaś okazał radość okrzykiem. Za przykładem Mariusza poszli niektórzy senatorowie; ale gdy przyszła kolei na Metellusa, mimo usilnych nalegań tych, co go otaczali, i wrzasku ludu, nie złożył nakazanej przysięgi, a gdy mu Saturnin groził śmiercią, rzekł: Czynić źle w czymkolwiek bądź, jest to dziełem człowieka nieprawego; czynić dobrze, gdy takie postępowanie żadnej straty nie przynosi, nie jest ciężką rzeczą; ale czyniąc dobrze, znaleźć się w niebezpieczeństwie i nie ulec mu, to świadczy o znamienitym człowieku. Skazany zatem na wygnanie opuszczając Rzym, tak się odezwał: Albo się rzeczy na lepsze odmienią i lud będzie żałował tego, co uczynił - wtedy z powrócę z honorem; albo zostaną takie, jak są, a wówczas uczciwiej i bezpieczniej pozostawać daleko.

Sulla, niegdyś namiestnik Mariusza, wsławiając się co raz bardziej walecznymi czynami, zyskał względy ludu i sprawował najważniejsze urzędy. Gdy więc myślał o konsulacie, właśnie wówczas Bokchus, król Numidii, przysłał na Kapitol złote posągi, przedstawiające pojmanie Jugurty. Że zaś i w rzeźbie i w napisach zasługa i chwała była przypisana tylko Sulli, wzburzyło to dumny umysł Mariusza, i nie mogąc ścierpieć takiej obelgi dla siebie, oświadczył, iż krzywdzące dla niego przedmioty, jeżeli nie będą zdjęte z miejsca, gdzie je umieszczono, potrafi usunąć i zniszczyć.

Toteż dla skutecznego wykonania tego przedsięwzięcia zbierał znaczne gromady ludu, Sulla ze swojej strony także gotował się do przeciwdziałania, i już zanosilo się na znaczne zamieszanie w Rzymie, gdy Mariusza zasze wypadki oddaliły z niego na pewien czas.

Plemiona Italii, sprzymierzone z Rzymianami, i obfite w bitnych ludzi, widząc, jak po zwycięstwie nad Teutonami i Cymbriami narastała przemoc rzymska, obawiając się o własny los, połączyły się przeciw niej wspólnie. Rzymianie widząc na co się zanosilo, ze swej strony czynili przygotowania do walki. W końcu doszło do wojny i Mariusz sam stanawszy na czele wojska, nie dorównał czynom Sulli, który pomyślnie prowadził tę wojnę. Ociążały wiekiem i pracą, był już mniej zdatny do sprawowania dowództwa, i mimo jednego znacznego zwycięstwa nad wrogiem, nie rokował nadziei, którą Rzym powziął, iż zupełnie pokona nieprzyjaciół. Pisarze rzymscy podali o nim do wiadomości tylko to, iż gdy jednego razu pozostawał w obleżonym obozie, zbliżył się do szanów wódz nieprzyjacielski, Popediusz Silo, i tymi słowami go zaczepiał: Jeżeliś wódz zawołany, zastap do nas, i bij się. A Mariusz odpowiedział: Jeżeliś ty wódz taki, jakim się mniemasz, dokaż tego, żebym ja zstąpił, i bił się z wami.

Rozpoczęła się wojna z Mitrydatesem, królem Bitynii i Pontu, i już stargany wiekiem i pracą Mariusz nabrał chęci by pójść na nią. A że tego samego pragnął Sulla, wówczas będący konsulem, Mariusz, jak przeciw Metellusowi Saturnina, tak przeciw niemu użył Sulpicjusza, jeszcze bardziej bezbożnego niż tamten, i mającego większą wziętość u ludu. Po wielu pogrózkach doszło do tego, iż zuchwały trybun uzbrojony przybył do senatu i konsulów, i rozgromiwszy tych, co ich otaczali, wszystkich zmusił do ucieczki. Podczas niej omal nie zginął Sulla, a co dziwniejsze, znalazł ocalenie w domu Mariusza. Opanowawszy forum Sulpicjusz ogłosił Mariusza wodzem rzymskiego wojska przeciw Mitrydatesowi. Ten natychmiast posłał dwóch trybunów do Sulli, który znajdował się w obozie, nakazując, aby mu zdał władzę wodzowską. Ale ten, mając posłuch u wojska, rozkazał zabić trybunów, sam zaś w sile trzydziestu tysięcy szedł prosto na Rzym.

Nie był w stanie bronić się Mariusz, mimo, że wezwał niewolników do obrony, obiecując im wolność. A gdy widział, iż Sulla zbliża się co raz bardziej do Rzymu, ustąpił pośpiesznie, szukając ocalenia w ucieczce. W niej opuszczony, został tylko z domownikami swymi. Zmierzał więc ku morzu i zajmawszy okręt, czekał na odpowiedni wiatr, chęć płynąć do Afryki. Ale i w tym ukazała się mu przeciwność niesprzyjającego losu. Co raz bardziej wzmagająca się burza zmusiła go do wyjścia na ląd, i szukania na brzegach tajemnego schronienia. Mniemał, iż je znalazł, gdy tymczasem dowiedział się, iż po wszystkich okolicznych drogach rozesłani oprawcy Sulli wypytywali się o niego. Doszło do tego, iż

całą noc musiał spędzić zanurzony po szyję w bagnie. W końcu gdy w małej łódce chciał wypłynąć w morze, poznany przez ścigających, został doprowadzony do miasta Minturne. Natychmiast osadzono go pod strażą w domu niejakiej Fannii, którą niegdyś ukarał z powodu jej rozwiązłego życia. Gdy mieszkańcy Minturne zgromadzili się by ustalić, co uczynić z Mariuszem, litość Fanii zwyciężyła nad zemstą. Oddawała mu wielkie przysługi i pocieszała krzepiącymi słowami, iż jego los, choć zdawał się być nader przykrym, może się zmienić. Słyszając to Mariusz, upewnił ją, iż nie poddaje się rozpaczom; a mimo okropnego stanu, w którym pozostawał, nie stracił serca i mężności w wytrzymaniu najsroższych ciosów. Dodał także, jakoby wewnątrz siebie czuł jakąś radosną wróżbę przyszłego wyzwolenia; prosił zatem, aby go samego zostawiła dla spoczynku, którym by siły przywrócił.

Tymczasem, jak się wyżej rzekło, zgromadzeni obywatele Minturne naradzali się, czy puścić wolno jeńca, czy też uczynić zadość wyrokowi śmierci, który na niego wydano. Ostatnie przemogło; i gdy żaden z nich nie mógł ośmielić się na takie zabójstwo, wynajęli cudzoziemca, jak twierdzą niektórzy, Cymbra, aby go zgładził. Gdy ten wchodził z dobytym mieczem, i usłyszał potężny głos: Śmiesz zabić Mariusza? rzucił broń i ze strachem wypadł na ulicę, wołając: Nie mogę zabić Mariusza. Takie wołanie przeraziło cały lud, a po pierwszym wrażeniu nastąpiła litość. Pobiegli więc tam, gdzie przebywał Mariusz, i zaopatrzywszy go w żywność, odprowadzili nad morze, gdzie wsiadłszy na okręt, po dość szczęśliwej żegludze przyplłynął do brzegów Afryki w miejscu, gdzie niegdyś była Kartagina. Gdy tam przebywał, odebrał od tamtejszego rządcy, namiestnika Sekstyliusza, rozkaz, aby ustąpił; jeśli nie, jak winowajca osądzony, śmiercią zostanie ukarany. Mariusz zamilkł na to, a gdy niecierpliwy posłaniec pytał, co każe odpowiedzieć przełożonemu: Powiedz - rzekł - żeś widział Mariusza na ruinach Kartaginy.

Gdy dowiedział się o niezgodzie konsulów, Cynny¹⁶ i Oktawiusza, z tysiącem ludzi zebranych w Afryce wyruszył do Italii. Na wieść o jego przybyciu wpierw rolnicy i pasterze z pobliskich okolic, później obywatele miast, w końcu tłumy żołnierzy, którzy niegdyś pod nim służyli, zaczęli się skupiać wokół niego; i wkrótce zebrałszy niemałe wojsko, udał się do konsula Cynny, a że był on głównym nieprzyjacielem Sulli, połączyli swe siły. Chciał go Cynna ogłosić prokonsulem, ale Mariuszowi nie wydało się słuszne przyjmować urzędu, gdy wyrok wydany na niego nie był jeszcze cofnięty. Znajdował się więc w wojsku jako ochotnik bez najmniejszej oznaki władzy, po to, aby tym bardziej wzbudzać litość swym losem.

Przez okres swojego pobytu, widząc co raz więcej wojska, które się do nich przyłączało, postanowił wrócić do Rzymu i tam walczyć z przeciwną stroną. Aby zaś ta wyprawa miała pożądaną

skutek, zaczął od tego, iż ujął żywności Rzymianom, którą im zwykle dostarczała Sycylia, Afryka i Egipt. Po wszystkich tych krainach rozesał rozkazy wstrzymujące wywóz. Na morzu zaś czuwały jego okręty, jeśliby pomimo rozkazów płynęły statki ze zbożem. Posunawszy do przodu sprawy, które go dotąd zatrzymywały, udał się w stronę Rzymu i zajął port w Ostii, gdzie Tybr wpływa do morza. Szedł tak na czele wojska ze wszystkich stron pomnażanego przybywającymi do siebie przyjaciółmi; wielu było takich, których wiodła do niego nieprzyjaźń wobec Sulli, znajdowali się i tacy, którym nowość i nadzieja odmiany była motywem do takiego działania.

Pozostający w Rzymie konsul Oktawiusz gdy nie chciał uzbrajać niewolników do powszechnej obrony, został opuszczony przez niedostateczne dla obrony miasta oddziały, które udały się do Mariusza. Wszedł zatem Mariusz do Rzymu, jak zwycięzca do podbitego miasta, na czele wojska, i konsul Oktawiusz padł ofiarą jego zemsty. Stało się to hasłem zbrodni dotąd nie spotykanej, która kilkakrotnie ponowiona w końcu republikę przywiodła do upadku. Wzbrania się pióro na opis rzezi i opisywanie tych wszystkich morderstw, które wówczas popełniono bez względów na wiek, zasługi, przymioty, powinowactwo, i na to wszystko, co czułość wzruszyć może.

Skinienie zajadłego starca było wyrokiem śmierci; on zaś im bardziej mściwy, tym bardziej zdawał krzepić się okrucieństwem. Nie tylko sam Rzym i jego okolice, ale najodleglejsze krainy, gdzie tylko dosięgnąć mogła zapalczywa żądza wyuzdanych oprawców, doznawały tej klęski. Pod pozorem ścigania nieprzyjaciół zabijano obojętnych i niewinnych, by ich śmiercią nasycali się mordercy. W końcu doszło do tego, że sam Cynna, współurzędujący w siódmym już wtedy konsulacie Mariusza, zaczął wzbraniać się, i namawiał go, aby skończył mordować; ale jego usiłowania były daremne; uparty w zemście Mariusz krwią nasycić się nie mógł. Obok innych, którzy w tej rzezi zginęli, prócz konsula Oktawiusza liczono Marka Antoniusza, największego w tych czasach mówcę, którego uciętą głowę kazał sobie przynieść Mariusz i cieszył się szczerze tym widokiem. Nawet Katullus, towarzysz zwycięstwa i tryumfu, nie uszedł śmierci.

Mścił się dowoli Mariusz, gdy nadeszła wieść, iż skończywszy pomyślnie wojnę z Mitrydatesem, Sulla z wojskiem zbliżał się do Rzymu. Ta informacja przeraziła wszystkich, najbardziej zaś tych, którzy trzymali stronę Mariusza. On, czy nieczuły, czy ufny w samego siebie, czy też udając nieustraszoność, zdawał się lekceważyć taką sytuację i spędzał czas na przyjęciach i ucztach, a że nie przywykł do takiego sposobu życia, pijaństwo i bezczynność wpędziły go w niemoc; w tej życie zakończył, mając przeszło siedemdziesiąt lat.